


20649

MARYA RODZIEWICZÓWNA

BARBARA TRYŻNIANKA

92735

POWIEŚĆ



Barbara Tryźnianka - całość

Maria Rodziewiczówna



Gebethner i Wolff, Warszawa, 1914

Pobrano z Wikiźródeł dnia 15 kwietnia 2022

MARYA RODZIEWICZÓWNA

**BARBARA
TRYŻNIANKA**

POWIEŚĆ



NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA

WARSZAWA ===== LUBLIN ===== ŁÓDŹ
KRAKÓW ===== G. GEBETHNER I SPÓŁKA

WSZELKIE PRAWA PRZEDRUKU I PRZEKŁADU ZASTRZEŻONE.

□ □ DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI W KRAKOWIE. □ □

1914

Czarny jamnik Tomka Gozdawy, »Kret« gonił zająca. Była to uciechna gonitwa.

Stojąc na wzgórku, Tomek się temu przyglądał nie kwapiąc się. Nie kwapił się też szarak, kicając od niechcenia przez kartofle, w które Kret zapadał i niknął, że tylko jego dyszkant zziajany oznaczał miejsce, gdzie się telepał na swych pokracyjnych krótkich nóżkach. Był dzień wrześnieowy pogodny, czerstwy, pachnący rolą — bardzo srebrno-błękitny od nieba do ziemi. Szmat pól, gajów, łąk, ludzkich osiedli widać było z tego wzgórka, na którym myśliwy stał, palił papierosa, i zcicha pogwizdywał, czekając cierpliwie, że mu mądry Kret zwierzynę obróci i nagoni.

Dwór rodzicielski, Zagaje, widział Tomek jak na dłoni, i sąsiednie Żerniki Pułaskich i młyn w Rudzie, i Drobinę, folwarczek starego geometry Wertyka, i na horyzoncie

czarną linię borów rządowych — cały dobrze sobie znany od dzieciństwa krajobraz.

Nic się nie zmienił przez ten rok ostatni, który Tomek spędził za granicą, oficjalnie na studyach, »przestudyował« nawet wakacje, bo oto dopiero wczoraj wrócił pod dach rodzinny, i po strasznej burzy domowej — już rano drapnął w pole, od groźnej miny ojca, łez matki, i krytycznego milczenia starszego brata, gospodarującego od lat już paru w Zagajach.

Nawet jedyna siostra, Terka, siedemnastoletnia jego sojuszniczka i powiernica, była przekabacana przez oburzoną rodzinę i traktowała go oziębło.

Więc Tomek rano zawołał Kreta, wziął flintę od lokaja i poszedł na kuropatwy, mówiąc niefrasobliwie: »niech się przeżoładkują«. Zrazu bagatelizował rzecz całą, ale w miarę myślenia wszelkie wczoraj usłyszane zarzuty, wymówki, morały i krytyka budziły w nim oburzenie i chęć obrony. Czuł w sobie dwie istoty — jedną potakującą nieśmiało rodzinie, drugą zuchwałą, bezczelną, wygadaną, zbrojną w mnóstwo argumentów. Ta druga dogadzała mu, więc pozwalał jej mówić w swem wnętrzu, i nabierał od niej złej mocy.

Przedewszystkiem jakim prawem tych dwoje starych durniów, którzy go spółdzili, moralizują go, karca, nakazują, zabraniają żyć, jak mu się podoba! On o życie ich nie prosił. Jest dzięki im na świecie, więc niech mu dają środki do życia, a nie, to niech mu wydziela jego część i nie wtrącają się do jego czynów. Od dwóch lat jest pełnoletnim i nie da się traktować, jak smarkacz. Nie uczy się, bo mu się

niechce, a wydaje pieniądze, bo tak mu się podoba.

Stryj Tomasz w Paryżu ma miliony. Jak korknie, to pozatykają dziury w Zagajach, a zresztą poco stary długów tyle narobił, Tomek go do tego nie upoważniał. Stary miał pewnie też fantazyje i gusta, z których jemu czyni kryminał. Albo ten cnotliwy Władek! Wystarcza mu Jewka z młyna, a stara się o Pułaską, a raczej o jej posag, i to mu chwala. Tomek kobietom płaci, albo je darmo dostaje, jak są z towarzystwa. Albo stara — i ta mu cnotą i pracą głowę zawraca. Pewnie! Była bogatą panną — wyszła za mąż — i co więcej robiła? Przyjmowała gości, lub jeździła w gościnę. Służby w domu ma pełno, ciągle tylko innych sądzi i potępia, a tyle wie o życiu, co ostryga.

Tomek w zwykłym stanie rzeczy rodziny nie kochał i nie dbał o nikogo — teraz poczuł do nich nienawiść i dziką mściwość.

Myśl jego poszła w kierunku odwetu.

Ojciec zapowiedział wczoraj stanowczo, że na dalsze kształcenie za granicą nie da ani grosza, co znaczyło, że będzie internowany w Zagajach na czas nieokreślony. Tomek wsi niecierpiał; potrzebował miasta, knajpy, hulaszczej kompanii, miłostek i próżniaczenia w gorączkowym otoczeniu miejskiego wiru.

O ile do nauki, statku, pracy, nie miał żadnej woli ani powołania, o tyle gdy chodziło o przeprowadzenie jakiejś swawoli, fantazyi lub złośliwego figła, miał w sobie niewyczerpany zasób pomysłów i zawziętość piekielną w ich wykonaniu.

Powoli cały plan kampanii stanął mu jasno w duszy.

Najprzód na złość matce zbałamuci cały żeński personal dworu; na złość Władkowi postara się, by panna Pułaska dowiedziała się dokumentnie o Jewce; na złość ojcu narobi długów w miasteczku.

Pożyczmy mu każdy żyd, a już najchętniej geometra Wertyk, który z Zagajami całe życie jest na stopie wojennej o jakieś dwie morgi łąki granicznej i o sąsiedzkie sprawy szkodne. Obrzydnie im wszystkim, sadła zaleje za skórę, postrzela nawet pawie Terki.

Zelżało mu w duszy, gdy to postanowił, i obejrzał się, co porabia Kret.

A Kret właśnie dziamdzał dyszkantem za granicą Zagajów na gruntach Wertyka. Tomek zszedł z pagórka i przeciął linię do brzozowych gajów, w których się krył dworek Drobiny, pewny, że zając tamtędy pójdzie. Jakoż nieszczęsny szarak, niedbały o psa, nie uważał na myśliwego, i zwykłą swą ścieżką sunął ku gajom. Tomek przypuścił go na strzał i palnął. Zając wyskoczył raz ostatni i padł na miedzy, trafiony celnie. Kret podniósł wrzask tryumfalny, a myśliwy podszedł do zdobyczy, gdy z pod osłony zarośli wyszedł drab sążnisty ze strzelbą i blachą leśnej straży na piersi, i pierwszy stanął przy ubitym zającu.

— Strzelbę oddać i podać nazwisko do sądu — rzekł podniesionym głosem.

— Cooo? — zagadnął go Tomek.

— A to, co pan słyszał.

Tomek zawrzał, ale się pohamował i rzekł:

— Weź, chamie, zająca — i marsz do dworu! Rozmówię się z dziedzicem, i za karę jeszcze mi kota odniesiesz do

Zagajów.

— Pokaże się! — mruknął gajowy, odpędzając Kreta, który tarosił zająca.

— Tomek wyszedł na polną drożynę, w gaj, i po chwili ujrzał dworek drewniany, otoczony sztachetami — prawdziwą drobinę.

Był prawie rad wydarzeniu. Zobaczy Wertyka, rozgada się. Stary był plotkarz, pieniacz i pokątny doradca — musi go sobie zjednać i urobić na sprzymierzeńca przeciw rodzinie.

— Dziedzic w domu? — spytał przez ramię gajowego.

— Dziedziczkę mamy! — tamten oburknął.

— Co, ożenił się pan Wertyk?

— A tak, z Piasecką, z górki, pod kościołem.

Tomek się na mówiącego obejrzał:

— Jak mówisz?

— Ano — jeszcze w poście umarł.

— To kto tu jest w Drobinie?

— Dziedziczka, pani Malecka. Kupiła od siostry pana Wertyka, aptekarzowej.

To zupełnie zmieniło położenie, ale cofać się nie wypadało, więc Tomek przekroczył z dobrą miną furtkę, i stanął przed gankiem domku.

Na podwórzu uczynił się rejwach. Kret przepłoszył stado pantarek i wystraszył kilkoro dzieci, bawiących się na trawie; następnie z bezczelnością, jamnikom właściwą, rzucił się do walki na zęby — z dużym owczarskim psem. Powstał hałas i popłoch i na to wyszła z domu kobieta niemłoda, wysoka i tęga, w fartuchu z grubego płótna i w

chustce na głowie, przeciętna kolonistka z wyglądu. Dzieci rzuciły się do niej, jak pisklęta do kury, a Tomek uchylił kapelusza bardzo lekko.

— Czego pan potrzebuje? — spytała.

— Ubiłem na granicy zająca i wpadłem w konflikt z tym tam... Proszę panią o ocenienie zwierzyny, zapłacę — i niech mi go ten do Zagajów doniesie. Jestem Gozdawa.

Kobieta, nie odpowiadając mu, rzuciła w głąb domu krótki rozkaz: Józiu, zabierz dzieci na obiad — potem drugi do gajowego: Wy, Janie, weźcie na łańcuch Madeja, a dopiero potem zwróciła się do Tomka.

— Nie rozumiem, o co panu chodzi.

— O tego zająca, zagrabionego mi przez tego chłopca.

— Co to było, Janie?

— Ato, panicz z Zagajów ubił kota na naszym gruncie, flinty oddać mi nie zechciał — bo, powiada, odniesiesz mi zwierzynę do Zagajów, gdy się z waszym dziedzicem zobaczę.

— A dlaczego mój gajowy ma panu odnosić zwierzynę u mnie zabita?

— Myślę, że pani w sąsiedztwie — za takie drobne uchybienie nie zechce rozpoczynać akcji zaczepnej?

— Ten zając pewnie tego za drobne uchybienie nie uważa, a akcyę zaczepną pan rozpoczął. Jan spełnił swój obowiązek, a ja panu oddam tego zająca — tylko niech pan więcej na moim gruncie nie poluje, bo uznaję zasadę, że słabe, bezbronne stworzenie zabijać jest nie drobnym uchybieniem, ale dziką rozrywką próżniaczą. Jan, na ten wyrok, rzucił zająca na ziemię pod nogi Tomka i odszedł.

Wróciła też do domu kobieta, a myśliwy po chwili namysłu splunął z pasyą — i kopnąwszy nieszczęsnego szaraka — wyszedł za furtkę.

Był tak wściekły, że wysłuchał, jak żak, morałów i babinie naurągał, że przez długą chwilę na nią skierował całą pasyę i nawet o rodzinie zapomniał.

— Jutro i codzień będę jej pod nosem polować — ciekawym, co mi ta wiedźma zrobi! — odgrażał się w duchu.

Był już daleko, na swoich gruntach, gdy się obejrzał, nie było Kreta.

Z całych Zagajów Tomek naprawdę lubił tego psa, którego szczenięciem przywiózł z Niemiec i który do niego był bałwochwalczo przywiązany. Zaczął gwizdać, upatrywać go w kartoflach, chciał wrócić, aż usłyszał zduszone sapanie i ujrzał pokracznego psiego karła, jak mozolnie za nim podążał — wlokąc większego od siebie zająca.

Mogli się ludzie kłócić, sądzić, prawować, Kret nie darował tak ciężko zapracowanej zdobyczy i z tryumfem dowlókl ją do pana.

Wtedy zziajany, dumny, spoczął, i patrząc w oczy myśliwemu, radośnie skomlał i poszczekiwał, opowiadając swe trudy i zwycięstwo. I Tomek raz pierwszy od przybycia do Zagajów roześmiał się i życzliwie psa pogłaskał. Ale teraz należało wracać do domu. Pora obiadowa dawno minęła, głodno było. Zresztą, co dalej robić na tem obrzydliwym, monotonnem, pustem polu. Tomek już się nudził, i pomyślał ze zgrozą — że zaledwie minęła doba,

jak przyjechał.

Bez planu i myśli ruszył przed siebie, i jak ze snu zbudził go turkot.

Obejrzał się. Droga była o kilkanaście kroków, a w powozie poznał Strażyca.

Było to rozwiązanie wszelkich kwestyi.

Obiad, hulanka, wylanie żółci na rodzinę — wszystko w osobie sąsiada — niemłodego kawalera, który rywalizował z Władkiem o bogatą jedynaczkę Pułaskich.

Więc Tomek na drodze stanął i z uśmiechem powitał Strażyca.

Stangret, na skinienie pana, konie wstrzymał. Tomek do powozu się zbliżył.

— A, witam, witam. Dawno pan w domu?

— Od wczoraj już.

— Na długo?

— Nie wiem — dziśbym wyjeżdżał. A pan do Żernik?

— Nie. Byłem w Rudzie, konia targować, i wracam. Siadaj pan — pogadamy o Berlinie!

Ale Tomek zaledwie się znalazł w powozie, rzekł:

— Lękam się nawet pomyśleć o zagranicy — wogóle o świecie, bo się tu chyba z nudy powieszę. Boże, jak tu ludzie żyć mogą!

— Wszędzie można żyć! — uśmiechnął się Strażyc cynicznie. — Bo uważaj pan: dziewczęta ładne, jak kwiaty, są wszędzie, partnera do kart znajdziesz i tu, kuchnię dobrą mieć można, wino też — a teatr masz gotów w każdym dworze — bezpłatny.

— Łatwo panu mówić. Żebym był panem w Zagajach,

tobym też życie urządził znośnie.

— Odbij pan bratu Pułaską — i osiadź w Żernikach.

— A pan?

— Ja — spasowałem.

— Naprawdę? Dlaczego?

— Stara jest straszna. Nie winszuję panu Władysławowi teściowej. Zresztą ten wielki posag, to blaga, a Żerniki rudera.

— Ano, to i nie warto odbijać bratu Pułaskiej, — zaśmiał się Tomek.

— Trochę cierpliwości, młody człowieku. Stryj milioner nie chybi. Gdzieście ubili zająca?

— W Drobinie. Miałem awanturę z nową właścicielką. Nie wiedziałem, że Wertyk umarł.

— Szlag go trafił. Ta jakaś Malecka czy Malicka podobno kuta baba. Żydy ją bardzo honorują. Ma grube pieniądze.

— Dziwne! Wygląda na straganiarkę.

— Jakoby wdowa po handlarzu świń. Taka hołota teraz panuje. Ludzie z kulturą muszą się ze wsi wynosić, albo skapcanieć.

Cóż tam śpiewają wesołego, nowego — w tinglach?

— Mam tego zbiór spory. Das vierte Geschlecht w modzie.

— Et, świństwo. Dusi-Musi jest jeszcze w Olimpii?

— Jest, i nowa gwiazda Merico-Mexykanka.

— A to dobry traf, zem pana spotkał. Po obiedzie mam mieć Chojnowskiego i doktora Sabińskiego — ale na kolację będziemy sami — i damy.

— Damy?

— Ano, tak! — westchnął Strażyc. Miałem się przecie żenić, więc musiałem przygotować dla żony zdolną modniareczkę, pokojową i gospodynię. Nie mogę biednych pracownic wyrzucić na bruk, gdym się rozmyślił żenić. Nieprawdaż? Byłby po socyalnych gazetach wrzask na ucisk i wyzysk pracy przez kapitał. No, więc — dobywają roku, a że na zimę wybieram się do Włoch — wziąłem Włoszkę — korepetytorcę, bo się kraju nie pozna, bez znajomości języka. I tak zebrało się panienek cztery. Spojrzeli na siebie i zaśmieli się. Tomkowi pochlebiało koleżeństwo z tak wytwornym człowiekiem, i nie chcąc pozostać w tyle, zaczął opowiadać o swoich zagranicznych zdobyczach, a Strażyc słuchał, dorzucając pieprzną uwagę lub cyniczny dowcip, i tak w doskonałych humorach zajechali do Bielin.

Rezydencya była okazała, pałacyk elegancki, służba wytworna.

Zaraz po nich zajechał pod ganek brek Chojnowskiego z Rudzieńca, a w nim doktor Sabiński i jakiś obcy mężczyzna, którego Chojnowski przedstawił:

— Pan Ruchno, rodak z Ameryki.

Strażyc dość lekko przywitał obcego, myśląc:

— Ile też ten ordynus musi mieć tysięcy, kiedy go Chojnowski obwozi. I skąd się to wzięło. Po paru chwilach rozmowy lokaje oznajmili obiad i towarzystwo obsiadło stół jadalny — w sali, udekorowanej trofeami łowieckimi i zdobnej w dębowe, stylowe meble.

Ruchno jeszcze nie przemówił słowa. Oczy jego, bardzo

bystre, taksowały, zda się, wszystko i każdego. Przy stole parę razy rzucił wzrokiem na Tomka, który obok niego siedział, aż wreszcie spytał:

— A pan — w czym robi?

Chłopak, zaskoczony znieścacka, sekundę myślał, potem chciał odpowiedzieć konceptem, ale stalowe, przenikliwe oczy sąsiada go powstrzymały.

— Ja jeszcze studuję.

— Jeszcze? Za długo tutaj się ludzie uczą. Masę kapitału się na to zatracają.

— Pan dawno w Ameryce?

— Od dziecka. Starzy wyemigrowali.

— Nie zapomniał pan jednak mowy.

— Kobiety pilnowały. Matka, potem żona.

Odpowiedzi padały krótkie, jasne, — spieszne. Ruchno jakby telegrafował słowami drogiemi i jakby mu było bardzo spieszno.

Prędko też jadł.

— Podoba się panu tutaj? — coraz ciekawiej pytał Tomek.

— Można tu robić dużo dobrych interesów.

— Pan Ruchno chce tu kupić majątek! — ozwał się Chojnowski.

— Czy pana tu kto skierował specjalnie? — zagadnął Strażyc.

— Byłem w Warszawie w interesie naszej firmy. Ojciec mi polecił odszukać krewnych — tu, w Rudzieńcu.

— Więc panowie krewni z panem Chojnowskim.

— Nie. Brat ojca był kowalem we wsi — odnalazłem

jego syna i dwie córki.

— Ach, tak! Musieli się bardzo wizytą ucieszyć.

— Zawsze nietyle jakgdybym był umarł bezdzietnie.

— W każdym razie, to los dla tych ludzi, taki amerykański bogacz w rodzinie.

— Jak zechcą pracować, to ich popchnę.

— To dla nich pan chce kupić majątek?

— Dla nich i dla innych chłopów.

— Na parcelację zatem. Ale to interes dość żmudny, zajmie panu sporo czasu. Mój czas za drogi. Jeśli kupię, zostawię tu kogo — tańszego. Tu tyle ludzi nic nie robi.

— A pan jest pewny słusznego sądu o każdej pracy? — spytał Strażyc z uśmiechem pogardliwej wyższości.

— To bardzo łatwo. Każda praca daje rezultat; więc człowiek ma oczy — patrzy i sumuje.

— Tak — to bardzo amerykański sposób sądenia.

— Chłop jestem, po chłopsku rozumiem.

— Chłop jest potęgą, co wykwitła w złą chwilę, — rzekł doktor Sabiński.

— Dlaczego? — spytał Ruchno.

— Trafiała na epokę orgii materyalizmu i użycia. Młoda — więc się zgangrenuje łatwiej.

— A tom wpadł, — myślał Tomek. Miało być wino, kobiety i śpiew, a tu te dziady filozofują. Pechowaty mam dzień.

Nudził się, i przestał słuchać, co mówiono. Co go te dysputy mogły obchodzić.

Dobrze zjadł, wypił — chciał się bawić.

Miał zamiar po obiedzie wymknąć się do parku i

poszukać owych służebnic Strażyca, gdy w chwili, w której wstawano od stołu, gospodarz mu szepnął.

— Zajmij pan przez godzinę tego Ruchnę. Mam poufną sprawę z tamtymi. Potem wieczór nasz.

Więc gdy panowie zasiedli do kart, Tomek znalazł się w ogrodzie, ale z Amerykaninem, który zapalił ogromne cygaro i lustrował wszelkie kąty sadu, jak sekwestrator. Rzucił też w dalszym ciągu lapidarne uwagi.

— Chrzan tu należałoby plantować. Owoce nie wytrzymają konkurencyi klimatycznej nawet z Francją. A chrzan na eksport do Włoch dałby szalone rezultaty.

Gdy Tomek milczeniem wszystko zbywał, Ruchno wprost go zagadnął:

— A pan agronomię studjuje?

— Nie, jestem na politechnice.

— Macie fabryki w majątku?

— Nie — ale nie lubię roli.

— To sprzedajcie ziemię.

— Ojciec jeszcze żyje, i rządzi!

— Aha — dziedziczność. Jeszcze jedna polska klęska. To was gubi — szlachtę na roli. Pół wieku nic nie robicie — czekacie! To wszystko: muzeum!

— Panopticum! — roześmiał się szyderczo Tomek. — Szkoda, że pana mój stary nie słyszy!

— Pan Gozdawa. Znam doktora tego nazwiska.

— To mój stryj.

— To człowiek! Był w Chicago, siedm lat temu. Zapłaciłem sto dolarów za wizytę, ale chłopca mego na nogi postawił. Potem byłem w zeszłym roku u niego w

Paryżu — z żoną. Ten umie — co umie! A pan go zna?

— Nie.

— Szkoda.

W parku, wśród drzew, mignęła ponsowa bluzka i zajęła całą uwagę Tomka. Spozrzegł ją też Ruchno i rzekł:

— Pan Strażyc ma pełno kobiet w domu. To już trzecią widzę. To dziesięć tysięcy zje w rok.

— Starczy mu. Ma czterdzieści tysięcy dochodu.

— Bardzo mało na taki kapitał w ziemi. Tutajby żyło sto rodzin w dostatku.

— I dostatek jest rzeczą względną! — burknął Tomek zły i znudzony.

— Stryj mój pewnie ma pałac w Paryżu? — zagadnął po chwili.

— Nie. Mieszkał w hotelu, po kawalersku. Kobiet u niego nie było widać.

— Nie żonaty przecie.

— Dziedziczycie po nim?

— Tak — my tylko.

— Także czekacie! — uśmiechnął się Ruchno.

— Pan to krytykuje, a pana synowie są w tem samym położeniu.

— Nie. Moi dwaj synowie mają fach i są już wyposażeni. Jeden zięć jest spółnikiem w interesie — a najmłodsza córka jest już doktorem. Skończyła medycynę w zeszłym roku. Z nami mieszka matka żony i mój ojciec. Patryarchowie na emeryturze. Dzieci rzadko nawet widzujemy. Każde gdzieindziej zajęte. Niema czasu!

Od strony pałacu zbliżył się doktor Sabiński, więc

Tomek po chwili rozmowy — zostawił mu Amerykanina, a sam pod pozorem obejrzenia psiarni skręcił w stronę oficyn.

Nareszcie uwolnił się od nudziarzy i bardzo prędko odszukał w parku ponsową bluzkę.

Była to nauczycielka włoskiego języka, ale że mówiła biegle po francusku, znała Berlin i nudziła się sama, zawiązali prędko znajomość; z parku przeszli do lasu i puścili się na długi spacer. Tomek odżył, zapomniał o rannych przejściach rodzinnych, i dopiero gdy zmierzchało, wrócili do pałacu.

Goście już odjechali, Strażyc czytał gazety w tureckim gabinecie i powitał ich wesoło, jakimś urywkiem włoskiej piosenki. Angela zaytórowała srebrzyście, Tomek zasiadł do fortepianu.

Zapowiadał się miły, domowy koncert, który tak podziałał na nerwy Kreta, że zaprotestował przeciągiem wyciem.

Nadbiegł lokaj i, na skinienie Tomka, wyrzucił psa za drzwi do ogrodu. Kret obrażony skomlał, wył i szczekał czas jakiś, potem skrobał do drzwi, aż zrezygowany stęknął, westchnął i w kółko się zawinawszy, zasnął na progu, zmęczony, głodny.

W pałacu zapalono światło, rozlegał się śpiew, muzyka, wybuchy śmiechu, brzęk kieliszków.

I tak się skończył pierwszy dzień pobytu Tomka na łonie rodziny i przyrody.



Tomek w częstych chwilach gniewu na rodzinę nazywał ojca »trąbą«, matkę »syfonem«, brata »słoniem«, a siostrę »kozą« — i niestety — Tomek miał rację, z wyjątkiem, że siebie do kompletu nie nazywał równie dosadnie »sprzętem bezużytecznym a tandetnym«.

Pan Feliks Gozdawa był pięknym mężczyzną, doskonale tańczył, jeździł konno, pięknie umiał mówić i z talentem bawił damy. Na jakimś karnawale rozkochał w sobie bogatą pannę — otrzymał jej rękę i Zagaje. Zapewniwszy w ten sposób swój los — dalej tańczył, polował, przyjmował i odwiedzał sąsiadów i po cichu, dyskretnie zabawiał damy. Przytem bawił się w gospodarstwo rolne i hodowlane, narzekał na warunki i stosunki, na deszcze i susze, brał udział w różnych zjazdach obywatelskich — przemawiał gładko, gdy była potrzeba, łgał, chwalił się i plotkował na potęgę.

Żona jego, pani Julia, ubóstwiała męża, kochała nad życie dzieci, była wzorem moralności, zasad matrony i obywatelki, i stróżem tradycyi domu. Nazywała siebie i była »panią Feliksową«, rzeczą, własnością, echem i cieniem męża. Nie miała własnej woli, ani nawet myśli — nie zdecydowała się, ani postanowiła niczego samorzutnie, i nie troszczyła się nigdy ani o pieniądze, ani o interesa. Zawsze, ciągle i bezustannie czegoś się lękała i nad czemś płakała i w najmarniejszej sprawie, bez kierunku — była bezradna, jak małe dziecko. Dzieciom od niemowlęctwa

ustępowała i dogadzała w każdej zachciance i fantazyi i tylko w jednym była stanowczą: żeby je jaknajdłużej, jaknajwięcej mieć przy sobie, aby je pieścić, stroić, karmić, poić, bawić i ochraniać, od zimna i ciepła, od wiatru i mrozu, w ciągłej o ich zdrowie i wygląd trosce i niepokoju. Przez dwór w Zagajach przewinęła się niezliczona ilość piastunek, bon, nauczycielek, korepetytorów; doktor był prawie stałym domownikiem — co lato wożono dzieci do zdrojowisk lub nad morze, były w bezustannej kuracyi i dziwić się tylko trzeba, że przy tym systemie przeczulenia i wydelikacenia nie poumierają. Pochłonięta tysiącem strachów i niepokojów, pani Julia prawie nie wiedziała, co się poza domem dzieje, nie zajmowała się ani gospodarstwem, ani miała pojęcie o interesach.

Pieniądze na wszystko być musiały, a o spizarni, ogrodzie, drobiu, trzodzie i nabiale — myślała służba, której w Zagajach było mnóstwo. Ile, co to kosztowało, czy się opłacało — nad tem pani Julia nigdy się nie zastanawiała.

Zupełnie pod tym względem niefrasobliwy był też pan Feliks. Wydawał, póki było, a gdy brakło, pożyczał. Jako sukurs i fundament dalszego bytu — był brat, stary kawaler, sławny doktor milioner. Z bratem tym zresztą pan Feliks od lat trzydziestu nie miał żadnych stosunków, bo doktor Tomasz rodziny nie uznawał — z kraju się wyniósł, przyjął nawet francuskie poddaństwo.

Pan Feliks parę razy chciał się zbliżyć, ale został przyjęty tak bez ceremonii grubiańsko, że więcej nie próbował.

Trudno — był to gbur i egoista, ale przecie nieśmiertelnym nie jest. W każdym razie, innych spadkobierców nie miał. O tem się pan Feliks upewnił i czekał — w miarę mijanych lat coraz niecierpliwiej.

Interesy Zagajów grzęzły z roku na rok, jak wóz w błocie. Dawno sprzedano las, dobrano Towarzystwa, obciążone pierwszą i drugą hypoteką, zebrała się nawet spora suma długów wekslowych — wysokoprocentowych, żydowskich.

Był już najwyższy czas, żeby doktor Tomasz umarł. Najstarszy syn pana Feliksa, Władek, był powolny, pracowity, ale bardzo tępego umysłu i słabej woli. Skończył z wielkim trudem Puławy i od kilku lat gospodarzył pod dyrekcją ojca.

Ten najwięcej wiedział o złych interesach, ale był podobny do matki, nie troszczył się o nie, ani myślał samodzielnie. Spełniał polecenia ojca i pozostawiał mu też rozwiązywanie finansowych łamigłówek. Zresztą, postanowione było, że się ożeni z Pułaską — po śmierci stryja weźmie spłatę — i w majątku żony osiadzie. Zagaje, wedle tradycji, miał wziąć najmłodszy, Tomek.

Ostatnie dziecko państwa Feliksów, była dziewczyna — siedemnastoletnia Terka.

Ta jeszcze miała nauczycielkę, bo pani Feliksowa zbyt kochała córkę, żeby ją oddać z domu do szkoły — i edukacją kierowała sama. Dużo się zmieniło nauczycielek, prawie co roku uczono Terkę inaczej i czegoś innego, ale Terka nie łaknęła wiedzy. Lubiała konie, psy, ptaki, wałęsanie się po polu i lesie, zabawy z chłopskimi dziećmi

— jazdy na furgonach latem, śnieżki zimą — wszystko — byle nie książkę.

Od roku kochała się na umor w — Strażycu, ale w ostatnich czasach nie wiedziała napewno, czy nie piękniejszy, bardziej porywający jest student, korepetytor w Lubieniu u Zadorskich. W każdym razie, czuła, że nienawidzi Manię Zadorską — która jego widzi codzień i pewnie kocha. Dwór w Zagajach, zwany pałacem — był murowany, miał salę balową i kilka gościnnych pokoi — utrzymywało go w elegancyi dwóch lokajów — w garderobie były dwie służące — kucharz miał kuchcika i pomywaczkę — ogrodem i parkiem zarządzał ogrodnik, przy pomocy dwóch chłopaków, pozatem była gospodyni do spiżarni, szafarka do drobiu — i kilkoro niższego personalu.

I była — pani Denis — Deniska, jak ją spolszczono, dawna bona, która pozostała, jako sprzęt — niezbędny dla pani Feliksowej. Deniska kładła proroczą kabałę i tłumaczyła sny, wysłuchiwała cierpliwie i z przejęciem o chorobach, nieszczęściach, złych przecuciach, lękach i niepokojach; Deniska robiła herbatę i grała do tańca, rano przynosiła domowe nowiny, a wieczorem gotowała ziółka lub przyrządzała jakieś inne lekarstwa, w dzień podawała pani Feliksowej koszyczek z robótką, książkę, face à main, kluczyki — rękawiczki, parasolkę i chodziła za nią, dla słuchania i potakiwania. Deniska smażyła suche konfitury, robiła abażury z bibułki i wełniane kaftaniki na drutach — umiała też masować i stawiać bańki. Bez Deniski pani Feliksowa nie umiałaby spędzić dnia.

I oto francuska ta — mała, drobna, czarna, ruchliwa, była już w Zagajach lat kilkanaście. Po francusku trochę zapomniała, a po polsku się nie nauczyła, bo zresztą miała mało okazji do mówienia, słuchała pani Feliksowej, której nikt nie miał cierpliwości słuchać.

Dzieci przedrzeźniały Deniskę — potem przywykły do niej, jak do sprzętu — ona miała słabość dla Tomka, bo się z nią droczył — i umiał być niefrasobliwie wesół. W czasie jego nieobecności opiekowała się »Kretem«, a gdy przyjechał, zносиła mu łakocie. Terka dowodziła, że Deniska kocha się w Tomku.

Pani Feliksowa potrafiła gderać Deniskę, i była przekonana, że posada przy jej osobie, to świetny los dla »jakiejś tam« francuzicy, która właściwie nic nie robi, a ma świetne utrzymanie i 200 rubli pensyi — ale była co roku oburzoną na egoizm i wymagania »takich ludzi«, gdy Deniska wyjeżdżała na miesiąc wakacyi do swoich i do kraju.

Kogo miała »swoich«, tego nikt w Zagajach nie wiedział, bo nikt z Deniską o jej stosunkach nie mówił, ani to kogo zajmowało, a że chciała tyle wydawać, żeby jechać »do kraju«, to oburzała panią Feliksową.

Często wtedy powtarzała z żalem i goryczą:

— Niczem tych ludzi nie przywiążesz! Egoiści, aferzyści, domowe wrogi i szpiegi!

Deniskę przyjmowała chłodno za powrotem, ale to krótko trwało. Miała jej tyle do mówienia o sobie, kronikę całego miesiąca.

Gdy Tomek nazajutrz po przyjeździe nie pokazał się do

obiadu, ani wrócił na noc, pani Feliksowa dostała nerwowego ataku, przekonana, że popełnił samobójstwo. Nadmiar fatalności i pan Feliks i Włodek wyjechali do Warszawy — nikt nie mógł wpłynąć uspokajająco.

Posłano fernali szukać zguby po polach i lasach, a tymczasem matka tonęła we łzach; widziała go już to zbroczonego krwią, to jako topielca. Deniska noc całą to grzała kompresy, to liczyła krople, to wybiegała po wieści — do rządcy.

Rano wysłano depezę alarmującą do Warszawy, i dano znać do policyi.

Pani Feliksowa wyczerpana zupełnie zasnęła — gdy około południa wolantem Strażyca Tomek się zjawiał, shulany, przepity, niewyspany i w fatalnym humorze.

Terka spotkała go w sieni.

— Gdzieś ty był? Tutaj taka awantura — szukają twego trupa, bo mama była pewna, żeś się zabił. Mama całą noc nie spała z rozpaczy, a teraz leży chora.

— Nic jej nie będzie. Nie desperowałyby po mnie, toby desperowała, że ci włosy wypadają, albo że Włodek może mieć niestrawność. Nie skrzecz, bo mnie głowa boli. Idę spać, przynieś mi herbaty z cytryną.

— Nie jestem twoją służącą, ani niczyją!

— Pewnie. Na pomywaczkę nawet się nie zdałaś.

— A ty na pastucha nawet. Taki stary, wielki, wąsaty — a egzaminu nie może zdać.

— A ty dużo zdałaś, wiele umiesz.

— Ja nie potrzebuję egzaminów, a mój mąż skończył dwa uniwersytety.

— Kozę paść potrafi każdy dureń.

Terka, czerwona z pasyi, kopnęła Kreta przez zemstę, a Tomek wyjął naboje ze strzelby i wieszał ją na rogu jelenim, gdy drzwi się otworzyły — i weszła pani Feliksowa, w szlafroku, nieuczesa — płacząc z radości.

— Tomek, moje dziecko, mój skarbie! Żyjesz!

— Co mam nie żyć. Mama zawsze coś sobie uroi.

— Ach Boże, życie mi wraca! Dziecko ukochane, miałeś wypadek? Co? Mów?

— Najgorszy wypadek — to właśnie, że żyję! Żeby mama raczej zajęła się uwolnieniem mnie stąd, bo naprawdę doprowadzicie mnie do samobójstwa.

Ale na to pani Feliksowa przybrała minę namaszczoną.

— Ojciec tak zdecydował, Tomeczku, ojciec, najwyższa powaga i pan w rodzinie.

— A ja mamie mówię, że gwizdzę na rodzinę. Jestem pełnoletni i żadnych powag i »panów« nie uznaję. Będę żyć i robić, co mi się podoba, a tu z wami tkwić nie myślę.

— Jezus, Maryo — ty bluźnisz!

— No — więc co. Sufit się nie wali, widzi mama.

Pani Feliksowa zaczęła napowrót płakać. Syn ruszył ramionami i wyszedł, trzaskając drzwiami.

Po kwadransie już pani Feliksowa się niepokoiła, czy »chłopak« nie głodny, i posłała Terkę z zapytaniem. Dziewczynka wróciła nadąsana i opryskliwie zdała sprawę:

— Śpi, w ubraniu i butach, a jak-em go obudziła, to mi głupstw nagadał. Mama mnie naraża na grubijaństwa. Niech mama sama chodzi, albo posyła pannę Deniskę — bo to jej ideał, ten obrzydliwiec!

— Ach Terko, jak ty się wyrażasz — o bracie!

— Jeszcze lepiej się wyrażam o bracie, jak on o siostrze. Ja sobie nie pozwolę ubliżać, niech mama mu to powie, bo ja z nim nie gadam!

Tomek spał do zachodu słońca, potem ziewający przyszedł na kolację — fuknął na matkę parę razy, skrytykował jedzenie, a potem poszedł na folwark obejrzeć dziewczki dworskie.

I tak się skończył drugi dzień jego pobytu w domu rodzinnym.

*

*

*

Nazajutrz wrócił pan Feliks z Władkiem z Warszawy. Władek zaraz poszedł do stajen i obór i zajął się pilnie reperacją młocarni. Do maszyn miał specjalny gust i gdy znalazł przy nich co do majstrowania, bywał tem zupełnie pochłonięty. Pan Feliks miał minę niespokojną i zgnębioną. Chodził po salonie, palił papierosy i nie słyszał ani słowa z tego, co mu prawiała żona. Jakby niecierpliwie na coś oczekiwał, i widocznie z ulgą odetchnął, gdy lokaj oznajmił.

— Moszko przyszedł do jaśnie pana.

W progu gabinetu żyd stał — drobny, chudy, czamy — zwykły chałaciarz wiejski.

— No i cóż? Byłeś u baby? — spytał pan Feliks.

— Byłem. Powiedziałem, że jaśnie pan jej ten honor zrobi — pieniądze weźmie.

— Cóż? Rada?

— Spodziewać się — ona rada.

— Da całą sumę?

— Da.

— No, a warunki?

— Chce pierwszy numer i 7%.

— Drogo, ale że to na krótki termin, to wezmę.

— Ona chce, żeby pan do niej się pofatygował, o reszcie się rozmówić.

— Do niej, ja? Przecie mówiłeś, że się naprasza z temi pieniędzmi. Mam może teraz sam prosić?

— Niech jaśnie pan nie będzie gniewny. To prosta kobieta — ona ma subiekcję tu się pokazywać.

— Ano, to prawda, ma rację. Jutro będę w polu, to wstąpię. Przecie ta kolonia o miedzę.

Żyd stał w miejscu, więc pan Feliks dodał:

— O swoje faktorne bądź spokojny.

— Ja spokojny — jakby je miał w kieszeni. Ja chciał pogadać o tych drwach. Ja przyniósł zadatek tysiąc rubli, że to może jaśnie panu będą potrzebne w hypotece. Jaśnie pan mnie da jaką kartkę, dla pamięci. O cenę to my się potem rozmówimy!

— Dobrze. Zapomniałem, że to będą koszta.

Żyd odliczył pieniądze, pan Feliks napisał kwit i pokrzepiony na duchu łaskawie pożegnał Moszka.

Był rad z dobrego interesu, który mu spadł z nieba. Od pewnego czasu kredytorowie stawali się natarczywi,

procenta rosły, wymawiano sumy, o kredyt było coraz trudniej.

Wtem rozeszły się pogłoski, że Drobinę kupiła wdowa po handlarzu świń, kapitalistka. W mig pan Feliks posłał na zwiady swego faktora i oto interes był załatwiony.

Po namyśle uznał nawet, że będzie lepiej, gdy sam z »babą« się rozmówi, i żeby było jaknajmniej rozgłosu, po obiedzie ruszył niby w pole, i tąż miedzą, co Tomek za sąsiadem, dostał się do folwarczku.

Dziedziczkę spotkał w ogrodzie, zajętą obieraniem gruszek, przedstawił się i z punktu sprawę zagaił.

Malicka wysypała z fartucha gruszki w kosz, i poprowadziła go do domu.

Tam — w izbie bielonej, czystej, umeblowanej bardzo skromnie — zasiedli przy stole.

— Był tu u mnie żyd onegdaj, powiadając, że pan by wziął mój kapitalik. A czemuż — i owszem chętnie go zawierzę — rzekła kobieta z prostotą, patrząc w twarz Gozdawy bystro i spokojnie.

— Na mały czas mogę pani wygodzić! — odparł górnie i lekko.

— Dlaczegoż tak? Ja mogę na długo zostawić.

— Ale ja potrzebuję chwilowo. Właściwie nawet, nie potrzebuję gwałtownie — ale wolę mieć jedną kredytorkę, sąsiadkę, niż kilku. Jestem jedynym spadkobiercą milionowego brata.

— A to już umarł pański brat?

— No nie — bo w takim razie bym nie pożyczął. Ale po jego śmierci — spłacę pani należność natychmiast.

— Niechby pan raczył zatrzymać i dłużej. Mnie nie pilno.

— Nie, pani. Pod tym tylko warunkiem biorę.

— Do śmierci pańskiego brata?

— Tak — nie dłużej.

— Ano, trudno. Niech będzie wedle pana woli. Życzę bratu pańskiemu długich lat zdrowia.

— Może i mnie także?

— Pan taki pewny, że jego przeżyje. Pan pewnie o wiele młodszy od brata, i pan wygląda, że stu lat doczeka. To tylko proszę o wiadomość, kiedy i gdzie pieniądze przyszykować.

— Może w przyszły czwartek w Warszawie?

— Dobrze. Żyd mi mówił, że panu trzeba 30.000, mogą dać 40.000 — jeśli pan sobie życzy.

— Tak pani bezpieczna! — zaśmiał się pochlebiony.

— A cóż! Pański pałac wart dwa razy tyle. A zresztą, toć pan sam mówi, że brat milioner. Przywiozę całe czterdzieści tysięcy — niech już wszystkie będą u pana, a procent dostanę półrocznie zgóry.

— Kiedy pani tak chce koniecznie, wezmę całą sumę. Procent trochę za wysoki, ale że na krótki termin...

— Co to znaczy na takie dobra!

— No, zapewne. Zagaje to lekko zniosą. Zatem w przyszły czwartek spotkamy się w hypotece.

— Już ja się stawię.

Powstał Gozdawa, kobieta skłoniła mu się, nie podając ręki — trzymała je pod fartuchem, może się żenując, że są grube i spracowane. Gdy wyszła za nim na ganek —

rozejrzał się i rzekł:

— Dzieci ma pani sporą gromadkę.

— Oj, dzieci na świecie nie brak! — odparła.

— Niestety! — zaśmiał się.

— To pan dzieci nie lubi?

— Możebym i lubił, żeby nie dorastały na spychaczy.

— Taki porządek świata. Pan czeka na śmierć brata — inny czeka na śmierć ojca.

— A te na pani śmierć! — rzekł, wskazując na kilkoro drobiazgu, pod gruszami.

— Te nie czekają mojej śmierci!

— Oho — jakie pani ma illuzye.

— Żadne illuzye, a prawda.

— No, no, taki porządek świata, sama pani mówi.

Kiwnął jej jeszcze raz głową, i wracając do siebie, w głębi duszy śmiał się z baby.

— Jest dumna, żem ją zaszczycił przyjęciem sumy. Mogę śmiało odtargować jeden procent. Bo i poco takiej ordynarnej babie tyle pieniędzy. No — zrobiłem świetny interes. Chojnowskiego zółć zaleje, żem go ubiegł. Ten Ruchno go obębni, jak sam zechce. Można teraz śmiało Władka »pusować« do Pułaskich. Tomek zostanie w domu, długi się spłaci — no i przecie Tomasz nie wieczny. Oj, czas mi już spocząć, do Warszawy się wynieść z kapitału żyć. Napracowało się!

Staął pan Feliks na wzgórk, spojrzął po polach, na Zagaje, i rozczulił się sam nad swoim życiem i pracą obywatelską. Potem ruszył ku dworowi i zdecydował, że trzeba będzie urządzić polowanie dla sąsiadów — zarazem

wieczorek dla młodzieży. Będzie okazyja do partyjki kart, paru handlów końskich, dobicie targu z Pułaskimi o córkę dla Władka i rzucenie zręcznie zebrany m obywatelom swej kandydatury na radcę.

Zresztą, Terka ma już siedemnasty rok, można ją ludziom pokazać. Kto wie, może ją Strażyc zauważy. Tuby był los!

Wewnętrzne zadowolenie zalało błogością duszę i nawet oblicze pana Feliksa, a właśnie, gdy wchodził na dworski ganek, wybiegła doń Terka.

— Tatusiu, jest posłaniec od państwa Chojnowskich — proszą nas na dziś wieczór na grzybobranie. Mamy jechać do lasu na całą noc — śpiewać, będą bengalskie ognie i stos rozpalony — i żywe obrazy. Tatusiu, proszę pozwolić!

Pan Feliks przyjrzał się krytycznie córce. Mogła się podobać — o, mogła. Ładnie wyrosła, nabierała form, miała piękną karnację, obiecujące usta. Łaskawie ją pogłaskał po płowych włosach.

— A któż tam będzie?

— Wszyscy! Cała okolica. Może i potańczymy!

— No, ale z kimże pojedziesz? Mama się zgadza?

— Mamusia mówi, że mogę z braćmi jechać, bo to sami młodzi będą.

— A głupstwa nie zrobisz?

— Będę jak obrazik, tatusiu.

— No, no — może i ja nawet ciebie ze sobą wezmę, a już do lasu z Władkiem pojedziesz! A ubierz się ładnie.

Terka w podskokach wpadła do domu, a pan Feliks przystanął na ganku, na widok Tomka, który szedł do

oficyn, eskortując pokojówkę Zuzię. Tak byli zajęci rozmową, że zaledwie o krok spostrzegli pana i rodzica.

Zuzia prysnęła w bok, Tomek się stropił, ale tylko na sekundę.

— Cóż to za konszachty! — burknął pan Feliks.

— Bawię się wedle wiejskiej tradycyi. Nie mam tu nic więcej do roboty.

— Błazen jesteś!

Tomek ramionami ruszył.

— Wolno Władkowi z Ewką, wolno mnie z Zuzią.

— Nie wolno. W domu jest matka i siostra — pamiętaj to sobie. Nie pozwalam na takie skandale.

— Jabym rad wiedzieć, na co mi ojciec pozwala, i co właściwie będę tu robił.

— Nie będziesz tracić pieniędzy, jak dotychczas i oszukiwać mnie fikcyjnymi studjami. Czy ty wiesz, ile mnie te twoje nauki kosztowały?

— Już mi to ojciec mówił parę razy. Ale to nie rozwiązuje kwestyi — co dalej będzie.

— Możesz pomagać w gospodarstwie Władkowi.

— Słyszałem, że ksiądz poszukuje zakrystyana, mogę równie dobrze i tę posadę zająć, bo tyle się znam na jednym, ile na drugim.

— A to się staraj nauczyć. Może ci to być potrzebnem prędzej, niż się spodziewasz. Tymczasem szykuj się na wieczór do Chojnowskich, za godzinę wyjeżdżamy.

Tomek miał ochotę odmówić, ale nudził się wściekle, więc wolał to, niż spędzenie wieczoru z matką. I po godzinie z pod zagajskiego ganku ruszyły dwa ekwipaże:

pan Feliks z córką powozem, chłopcy wolantem.

— Słuchaj-no — rzekł Tomek do brata — cóż to za tajemne posłuchanie miałeś u starego — i stara cię żegnała, w stylu polskiej matrony. Może masz się dzisiaj oświadczyć?

— A tak; wypada już skończyć! — odparł Władek przyglądając się prawemu kasztanowi, i dodał głośniejszym głosem do furmana:

— Mówiłem ci, że koń zagwożdżony, napada!

Furman zaczął się tłumaczyć i trwała ta końska sprawa dość długo.

— Skończ-że wreszcie! — burknął Tomek. — A pewny jesteś przyjęcia?

— Tak, to dawno już zdecydowane.

— Masz gust do tej panny. Przecie to chodzące skrofuły. Oczy czerwone, cera spleśniała, usta obrzękłe. I po takiej Ewce!

— Ciszej-że! — wskazał oczami furmana i zaczął mówić po francusku.

— Panna Pułaska ma bardzo dobre ułożenie, gospodarna, ładnie gra. Że tobie się nie podoba, to dla mnie nie racya.

— Nie zwracaj głowy. Podobać się nikomu nie może — ale ci się chce Żernik — i wyzwolenia z Zagajów. No — dostaniesz teściową — caca!

— Właściwie — co cię to obchodzi. Jak mnie spłacisz z Zagajów — kupię sobie majątek, i z Żernik żonę zabiorę.

— Ja też pewnie w Zagajach z tą załogą starych siedzieć nie będę.

— Musisz.

— Ty może musisz — a ja nie. Chciałbym wiedzieć, kto i co mnie zmusi?

— A cóż będziesz robić, jak ci ojciec pieniędzy nie da. Wszystko jego. Chyba pójdziesz na swój chleb, ale właściwie czemuś zarabiał? Nie skończyłeś żadnego wyższego zakładu.

— Jak zechcę, dam sobie radę bez patentu.

Władek poruszył brwiami — było mu tak obojętne, jak się brat urządzi, a spierać się nie lubił. Tomek zaczął gwizdać ze złości i tak zajechali pod ganek Chojnowskich.

Gości było już pełno, gwar, bieranina, śmiechy panienek, basy męskie, zamieszanie w całym domu. Ale wkrótce towarzystwo się podzieliło: panowie zasiedli do kart, panie starsze obsiadły kanapy w salonie, młodzież rozprószyła się po ogrodzie. Młodzi Chojnowscy szykowali furgony na wycieczkę do lasu, a pod gankiem na ławce siedział Ruchno z doktorem Łabińskim i do nich się przysiadł Tomek, okazujący paniąkom wielkomiastowe lekceważenie.

Doktor Sabiński od trzydziestu lat wegetujący w małym miasteczku, stary kawaler, dziwak i wróg medycyny, uciekał od chorych, czas spędzał na czytaniu, studyach archeologicznych i paleniu cygar. Abnegat do ostatecznych granic, wyglądał na tryglodytę i nic sobie z nikogo nie robił. W tej chwili słuchał Ruchny, który roztaczał obraz rajy tej okolicy, gdy wielka własność przejdzie do włościan.

Doktor słuchał pozornie, ale oczy jego z pod krzaczastych brwi wlepione były w kamień, dziwnie ociosany — leżący z boku podjazdu. Miarowo puszczał

dym z cygara i milczał.

Kiwnął głową na powitanie Tomka, a Ruchno do młodego się zwrócił.

— Poznaliśmy się u pana Strażyca.

— Tak. Czy pan jeszcze długo w tych stronach zabawi?

— Jeszcze dwa tygodnie.

— Mówił pan wtedy, że my tu za długo się uczymy. Zapamiętałem to zdanie i przyznaję panu rację. Mam zamiar więcej się nie uczyć, a zacząć pracować.

— Bardzo chwalebne postanowienie. A co pan umie?

— Skończyłem gimnazyum, byłem dwa lata w politechnice.

— Ale co pan umie? Buchalterię, mechanikę, chemię, miernictwo? Do czego pan czuje chęć i siły?

Tomek się zamyślił, a doktor Sabiński wyjął z ust cygaro i rzekł:

— Czy to stryj was wydziedziczył?

— Cóż znowu, ale chcę zostać swoim panem.

— Koszałki, opałki. Będzie z ciebie pracownik, jak z Mordki-cyrulika fortepianista. Ot, idź lepiej do panienek, co tam przez płot zerkają. Swoim panem zostać — to na dziesiątki tysięcy tych dwunogich zwierząt, co się ludźmi tytułują, może jeden potrafi — i to kiepsko!

— Mam ochotę spróbować jednakże — uśmiechnął się Tomek.

— Musiał ci ojciec chwilowo cofnąć alimenta i chcesz mu dokuczyć. Ty nie wiesz, co umiesz, ale ja wiem — mogę ci poradzić. Grasz, nigdy niczego się nie ucząc, na każdym instrumencie, więc zgódź się do dziekana na

organistę, i paplesz w pięciu językach — więc idź na bonę do małych dzieci. Więcej nic nie potrafisz.

— Jeśli pan posiada pięć języków, mógłby pan prowadzić korespondencję handlową! — wtrącił Ruchno.

— On potrafi tylko miłosną.

— Ależ doktor mnie chyba specjalnie studjuje. A widzimy się tak rzadko.

— Niema co wiele studyować. Imię wam, legion.

— Każdy młody — ze dworu — taki sam.

— Czy starzy — ze dworów — lepsi? Szkoda, że nas nie potrafili lepiej wychować.

— Niebardzoście chętni do posłuchu.

— Posłuch zdobywa się wartością, a przewodnictwo rezultatami dodatnimi działania. Starzy nas potępiają, krytykują, lekceważą, obarczają zarzutami. A my im to oddajemy — z tą różnicą, że mamy prawo, a oni nie!

— No — dlaczego? — zainteresował się doktor widocznie, patrząc ciekawie na Tomka, któremu ognie szły z oczu i zuchwałość.

— Dlatego, że oni żyli, myśleli, pracowali — i widoczne są rezultaty. Co zrobili ci sternicy, kierowmicy, gospodarze, politycy — jakie ich czyny? Klęska po klęsce, błąd po błędzie, głustwo po głustwie. Nie mogą mieć w naszych oczach ani uznania, ani powagi, ani wiary. Przegadali, przebawili, przepróżniaczyli życie; przemarnowali każdą ważną chwilę w historii, przewarcholili i przegrali każdą sprawę. Oburzają się teraz, że są bez wpływu nad nami, że ich nie szanujemy — za co? Że o nich nie dbamy, że ich ośmielamy się sądzić i krytykować. Oni nawet nie

rozumieją, że dzień każdy jest nowem życiem — tembardziej lata — że my nie dzieci, ale młodzi, że my żyć musimy — żeby tak, jak oni, nie spleśnieć!

Doktór mówi, że nas legion, nic nie umiejących, próżniaków po dworach — a ja mówię, żeśmy tacy właśnie przez szkołę ojców i jeśli się buntujemy, to może bezwiednie przez instynkt zachowawczy.

W tej chwili z wielkim turkotem i paleniem z batów zajechały przed ganek dwa furgony, przystrojone zielenią, powożone przez młodych Chojnowskich. Z domu i z ogrodu posypały się panienki i reszta młodzieży, powstał świergot, śmiechy, zamieszanie, bezładny wybór na to wieczorne, fikcyjne grzybobranie.

Tomek, porwany falą, znalazł się w słomie furgonu, przytulony do obfitego biustu pani Brzechockiej, młodej mężatki, i oparty plecami o Stasię Zadorską, a mając przed sobą Terkę i korepetytora.

Oczom nie wierzył, widząc, że doktor Sabiński też się wgramolił i bez ceremonii w słomie się wyciągnął — zawsze z nieodstępnem cygarem. Panie zaczęły protesować, prorokując pożar, ale doktor burknął.

— Nie posmalcie się jedno od drugiego, to inny ogień — furda. Obiecałem matkom, że będę was pilnował. Proszę o respekt i jazda.

Furgony ruszyły. Na wybojach zdarzały się nadzwyczajne karambole i wybuchy śmiechu. Tomek stracił cały poprzedni zapał i złość, dał się unosić fali drażniących wrażeń i pustoty. Na dworze ciemniało, furgony wjechały w las. Rozłożono obóz na polanie, otoczonej wspaniałymi

sosnami, stawili się gajowi, rozłożono ognisko. Całe towarzystwo, parami lub w trójki, rozpierzchło się, las napelnił się gwarem, ktoś zaczął śpiewać, chichotały panienki — u ogniska pozostał doktor Sabiński i starszy Chojnowski, zajęty przyrządzaniem fajerwerków.

— Cóż? Ruchno kupił u was Węgielnicę? — spytał doktor.

— Tak. Ojciec nareszcie postawi tę krochmalnię, którą nas piłuje od X lat.

— Dobrze Ruchno zapłacił?

— Co mi z tego. Chciałem ten folwark wziąć u ojca w dzierżawę. Nie zechciał.

Coś wrogiego, niechętnego czuć było na dnie pozornie niefrasobliwego tonu.

— Drugi! — mruknął do siebie doktor.

— Broniek Zadorski się żeni? — znowu po chwili zagadnął.

— Bierze sto tysięcy, ale żona nie chce mieszkać na wsi. Teść mu daje posadę w banku. Władek Gozdawa pewnie też o Żerniki skończy.

— A ty z Przyłubską — nic?

— Mogą mnie trzymać wedle swej woli, ale mną robić interesy — to nie. Ja się swojego doczekam, ale oni nie.

Krzaki, okrywające twarz doktora, zatrzęsyły się od cichego śmiechu.

— Gadaliście co z Tomkiem Gozdawą?

— Nie. Podobno go ojciec internował w Zagajach. Ten się nie da. On im bajeczny skandal jeszcze urządzi. Ten gwizdże na wszystko i lubi awantury.

Po lesie robiło się cicho. Towarzystwo musiało się rozpiezchnąć. Nagle rozległ się przeraźliwy krzyk kobiecy i tupot.

— Wąż, wąż, żmija jadowita!

Do ognia dopadła pani Brzechocka, czerwona, zziajana, oburącz przyciskając do nóg spódnice. Na to hasło ozwały się kobiece piski ze wszech stron i tentent odwrotu.

Chojnowski zapalił bengalski ogień i w purpurowej łunie ukazały się różne pary. Doktor objął je szybkim spojrzeniem.

Terka z korepetytorem, Władek z Pułaską, młodszy Chojnowski z garbatą, szpetną milionerką Przyłubską, Mania Zadorska z rządcą Strażyca. Wszyscy wracali do ognia, a naostatku ukazał się Tomek, niosące w kapłuszu coś, co wytrząsnął u stóp pani Brzechockiej.

Był to zwinięty w kłębek — jeź.

— Oto jest ów gad jadowity, co panią tak wystraszył.

Ale sama myśl o węzach zniszczyła animusz kobiet. Zaczęto się sadowić wokoło ogniska, dobywając z furgonów dery i płaszcze.

— Teraz niech kto zaśpiewa! — zaproponowała pani Brzechocka.

— Lepiej byście upiekli kartofli i dobrali się do koszyków, które we dworze ładowali w wozy, — rzekł doktor.

— Doktor-by tylko jadł! — zaśmiała się Brzechocka.

— A pani-by tylko węża kusiła, jak Ewa.

— Bardzo lubię pokuszenie. Kusić i być kuszoną. Wszystko jedno.

Trąciła leżącego u jej nóg Tomka.

— No, śpiewać urwiesz! Z brawurą i swawolą na cały głos zaintonował:

»Ich hab' meine Sach' auf Nichts gestellt
Drum ist so wohl mir auf der Welt.

Juchhe!«

— Pfuj! — uderzyła go parasolką. — Coś czułego, romansowego, stosownego do poezyi lasu.

— Do polskiego, szlacheckiego lasu chce pani. Będzie nastrojowe w obecnej epoce:

»Czyście nie widzieli taki mały Kohn,
Co ze wszystkie Kohny najważniejszy on«.

Ze śmiechem zawtórowali inni znajomą melodyę:

»Co ma krzywe nóżki, odstające uszki.
A najlepszy znak, ma nos, jakby hak«.

Brzechocka zatkała uszy dłońmi.

— Panienki, zawstydzmy ich. Coś ładnego, czułego. — I rozpoczęła słabym sopranikiem:

»Usta milczą, serce śpiewa

Kochaj mnie«.

»Posag żaden, moja miła,

Odczep się«

zagłuszył słabe soprany potężny baryton Tomka.

— Wyrzucić go! Hańba! Cynik! — posypały się panięskie okrzyki.

— A prawda! — przepraszam — zapomniałem, że tu posagi są. To tak z zawiści, że nie dla mnie.

— A dlaczegoż nie dla pana? Proszę spróbować — zaśmiała się Mania Zadorska.

— Dlatego, że ja posagu nie mam — więc mi wara do sakramentu.

— Ale kochać pan przecie może?

— Kochać? Co to takiego?

— Et, idź pan sobie! — oburzyła się Brzechocka. Psujesz nastrój.

— Proszę pani! Ja tylko nic nie udaję i nazywam rzeczy po imieniu, a każdy i każda z was powtarza jakieś formułki, które dziś są bez treści. Otóż ja poprzysięgam, że miłości nie znam, nie pragnę, nie wierzę, żeby być mogła, bo to absurd, wręcz przeciwny ludzkiej naturze. Pokażcie mi jeden fakt miłości na świecie — tylko zrozumiemy się, co ja nazywam miłością.

— No, zapewne to, co i wszyscy.

— Nie. Wszyscy nazywają miłością — pożądanie.

— No — a pan?

— Ja nazywam uczuciem, gdy chcę dobra i szczęścia dla tego drugiego — kochanego. Otóż wyznaję, że podobnego uczucia nigdy nie doświadczyłem, ani widziałem u innych.

— No, no, no! A miłość macierzyńska!

— Także powtarzanie utartej formułki. Żeby taka miłość istniała, byłoby więcej szczęśliwych dzieci. Matki się kochają w dzieciach, bawią się nimi, póki małe, a potem desperują, że są opuszczone, albo narzekają na wyrodne dzieci.

— Bo i bywają wyrodne.

— Nawet się dziwię, że nie wszystkie przy takim systemie miłości. A zresztą, kto, gdzie, komu dobrze życzy i zaco i dlaczego? Każdy — jeden drugiemu zawadza, a w najlepszym razie jest najzupełniej obojętny.

W cieniu rozległ się głos ostry korepetytora.

— Jest legion ludzi, którzy nic nie posiadają i nic dla siebie nie pragną, a tylko dobra dla mas, światła dla wszystkich...

— I automobilu dla każdego. Idę pod pana sztandar choćby zaraz — do czasu, aż nie odziedziczę milionów stryja. Wtedy zaczniemy sobie zawadzać, ale mam nadzieję, że wtedy i pan coś zdobędzie i drugiemu nie da. Teraz gotówem zaśpiewać:

»Krew naszą lata leją katy,
Przez ojców skuci ronim łzy,
Ach kiedyż przyjdzie dzień wypłaty,
Kiedy do grosza dorwiem się my!«

Waryantów tej pieśni dużo się znajdzie — wśród wszelkich klas i stanów, — ale żeby ona była tak bardzo miłosną — trudno powiedzieć.

Po towarzystwie przeszedł prąd niemiły: chłodu, zgrzytu — jakiegoś przygnębienia. PaniENKI patrzyły niechętnie na Tomka — zaczęły coś między sobą szeptać — część mężczyzn jakby potakiwała milczeniem, inni nie czuli ochoty do dysputy, nie przywykli do abstrakcyjnej rozmowy. Doktor Sabiński słuchał uważnie i widocznie się cieszył. Coraz jeżyła mu się obrośnięta twarz uśmiechem

starego Satyra.

Gdy Tomek przestał i leniwie wyciągnięty na ziemi, zapalił papierosa — doktor go zaczepił.

— No — a tak, o Bogu, o kraju — możebyś nam też jeszcze coś pouczającego powiedział.

I miał na twarzy złośliwy grymas, jakby chciał wyzywać i drażnić.

— O Bogu mogę powiedzieć, że fuszer, jeśli to on ten świat stworzył. Zresztą, dobry bywa czasem na postrach — ale to coraz mniej działa — i słyszę — że daje dzieci. Ja osobiście słabo mu jestem za to wdzięczny — i żadnych spraw z Nim nie miewam.

Doktor już zaryhotał z uciechy. Mania Zadorska zerwała się z miejsca.

— Et, chodźmy stąd! — oburzyła się.

— Zaraz skończę! — zaśmiał się Tomek — odpowiem tylko co do kraju. Jako położenie, jest szpetny, jako klimat, ohydny — a co do społeczno-politycznej strony — to go tak urządzili ojcowie, że niema co więcej psuć i paskudzić — i ja dopiero oddycham, jak w nim nie jestem. Niech zeń tworzy raj dla siebie i swoich pan Ruchno.

— Dziękuję ci! — rzekł doktor. — Rozprawiliśmy się porządnie o wszystkim. Zuch z ciebie — załatwiłeś się krótko i węzłowato, a teraz żyj długo i odrabiaj swe zasady.

— Jakto — odrabiaj. Doktor myśli, że się zmienię.

— Ja mówię: odrabiaj — jak lekcye w sztubie. Życie — to sztuba, chłopcze!

Tymczasem całe towarzystwo nieznacznie odsunęło się — skupiło z drugiej strony ognia. Wydobyto zapasy z

koszów, odkorkowano butelki, rozmawiano znowu, śmiejąc się i dowcipkując. Nawet Brzechocka flirtowała z Chojnowskim. Wszyscy mieli dosyć Tomka i jego dzikich teorii. Tylko korepetytor został, ponuro zapatrzony w ogień, i po chwili rzekł swym chropowatym głosem:

— Pan ma w wielu rzeczach sąd jasny i zdrowy.

Tomek obrócił się — spojrzął nań — i rzucił niedbałe:

— Dziękuję panu!

Było coś w tonie, w wyrazie, że korepetytor się zająknął, poczerwieniał obrazą.

— Ale, niestety — pan jest, pan jest... szukał wyrazu.

— Gozdawa! — pomógł mu doktor.

— Właśnie.

— Właśnie! — potwierdził Tomek, powstając i — ustępuję panu miejsca bez żalu. Naturalnie, jeśli dostanę samochód! Żadnych zresztą honorów, zaszczytów, przywilejów nie żądam.

— Ale Gozdawą pan pozostanie, — zaśmiał się zjadliwie korepetytor.

— Niestety — ten spadek muszę zachować, wraz z artretyzmem w prędkim czasie i podagrą trochę później.

— I z czemś jeszcze, — ze szlachecką butą, — mruknął korepetytor.

Tomek się roześmiał — i zwracając się do pani Brzechockiej rzekł:

— Zabawiałem was tak ślicznie i nie proszą mnie do uczyty.

— A istotnie ślicznie! — podniósł się protest paniński.
— Nie damy ani jeść, ani pić, chyba pan nam zagra do

tańca.

— Na czymże zagram. Nawet fujarki o tej porze roku nie można wykręcić. Poślijcie niewolników do dworu po pianino.

— Ja mam okarinę! — rzekł mały Zadorski.

— Gajowy ma skrzypce, tu niedaleko, w leśniczówce! — rzekł Chojnowski.

— Dajcie okarinę. Nigdy na tej fajce nie grał, spróbuję — a po skrzypce poślijcie.

Panienki z wielkim zapałem zaczęły go karmić i poić, rozpalono jeszcze parę ognisk na rogach polany, gajowi i panicze równali trochę »posadzkę«, zapał ogarnął całe towarzystwo. Tomek wziął okarinę, usiadł na pniu i zaczął próbować — po chwili już grał walca.

— Jaki pan szczęśliwy! — rzekł mały Zadorski — ja za nic nauczyć się nie mogę.

— Ale cię pewnie muzyki uczą?

— Ojoj, codzień mam godzinę z »Fräulein« — już trzy lata się uczę.

— Tak, mój synu. Ciebie będą tem mordować, bo nie masz zdolności, ale mnie to wcale nie uczyli. Taki jest system, mój synu!

— No — gotów jestem. Bawcie się, dzieci!

— Pan nie tańczy? — zagadnęła Terka korepetytora.

— Nie umiem, pani — odparł z odcieniem pogardy.

Odbiegła nadasana, a korepetytor zbliżył się do doktora, który plondrował wśród opuszczonych jadalnych zapasów.

— »Wesele« Wyspiańskiego! — rzekł. Tylko grajek nie Chochoł.

— Bardzo dobry ten pasztet z zająca, — odpowiedział doktor — i nalewka na wiśnie grzeczna. Jedz pan i pij. Grunt jest syty brzuch i pełne koryto — cudze!

Tańczono już z wielkim animuszem, ale że walc utykał na nierównym gruncie, poczęto wołać na Tomka o mazura — a właśnie gajowy przybiegł ze skrzypcami.

Tomek ich spróbował, nastroił — i z uśmiechem zagrał żądanego mazura.

— Skąd masz te skrzypce? — spytał gajowego.

— A to, proszę pana, kupiłem po nieboszczyku organiście. Dałem pięć rubli wdowie.

— Dam ci za nie dziesięć.

— Niech panu służą.

Zmęczona, dysząca wyrwała się z koła Mania Zadorska i padła na murawę przy grajku.

— Pysznie pan gra — zawołała.

— Uhm — mam gotowy chleb — w każdej tancbudzie. Dziesięć złotych za wieczór — i co wpadnie od gości.

— To i dziś goście powinni panu coś dać.

— A co? A co? A co? — zanucił.

— No! Cóżby pan żądał?

— Pani tak pyta, jakby miała co do dania.

— Albo nie!

— Rozumie się, że nie możecie dać nic!

— Jakto?

— Wszystkie wy tu — jesteście niewolnice.

— Masz! Znowu obelgi i urągania.

— Wcale. Już słyszę zgrozę, żebym tak zażądał buziaka. Krzyczałybyście, jak pawice.

— No — bo pewnie. Nie płacimy buziakami.

— Bo co? Takie to drogie! Salomon rzekł — że usta kobiece odmieniają się, jak księżyc.

— Cynik z pana.

— Do usług. Ale proszę — wyraźnie rzec, coby panie dać mogły!

— No co? Złotówkę!

— Cudzą, bo rodzicielską. Zresztą u was wszystko nie wasze. Należycie do rodziny, do obyczaju, do towarzystwa, do wszechmocnego »wypada — nie wypada«, do męża, do dzieci w następstwie, a swojego nie macie nic. Coprawda, że oszukujecie i okłamujecie wszystko i wszystkich i dajecie na stronę wiele wielu, ale tyle z tem kramu — że szkoda zachodu!

— Ohydny pan jest! Powiem panienom, co pan na nas wymyśla!

— No i co? Jedna przed drugą gotowa mnie mieć za męża, bylebym miał Zagaje.

— Chciałabym, żeby pan spróbował. Żadna pana nie przyjmie.

— To niezawodnie, bo ja się nie dam!

— Kwaśne winogrona! — rzuciła mu urągliwie i wróciła do tańca.

On grał machinalnie wciąż jakiegoś ludowego mazurka i nagle zmienił melodyę, ton i rzucił w roztańczone grono zuchwałą nutę »Czerwonego Sztandaru«.

Pary hasały chwilę z rozpędu i stanęli wszyscy. Rozległ się protest, okrzyki.

A wtem korepetytor zaintonował pieśń.

— Mazura, Mazura! — poczęto wołać. Panienki otoczyły Tomka, Brzechocka bez ceremonii wytrąciła mu smyczek, a Chojnowski, jako gospodarz, zaprotestował.

— Powaryowaliście. Droga o sto kroków. Ktoś przejeżdżający usłyszy, doniesie i będzie awantura.

— Ale to już późno! trzeba wracać. Tatuś czeka! — westchnęła Terka.

Opamiętali się wszyscy.

— Popsułeś nastrój, młody Satyrze! — mruknął doktor Sabiński.

— Taka jest wasza wdzięczność i zapłata — roześmiał się Tomek. — Gram dwie godziny pewnie. Na drugi raz przywieźcie ze sobą gramofon.

— Ach, kiedy będzie ten drugi raz — westchnęła któraś z pańienek.

Zaczęto się zbierać do odwrotu. Przy wsiadaniu na furgony — w ciemności, rozlegały się piski i nerwowe śmiechy — wreszcie wozy ruszyły. Tomek ulokowany na drabinie pociągnął ostro smykem po strunach i zagrał »Maćka«.

— Zabierasz skrzypce? — spytał doktor.

— Kupiłem — i to chyba jedyny mój dobry interes w życiu. To stary tyrolski instrument.

— Zda ci się, zda, w przyszłości. Masz, chłopcze, gotowy chleb w rękę z tą muzyką.

Nad ranem bracia znaleźli się znowu w wolancie — wracając do domu. Milczeli i Władek drzemał.

— No i cóż. Zatargowałeś Pułaską?

— Tak — jutro będę u matki z oficjalną wizytą —

ziewnął — ślub za dwa miesiące, przed Adwentem... i pojedziemy do Paryża.

Tomek bawił się skrzypcami i trącając palcami struny, wygrywał »O, mein lieber Augustin«.

— Teraz stary będzie łapać Strażyca dla Terki, a stara mnie pchać do tej garbatej. Mój Boże, jak oni będą dumni, gdy skojarzą takie trzy dobrane pary. Widzę, jak stara z chustką przy oczach padnie staremu w objęcia, szlochając: Felutku, zapewniliśmy los i szczęście dzieci, spełniliśmy nasz święty obowiązek rodzicielski.

O mein lieber Augustin, na fajce miał bursztyn.

Miał bursztyn.

— Ja jestem zupełnie z losu zadowolony.

— Poczekaj — jeszcze na wieczór. Niechno zostanieie na miodowe miesiące z teściową.

— Jak będzie dokuczać — wyniesiemy się. Kupię majątek. Będę miał przecie spłatę z Zagajów.

— Dużą. Połowę długów — a będzie tego pewnie z pięćdziesiąt tysięcy — bo stary ma lekką rękę do brania.

— Jest stryj!

— Jest — i być może jeszcze ze dwadzieścia lat.

— O dziesięć lat przecie starszy od ojca.

— To co. Krzepkie te stare Gozdawy — nie bój się, przetrzymają lata!

Władek umilkł, a Tomek, brząkając w struny, pośpiewywał:

O mein lieber Augustin, alles ist hin, hin.

*

*

*

W listopadzie odbył się ślub Władka Gozdawy z Pułaską i państwo młodzi wyjechali na kilkotygodniową wycieczkę za granicę.

Tomek, który bratu družbował i odprowadzał ich na stację kolei — gdy pociąg ruszył, ziewnął i pomyślał:

— Straszna rzecz, jak ci ludzie będą się nudzić ze sobą — prawie tyle co ja w Zagajach.

Zresztą on jeden pomyślał w ten sposób, bo rodziny były ze związku zadowolone.

Pan Feliks — do czasu, naturalnie śmierci brata — miał płacić Władkowi dwa tysiące rubli renty — pani Pułaska obiecywała córce po swem »najdłuższem życiu« połowę Żernik, a do tego czasu Władek miał majątkiem rządzić wspólnie z teściową.

Wyprawa panny młodej była wspaniała, wesele huczne z tańcami — okolica się zabawiła, naplotkowano się do syta — i cisza jesieni zaległa dwory.

Tomek »wisiał« w Zagajach — niby zajmując się gospodarstwem. Był zupełnem przeciwieństwem brata. Gdy Władek z regularnością maszyny wstawał o świcie i cały dzień spędzał na gumnie i polu, a wieczorem, senny, asystował przy banalnej rozmowie matki i Terki i wcześniej zasypiał, Tomek zjawiał się na folwarku około południa, ale miał specjalny talent dojrzenia wszelkich niedokładności, nieporządków, braków, wykroczeń administracyi, i ruchliwość, i brak wszelkiej systematyczności w życiu, co

doprowadzało do rozpaczy rządcę i jego akolitów. Nikt nie był pewny dnia ani godziny, kiedy i skąd wpadał — a właśnie to było najgorsze, że i w nocy nie było spokoju, gdyż Tomek rzadko kiedy w domu nocował, a kiedy nocował, to późno zasypiał.

Z początku matka nieśmiało protestowała przeciwko obyczajom i zwyczajom ze względu na zdrowie — i lamentowała nad jego złym wyglądem, ale po paru stanowczych oburknieniach — nie śmiała się odezwać.

— A pan Feliks, zajęty swem projektowaniem radcostwem — rzadko w domu bywał i nie lubił, gdy go »nudzano«.

Wisiał tedy Tomek w Zagajach i wisiały Zagaje — jak wisi wiele majątków — na łasce opatrności.

W parę tygodni po ślubie Władka nadszedł od niego list ze wzmianką, że gdy w przejeździe przez Paryż — postanowili »złożyć uszanowanie« stryjowi — nie znaleźli go pod dawnym adresem. Willa była sprzedana, a nowi właściciele objaśnili, że doktor Gozdawa wyjechał już przed kilku miesiącami — gdzieś na Riwierę.

— Dureń ten Władek! — obruszył się pan Feliks. — Ręczę, że na tem poprzestanie i wróci z niczem.

— Cóż chcesz. Miodowe miesiące. Czy on ma głowę teraz! — rzekła pani Feliksowa.

— Ciekawym, skąd mu dam rentę, jak to się tak pociągnie! — mruknął mąż.

Napisał do Władka zaraz, żeby zasięgnął o doktorze ścisłych wiadomości, ale państwo młodzi wyjechali tymczasem z Paryża — jeździli z miejsca na miejsce — z

hotelu do hotelu, z miasta do miasta, jak takie przeciętne młode małżeństwo — i list ich nie zgonił po świecie.

Gdy wrócili przed Nowym Rokiem do Żernik, pan Feliks zirytował się strasznie i napisał do znajomego w Paryżu, aby się o miejsce pobytu doktora dowiedział.

Był niespokojny i trapiły go złe przeczucia. W połowie stycznia — 17 — była to pamiętna data — przyszła odpowiedź, list z marką francuską, którą pan Feliks drżącymi rękami otworzył.

Było to wieczorem, po kolacyi. W salonie zebrani byli wszyscy z wyjątkiem Tomka. Pan Feliks, czytając, zbladł, poczerwieniał — potem głęboko odsapnął.

— Tomasz umarł! — rzekł do żony zmienionym głosem.

— Co ty mówisz! Kiedy? Gdzie?

— Werner pisze, że już od paru tygodni.

— Z czego umarł?

— Co to może kogo obchodzić. Ale że on nam tego nie doniósł! Pisze, że wyczytał w gazetach — myślał, że wiemy. Jezus Marya — dwa tygodnie. Toć tam może wszystko rozkradli.

— A gdzie umarł?

— Na Rivierze. W Nicei. Ot — wycinek z gazety. I ten dureń Władek nic się nie dowiedział. Mógł być przy śmierci — albo w chorobie dopilnować! Awantura!

— No stało się. Teraz trzeba działać.

— Terka, zawołaj — na Tomka!

Pan Feliks się wyprostował — twarz miał rozpromienioną i zarazem uroczystą — czuł się bardzo wielkim i potężnym.

Tomek zjawił się po chwili, ale minę miał dość obojętną.
— Nareszcie stryj umarł podobno? — rzekł. — A może to bajda. Taki stryj milioner to miewa twarde życie.

— To czytaj. — Pan Feliks podał mu list.

— Mamusiu — to teraz pojedziemy na karnawał do Warszawy! — zawołała radośnie Terka.

Ale pani Feliksowa wyszła była, by się nowiną podzielić z Deniską, która tego wieczora piekła jakieś przedziwne makaroniki.

Tomek przeczytał list i urywek z gazety.

— Teraz niech ojciec ładuje worki na złoto, bierze dokumenty i rewolwer i jazda po miliony.

— Tak, przedewszystkiem muszę zaraz ruszać do Warszawy, do prawnika. Będą ceregiele, koszty, ale nareszcie doczekaliśmy się wyzwolenia.

— Zdaje mi się, że wielka pora, bo właściwie mamy na Zagajach mało co więcej, jak tytuł własności.

— No, no — tak źle nie jest. Nie jesteś au courant interesów. Ciekawym — ile też mógł Tomasz zostawić?

— A ojciec pewny, że nam zostawił. A nuż się okaże testament?

— To go obalimy. Jesteśmy jedynymi spadkobiercami. Ho, ho. Nie dam się. Więc jutro rano jadę do Warszawy, ale do Paryża ciebie ze sobą zabiorę. We dwóch bezpieczniej i ty lepiej się po francuzku wygadasz. Władek tymczasem dojrzy gospodarstwa. Parę tysięcy trzeba wziąć na koszt, bo może to się przeciągnąć.

— Ja myślę, że przedewszystkiem trzeba być w Nicei — gdzie umarł. Bo tam przecie są rzeczy, papiery —

świadkowie zgonu — ostatniej woli.

— Nie wiem, może! — rzekł pan Feliks — nie rad nikomu przyznać racji. Poradzę się prawnika. Tymczasem może lepiej nie rozgłaszać.

— Już dwór wie przez mamę i Terkę — jutro wiedzieć będzie cała okolica. Zresztą łązą tu ciągle żydy z rachunkami — ta wiadomość dobrze wpłynie na ojca kredyt.

— Ano, pewnie — poco sekret. No — jesteśmy bogaci! Uf! Można będzie dom na innej stopie postawić!

— Czy ojciec znał dobrze stryja? — zagadnął Tomek zamyślony.

— Za młodu — tak, ale potem, gdy pojechał na studia, do Paryża, tośmy się rozeszli. Dziwak był — egoista, nieużyty.

— Właściwie zatem, skąd ojciec jest tak pewny, że nam zostawił miliony?

— Komużby?

— Mógł mieć kochankę, dzieci. Zresztą mógł nic nie zebrać.

— Wiem napewno, że nawet w Paryżu uchodził za bardzo bogatego. Dowiadywałem się przecie. Żadnych stosunków ani kobiet nie było. Jestem pewny, że umarł bez testamentu.

— Jeśli ojciec pewny — to jakbyśmy mieli pieniądze w kieszeni. Spróbujemy szczęścia w ruletę — nieprawdaż — i wrócimy tu własnym automobilem. A conto może mi ojciec da dzisiaj sto rubli.

Pan Feliks w takiej chwili nie miał nic do odmówienia

— i Tomek wetknąwszy pieniądze do kieszeni — poszedł do siebie, po drodze w korytarzu mrugnawszy na Zuzię.

Tej nocy świeciło się do późna w sypialni państwa. Pan Feliks nie mógł ani się położyć, ani uspokoić.

Jak powódź — perspektywa miliona zalewała jego duszę, tworząc coraz bujniejsze myśli i marzenia, a pani Feliksowa słuchała go — niema z rozkoszy — olśniona!

Czego nie było w tych projektach. I wyścigowa stajnia, i park, i rozszerzenie pałacu, i nowe meble, i karety — i kucharz mistrz — i piwnica. Przepych, wykwint, wszelkie wymagania zbytku i użycia.

I cały dwór zagajski był jakby w baśni i każdy wreszcie śnił cuda — i tylko Tomek, zasypiając nad ranem, pomyślał ze zwykłym swym cynizmem:

— Byłbym ostatnim durniem, żebym, jak stryj, zbierał i gromadził i dostał od spadkobierców tyle wdzięczności. Jeśli on z tamtego świata coś widzi i słyszy — musi być rad z nas wszystkich. Ja od siebie dziękuję ci, stryjku, za te sto rubli, com dzięki tobie ze starego wydusił.

I tyle doktor Tomasz otrzymał pamięci od swej rodziny.

Jak Tomek przepowiedział, wieść o »szczęściu« Gozdawów gruchnęła, jak piorun, po okolicy.

Zjawił się Władek z żoną i teściową, która padła w objęcia pani Feliksowej, wzruszona i promienna. Przyjechali wszyscy sąsiedzi z powinszowaniem, udając wielką radość i życzliwość — od żydów, proponujących usługi i pieniądze, nie mógł się Tomek opędzić i traktował ich z najwyższem lekceważeniem — służba stała się pokorna i uprzedzająco usługująca. Matki panien na wydaniu

zjadały oczami Tomka, młodzież nadszakiwała na wyścigi Terce, starsi panowie sąsiedzi już zgóry mówili o panu Feliksie: »przyszły nasz prezes«.

A pan Feliks po tygodniu bytności w Warszawie nawet do domu nie wrócił, tylko wezwał Tomka depeszą.

Chłopak pożegnał Zuzię i Kreta — oburknął się matce, która ze łzami dawała mu rady co do zdrowia, polecała jego opiece ojca i ostrzegała przed tysiącem niebezpieczeństw podróży z tylu pieniędzmi — i ruszył z domu — myśląc w duchu:

— Jak się dorwię do stryjowskiej kabzy — to starego puszczyć samego do kraju, a sam niegłupim tu wracać. Zostanę w Wiedniu — i użyję po tej całej tutejszej bryndzy.

W Warszawie znalazł ojca — już uzbrojonego we wszystkie dokumenty — w pieniądze i paszporty i ruszyli expressesem do Nicei. Pan Feliks był już w zupełnej gorączce. Nie miał oczu dla kraju który mijał, nie interesowało go nic w drodze, tylko się niecierpliwił na długość kursu i biadał, że go okradną.

— Nie mówię o kapitałach, bo te w bankach bezpieczne — ale kosztowności, drobne wartościowe przedmioty — pamiątki po zmarłym — tych pewnie już nie znajdziemy! — mówił strapiony.

— A wszystko przez głupotę Władka — powtarzał po każdym takim wybuchu żalu.

Ponieważ Tomek albo się gapił na okolicę, albo czytał romanse, kupowane po dworcach, albo spał — więc pan Feliks, nie mając uprzejmego partnera do rozmowy — ciągle coś notował i pisał — a raczej zasmarowywał całe

kolumny cyfr — przypuszczalnymi sumami spadku i ich użycia. Płynął w morzu planów i projektów. Czasem, z pod oka, syn mu rzucał drwiące spojrzenie, ale uwag nie robił, znajdując — że: »lepiej starego głaskać — jak ma mieć monetę«. I tak pewnego popołudnia stanęli w Nicei. Pan Feliks gotów był wprost jechać pod wskazany w gazecie adres — ale Tomek go przekonał, żeby ulokowali się w hotelu i dopiero stamtąd ruszyli na poszukiwania.

Dorożkarz pokręcił głową na kurs, zażądał wysokiej ceny — i powiózł ich daleko od zgiełku miasta, pod górę — w coraz węższe ulice. Wreszcie zatrzymał się przed małą willą — bardzo skromnego wyglądu.

Na dole, w kuchni, znaleźli właścicielkę — niemłodą, czarną, ordynarnie wyglądającą kobietę, i Tomek zagaił:

— Czy tu u pani mieszkał doktor Gozdawa?

— Tak — ale już nie mieszka.

— Wiem. Umarł. Jesteśmy jego najbliższymi krewnymi. Zaledwieśmy się dowiedzieli o śmierci. Czy może nam pani wskazać jego mieszkanie?

— Zajmował całe piętro. Zapłacił zgóry za pół roku. Właśnie drugi miesiąc się skończył gdy umarł.

— Sam mieszkał?

— Sam, ze służącą. Zaczny człowiek. Nawet moje koty go lubiły. Dobrze wyglądał, zdrowo. Zachorował nagle — na zapalenie płuc i tylko tydzień przeleżał. Rozumiem, jak panowie muszą być dotknięci. To był bardzo zaczny człowiek. Ale — cóż robić — to nas wszystkich czeka. Gdy już było bardzo źle, doktor, który go leczył, zawiadomił policję — zaraz po śmierci położono pieczęcie. Chory był

do końca przytomny, zadysponował pogrzeb — zostawił pieniądze i mówił, że rodzina się zgłosi.

— Więc mieszkanie całe opieczętowane?

— Tak — z wyjątkiem pokoju służącej.

— Ach, więc ta jeszcze jest. Chcielibyśmy ją zobaczyć, dowiedzieć się więcej szczegółów.

— W tej chwili jej niema, poszła na cmentarz — ale niewiele panowie od niej się dowiedzą. To głuchoniema.

— Głuchoniema! — powtórzył zdumiony Tomek.

— Tak, i bardzo mało rozwinięta. Ale doktor Gozdawa porozumiewał się z nią doskonale, i była bardzo troskliwą dla niego i widocznie oddaną całym sercem — bo dotąd z rozpaczki jest napół przytomna i całe dni spędza na grobie. Ot — wraca. Panowie może chcą z nią się tu rozmówić.

Wyszła na chwilę i wróciła, prowadząc za sobą kobietę drobną, czarno ubraną, której coś tłumaczyła, gestykulując z południową żywością.

Gozdawowie ciekawie jej się przyglądali.

Miała twarz suchą, bladą, jakby zastygłą, oczy czarne, bardzo smutne i spokojne, w ustach wyraz ogromnego bólu i zaciętości.

Spojrzała na przybyłych obojętnie i zwróciła się do gospodyni, nie rozumiejąc, czego od niej chce. Po dłuższej chwili dopiero skinęła głową, dobyła klucz z kieszeni — i ruchem ręki wskazała, że prosi na górę.

Na piętrze było troje drzwi — dwoje z pieczęciami, jedno wolne — otworzyła i wprowadziła Gozdawów do swego pokoju.

Nieduży, skromnie umeblowany — z widokiem na góry.

Zmrok już zapadał, więc zapaliła lampę — i wskazała Tomkowi leżący na stole arkusz papieru i ołówek, zachęcając, by pisał.

— No, przecie — dowiemy się tak wszystkiego, ucieszył się pan Feliks. — Ale po jakimu umie. Może Polka?

Tomek spytał po polsku, czy dawno służy u doktora.

Kobieta spojrzała na papier — potrząsnęła głową. Powtórzył pytanie po francusku — tedy wzięła ołówek — odpisała nieforemnym pismem: trzy lata. Rozpoczęła się w ten sposób długa i trudna rozmowa. Czytała łatwiej, ale pisała dużo ciężej — widocznie z wysiłkiem — i tylko krótkie odpowiedzi na najprostsze pytania.

Dowiedzieli się, że się nazywa Madame Duval — że jest wdową — że wyrabiała sztuczne kwiaty — że po śmierci męża wpadła w nędzę — że zebrała — aż ją doktor przygarnął.

Z Paryża zjechali do Nicei we wrześniu, doktor praktyką się nie zajmował, wychodził z domu codzień, dokąd i do kogo, nie wie, odwiedzało go w willi paru panów, ale jak się nazywali, nie wie — o rodzinie nigdy nie wspominał, więc gdy zachorował wezwała lekarza, potem było przy chorym trzech kolegów. Chorował tydzień tylko — po śmierci koledzy zajęli się pogrzebem — a urzędnicy opieczętowali mieszkanie.

Doktor, gdy zachorował — dał jej trzy tysiące franków na wydatki — a przed śmiercią jej powiedział, żeby o swój los była spokojną, bo zostawia ją pod opieką swej rodziny. W szufladzie biurka miał zostawić do rodziny list z rozporządzeniem swej woli.

Nazwiska doktorów nie wie, ale gospodyni objaśni.

Na pytania Tomka, co do funduszu, posiadłości w Paryżu i t. p. — odpowiadała, że nic nie wie. Wiedziała tylko, gdzie jest grób — i ofiarowała się ich zaprowadzić.

Ale Gozdawowie byli tego najmniej ciekawi, więc wyczerpawszy wszelkie przedmioty interesujące, zeszli do gospodyni — wzięli adresy doktorów, urzędu i odjechali — spojrzawszy na zamknięte okna mieszkania na piętrze, z zalem, że już dziś tam nie wejdą, nie odczytają testamentu.

— W każdym razie, — dobrze, że zostawił rozporządzenie — i że tę babę nam polecił. To dowód, że fundusz nasz, kiedy są legaty! — tryumfował pan Feliks.

— Możemy na conto wpaść na godzinę do kasina w Monte Carlo — i spróbować szczęścia! — rzekł Tomek, patrząc na zegarek.

— Spróbuję dotrzeć do doktorów — a ty — jeśli chcesz — możesz tam jechać. Tylko bądź ostrożny — zgodził się ojciec.

Rozłączyli się tedy na dworcu — i Tomek po północy wrócił za ledwie do hotelu.

— I cóż? — spytał ojca.

— Wszystko idzie, jak z płatka — opowiadał rozpromieniony pan Feliks. — Doktór był uprzedzony przez nieboszczyka o moim przyjeździe — i miał polecenie, żeby mi we wszystkim dopomógł. Jutro rano będzie ze mną w urzędzie — i jeśli moje dowody będą dla nich dostateczne — jutro dostaniemy się do mieszkania.

— No — a ty? Przegrałeś?

— Wygrałem pięćset franków! — rzekł Tomek,

wyciągając z kieszeni garść złota.

— Jesteśmy w wenie. A wiesz, że to był czas ostatni. Teraz ci mogę się przyznać. Żeby Tomasz pożył jeszcze lat parę — trzebaby było Zagaje puścić. Teraz wiesz, dlaczego musiałem tobie hałt powiedzieć.

— Ojciec myśli, że tego nie wiem. Trochę więcej mam oleju w głowie od Władka — i dlatego nie chciałem się na Zagajach mordować. One stały i stoją kredytem stryja. Tęgą nam oddał usługę za życia?

— No tak — ale i ja mam dobrą markę, i umiałem sobie radzić. Tyle lat! Ciekawym, ile też zostawił? Jak myślisz — będzie milion?

— Potrafimy użyć miliona! — zaśmiał się Tomek. — Swoją drogą, ten stryj był kiepski waryat. Całe życie zbierać — dla nas.

— Mój drogi, uczucia rodzinne są podwaliną charakteru. Musiał odczuć, że nas krzywdził za życia, i przed śmiercią się opamiętał. Miałem często żal do niego — ale teraz mu wybaczam — gdy błąd naprawił. Tylko powinien był nas wezwać, nie umierałby samotny. W ostatniej chwili miałyby wkoło siebie najbliższych.

— Właściwie — czy ojciec z nim się poróżnił? Czy ojciec go spłacił? Jak to było?

— To tyle czasu minęło. Wtedy ziemia była bez ceny, pieniędzy mało. On z domem zerwał, za granicą się kształcił — nie pisywał nawet. Doprawdy nie pamiętam, jak się te sprawy załatwiły. — To tak dawno.

— Prawnie — mógł swym funduszem rozporządzić, jak mu się podobało.

— No tak — prawnie! Ale nad prawem stoi sumienie, poczucie rodzinnego obowiązku, święte węzły krwi.

— Cnota skarb wieczny, cnota klejnot drogi! — zamruczał Tomek, ziewając.

Pożegnał ojca i poszedł do swego numeru, myśląc po drodze.

— Kobiety tu szyk. Można się zabawić. Byłe stary nie pił z powrotem i nie włóczył mnie po tych urzędach. A nie chcę mu sztorcem stawać teraz — kiedy ma monetę.

Wskutek tego, gdy nazajutrz pan Feliks wezwał go, by mu towarzyszył, Tomek bez wielkiego zapału, ale bez protestu chodził po różnych biurach i jurysdykcjach, i tyle wypracowali, że otrzymali prawo usunięcia pieczęci z lokalu.

— Pojedziemy jutro! — proponował Tomek znużony. — Ale pan Feliks był w gorączce.

— Ani chwili czasu nie stracę. Jedziemy!

Gdy stanęli przed willą — po dość długiej urzędowej ceremonii — otrzymali klucze, i pan Feliks drżącą ręką drzwi otworzył.

Głuchoniema stała na progu swego pokoju i patrzyła obojętnie. Gospodyni dała im lampę. Weszli.

Rozejrzeli się przedewszystkiem po mieszkaniu. Dwa pokoje po hotelowemu umeblowane. Salonik — sypialny — ubieralnia. Panował chłód i trochę zaduchu pleśni długo zamkniętego lokalu. Na stole w sypialni stały jeszcze flaszki od lekarstw, łóżko w alkwie zasłonięte niedbale rzuconą kapą — po sprzętach rozrzucona odzież i bielizna.

Parę kufrów podróżnych, trochę książek, papierów,

laska, płaszcz, kapelusz filcowy, drobne graty na biurku stanowiły widocznie osobistą własność lokatora, co odszedł — reszta należała do wynajętego mieszkania.

Na stoliku przy łóżku obok rewolweru, zegarka niklowego i papierośnicy — stał wielki bukiet zeschniętej mimozy.

Gozdawowie obejrzeni to wszystko w milczeniu, potem spojrzeli na siebie.

— Inwentarz nieduży! — rzekł Tomek. — Stryj się nie kochał w precyozach ani w elegancyach toaletowych.

— No — mogli dużo ukraść. Teraz, przejrzeć trzeba papiery! — odparł Feliks, zasiadając przed biurkiem.

Niewiele było do przejrzania. W szufladzie, w której klucz tkwił — leżała jedna koperta z nadpisem: »Do rąk brata mego, Feliksa Gozdawy«.

Ręce pana Feliksa się trzęsły, gdy rozdzierał papier — i drżał głos, gdy, rzuciwszy okiem na zapisany arkusz — rzekł do syna:

— Czytaj — zapomniałem szkieł w hotelu.

Tomek zaczął:

»Kiedyś, przed laty, przypadkiem urodziliśmy się w jednym domu i z jednych rodziców. Na tem się kończy nasz związek. Rozdzieliło nas następnie wszystko: charakter, wychowanie, zasady, pojęcia — i życie. Moje — jest ci nieznane — twoje jest mi wstrętne. Pracowałem ciężko — sam, bez żadnej od was pomocy, by się kształcić — nie miałem z domu nigdy zasiłku — na studiach w Paryżu, by z głodu nie umrzeć, najmowałem się do usług najmniejszych. Po śmierci ojca, obiecanych przez ciebie,

jako moją część ojcowizny, dziesięciu tysięcy rubli nie otrzymałem i na przypomnienie dwukrotne nie miałem nawet odpowiedzi — gdyż pokwitowanie urzędowe wydałem z góry, przeto nie byłem już potrzebny.

»Zrozumiawszy to — przestałem się odzywać i liczyć na coś innego — jak tylko na siebie. Postanowiłem być tylko człowiekiem — i zdobyć sobie nanowo — wszystko: imię, sławę i fundusz. Ten bój stał się mego życia celem, i zdobywałem, walcząc każdą myślą, każdym czynem — dzień po dniu przez lat długich piętnaście. Doszedłem — jestem u celu, i kocham wszystko, com zdobył — i kocham życie, którem sobie stworzył. Kocham swą naukę — i ludzi, którym mogłem przez nią ulżyć — kocham mój fundusz, bom go zebrał uczciwą, ciężką pracą — kocham me imię, bom je często słyszał na ustach ludzi — błogosławione; kocham moją sławę — bo moja własna — zdobyta myślą ciągłą o pomocy cierpiącym. Jestem szczęśliwy, spokojny i silny.

Te lat piętnaście tyś spędził bez pracy, bez myśli, bez celu. Wszystko miałeś dane, odziedziczone, gotowe. Com musiał zdobyć, ty miałeś tylko utrzymać. Ojcowiznę całą, imię znane i stanowisko uprzywilejowane, sławę tradycji rodu, pracę przy gotowym warsztacie na własnej ziemi.

»I oto dziś przychodzimy do obrachunku, i oto ja cię pytam — coś ty uczynił przez życie? Gdzie tve imię zapisane i kto je zna, kto je wspomina? Gdzie twój fundusz, ojcowizna, którą ci całą zostawiłem, i jaka twa sława — w kraju rodzinnym?

»Imię stoi w szeregu najgorszych wrogów kraju, bo

pasożytów, i wspomina każdy, co myśli i rozumie — jako gangrenę społeczeństwa. Fundusz pożarł zbytek bezmyślny, próżność głupia, próżniactwo i lenistwo, niezaradność i niepraktyczność. Przemarnowałeś tak ojcowiznę, przemarnowałeś posag żony — jesteś bankrutem, oszustem i nędzarzem.

»I jesteś jednym z wielu, klasy całej, która jest skazaną na zagładę przez nieubłagane prawo życia, które wyrok ten wydaje na wszystko — co nie myśli, nie pracuje, nie postępuje, nie kształci się i nie przystosowuje do coraz nowych potrzeb, warunków — do życia!

»Musicie zginąć, bo dla takich, jak wy, niema — miejsca, boście trupem i zgnilizną. Im prędzej zginiecie — tem lepiej — i oby pamięć o was zginęła — jak o wstydzie.

»Od lat piętnastu istniejesz i utrzymujesz się — rachując i oszukując swych wierzycieli dziedzictwem po mnie. Liczyć na kogoś, a nie na siebie, jest tak samo właściwością tobie podobnych — jak obwinianie zawsze innych, a nie siebie, w razie klęski. Był czas, gdyś mnie nazywał wyrodnym bratem, gdym odmówił tak zwanej pożyczki, potem stałem się bogatym bratem, mającym umrzeć — byś ty mógł zmarnować i jego jeszcze fundusz. To było wedle ciebie prawne, sprawiedliwe i słuszne, i tak niezawodne, że na to conto odłużyłeś do ostateczności Zagaje.

»A teraz przyszedł dzień dla ciebie radosny — nie żyję już — i przychodzisz po spadek. Bierz go — zapisuję i oddaję bez żadnych klauzul i zawarowań te dziesięć tysięcy, któreś mi z ojcowizny przeznaczył i nigdy nie oddał — to twoje — bo to nasze.

»Reszta jest moją — i twoją nie będzie nigdy. Skończyliśmy rachunki, i zostawiam cię losowi — na któryś pracował — przez całe swe istnienie.

»A teraz mam jeszcze sprawę o twe dzieci. Jeden z twych synów — starszy — nie potrafi być ani złym ani dobrym — jest niczem. Córka twa jest wychowaną na lalkę i bezużyteczny sprzęt domowy — nawet nie rozumie, co to jest być człowiekiem. Oboje są na to za głupi.

»Drugi twój syn — jest złym i krnąbrnym, zuchwałym i zdolnym. Dotąd potrafił tylko hulać i próżniaczyć, tracić i używać.

»Jest cynikiem, nic i nikogo nie szanującym, zarozumiałym i pysznym, egoistą i upartym w swych fantazyach. Ma wolę w złem — ma charakter zły — ale go ma — i ten może jeszcze być uratowanym.

»Zostawiam mu termin dziesięcioletni — aby został człowiekiem. Po upływie tego czasu osądzi go — i wyda nań swój wyrok wykonawczyni mej myśli i woli — Barbara Tryźnianka, w której pieczy i rozporządzeniu zostawiam mój — własny — pracą zdobyty — fundusz.

»I oto wszystko — co ci miałem do powiedzenia. Znajdziecie po mnie trochę gratów i książek i moją starą, głuchoniemą gospodynię.

»To cały spadek. Dodaję wam na pożegnanie radę: rachujcie tylko na sobie«.

Dr. Tomasz Gozdawa.

Tomek skończył — papier położył — spojrział na ojca.

Z szeroko rozwartemi oczami i usty pan Feliks siedział bez ruchu, bez mowy, jakby tknięty udarem. To bladł, to czerwieniał — i nagle zachybotał się — pochylił bezwładnie na bok — z jakimś niewyraźnym bełkotem.

Tomek go podtrzymał, rozerwał kołnierz — ułożył omdlałego w fotelu — otworzył okno, zbiegł na dół po wodę.

Gdy wrócił, pan Feliks powoli przychodził do siebie, ale był blady, okryty zimnym potem — i patrzył błędnie.

— Co to — co to było! — wymówił z trudem.

— No nic. Duszno tu — ojciec zasłabł. Proszę wypić wody.

— No — ale co teraz?

— Powrócimy do hotelu — niech ojciec się uspokoi.

— Ale — co ty myślisz? Jak to? — bezradnie stary szeptał.

— Myślę, że stryj mógł żyć jeszcze lat dziesięć.

— Nie — nie!

— Zatem z Zagajami jest tak — jak tu pisze?

— Żeby żył — to możnaby było zwłóczyć — czekaliby, ale teraz — z czym wrócimy!

— Odnajdziemy tę — jakże ją — zajrzał do listu — Barbarę Tryźniankę — i wytoczmy jej sprawę — lub skończymy z grubem ustępstwem. Tymczasem chodźmy stąd — późno i trupem tu czuć. Jutro przejrzymy skrzętnie papiery — trafimy na jakiś ślad, wskazówkę. Zresztą, ta niema zna pewnie ową Barbarę Tryźniankę.

Pan Feliks, pokrzepiony na duchu, nabrał mocy, i przeszedł z prostracyi w stan rozdrażnienia. Spojrzał w

stronę alkowy i pięścią pogroził:

— Wyrodek, zuchwalec, samolub bezduszny. Nie dam się ukrzywdzić, okraść, wyzuć z mego prawa. Nie dbam o twe groźby i sądy!

Tomek popatrzał nań i skrzywił się z niechęcią. Ale nic nie rzekł, tylko ów nieszczęsny papier schował do kieszeni — i sięgnął po kapelusz. Pan Feliks opamiętał się — i wyszli, zamykając za sobą drzwi.

Na dworze ogarnęło ich ciepło, wiosenne powietrze — ruszyli pieszo wśród willi — ku miastu.

— Co ja do matki napiszę? — mruknął desperacko pan Feliks.

— W każdym razie, nieprawdę! Najlepiej — że formalności ciężkie i długie, i że będziemy zmuszeni być w Paryżu, że pobyt nasz tu się przeciągnie — i że do roku nie można się spodziewać wywindykowania spadku. Matka wieść tę powtórzy natychmiast — i zyszczy na czasie.

— Masz rację i spryt. Dobrze, zem cię zabrał.

— No — uznanie miałem nawet u stryja, który zresztą obszedł się bardzo szczerze i otwarcie z rodziną. Nieboszczyk wielkiego kultu do nas nie żywił.

— Bezczelny, mściwy utylitarysta. Oszczerca i kłamca.

— Po co się ojciec na darmo żołądkuje. Będzie czas go zwymyślać — jak będziemy mieli pieniądze w kieszeni. Teraz tylko myśleć, jak je odszukać, a raczej odnaleźć tę Tryźniankę. Może to cudnej piękności wychowanka, z którą wypadnie mi się ożenić, żeby jej dowieść, iż jestem człowiekiem. Jestem spokojny, że mi skróci dziesięcioletni termin. Czy ojciec wraca do hotelu? Bo ja zajrzę jeszcze do

kasyna — i zagram na dziesiątkę.

— Napiszę do Paryża natychmiast, pytając o tę Tryźniankę.

— Po co? Jutro rozpytam niemowę. Przecie musi ją znać. Ojciec niech się położy i ochłonie.

— Jestem zupełnie zgnębiony. Nie spocznę ani zasnę. Taka klęska, taka krzywda!

A jeśli ta Tryźnianka w Ameryce?

— To ją odnajdą w Ameryce. Człowiek nie szpilka w stogu siana, a tembardziej ta musi być znana w otoczeniu stryja.

— Ale te poszukiwania będą kosztować — a my mamy już mało pieniędzy.

— To niech ojciec napisze do Władka, żeby przysłał parę tysięcy na kosztą spadkowe. Przyśle — sama stara Pułaska da.

— Napiszę zaraz, ale ty bądź ostrożny w grze — nie zapalaj się. Bo, widzisz, jeśli nas ta sukcesya ominie...

Zająknął się, oburącz chwycił się za głowę. Tomek się zniecierpliwiał.

— Ech, dałby ojciec spokój z takim melodramatem. Dobranoc — ja tu skręcę na dworzec.

I zostawił pana Feliksa na ulicy.

Z głową zwieszoną, zestarzały o lat dziesiątek, powlókł się stary Gozdawa do hotelu. Czuł w mózgu chaos, w członkach niemoc — jakąś grozę, przerażenie, lęk przyszłości.

Cały gmach jego nadziei, pomimo uspokojień syna, rozpadał się, chwiały, groził ruiną. Lata całe żył tą nadzieją

— chwili śmierci brata wyglądał, jak zbawienia, jak kresu ciężkiego szamotania z coraz cięższymi interesami — i nagle — zajrzała mu w oczy zmora bankructwa.

Bo jeśli nawet odnajdą ową Tryźniankę — i testament — to będzie on trudny do zwalenia, rozgłosi się po sądach i gazetach — i kredyt zginie — sądowe sprawy, koszta, lata zwłoki i bardzo problematyczna wygrana.

Występowała też niespodziewana komplikacja owego szyderczego wyszczególnienia Tomka. Wyglądało to na ironiczną złośliwość, aby w rodzinę wnieść ferment i niesnaski. Czy Tomek już rozumiał swe uprzywilejowanie, czy sobie jeszcze nie zdawał sprawy?

Pan Feliks nigdy nie zadawał sobie trudu studyowania swych dzieci — i myślał o nich bardzo niewiele. Gdy były małe, nudziły go i płacił bony, żeby nimi się zajmowały i uprzętały z pokoju, gdy grymasiły lub dokuczały gadaniem. Potem oddawał je do miasta, na stancję — i płacił szkoły, żeby nie mieć w domu kłopotu. Potem narzekał na wydatki, łązał za złe cenzury — i jednego wymagał, żeby chłopcy dostali atestat. Nie lubił ich, ani myślał o nich z jakimkolwiek specjalnem zajęciem — wystarczało mu, że przechodzą z klasy do klasy i że spędzają w domu wakacje. Potem myślał, żeby ich bogato pożenić, a córce wynaleźć bogatego męża i nadal, żeby ich jak najmniej w domu widywać.

W najdalszej przyszłości myślał zachować dla siebie jaknajwięcej funduszu po bracie i osiąść w mieście na radcowskiej synekurze, a synów podzielić Zagajami.

Ale dotychczas mawiał: »u mnie w Zagajach« i do

współdziału w rządach żadnego nie dopuszczał.

Tomek nie sprawiał mu kłopotu do skończenia gimnazyum w Warszawie — i dopiero gdy wyjechał za granicę, na politechnikę, harmonia została zakłóconą, aż doszło do katastrofy, i internowania panicza w domu. Innej rady pan Feliks nie umiał znaleźć, ani się zastanawiał, czy była dla chłopca stosowną. W ten sposób kupił sobie spokój i ograniczył wydatki.

Teraz, pierwszy raz w życiu pomyślał z niepokojem — czy chłopak nie ma żalu, czy nie chowa w sobie niechęci — i czy nie zechce korzystać ze swego położenia.

Bo ostatecznie — wedle prawa, doktor Tomasz mógł fundusz oddać synowcowi, nie bratu — i co będzie — gdy Tomek to zrozumie i stanie przeciw ojcu!

Pan Feliks poczuł wyrzuty sumienia, że syna rozdrażnił — i że go nie traktował inaczej. Ale — kto mógł przeczuć — taką katastrofę! Należało teraz taktykę zmienić. Więc gdy nazajutrz Tomek się ukazał — ojciec przyjął go dobrotliwym uśmiechem starszego kolegi.

— Jakże poszło? — spytał.

— A poszło! — gwizdnął Tomek. — Dziesiątka skrewiła — Tryźnianka musi się już we mnie kochać. No — trzeba jechać, żyłować niemowę. Stryj — mógł sobie być pozwolić na urodziwszą gospodynię. Ciekawym, ile jej ciepłą ręką zostawił.

— I jeszcze najbezczelniej — oddaje ją nam pod opiekę! — wybuchnął pan Feliks. Baba pewnie w dodatku obłowiała się po śmierci. Jak nam nie wyśpiewa wszystkiego — każe ją aresztować.

— Dużo ojcu z tego przyjdzie. Zresztą — ja ją biorę w opiekę — boć mnie stryj zrobił sukcesorem.

Pan Feliks zadrżał w duszy. A zatem Tomek już występował w swej roli. Przemógł się — i spróbował uśmiechnąć.

— A no, tak — masz miliony na księżycu.

— I owszem — o legat niemowy — sporu z tobą nie rozpocznę. Jak chcesz, zabieraj ją do Zagajów.

Znowu tedy ruszyli do willi — ale niemowy nie zastali. Jak codzień, poszła była na cmentarz.

Tomek zostawił ojca przy szczegółowej rewizji pozostałych po doktorze rzeczy — a sam poszedł za nią.

Odszukał grób — obwieszony wiankami szklanych kwiatów. Kobieta siedziała obok, z książką na kolanach — ale nie czytała, tylko haftowała chusteczkę batystową.

Nie poruszyła się, ani przestała roboty na jego widok.

Zdjął kapelusz, chwilę udawał, że się modli — a potem usiadł obok niej — i dobywszy notatnik, rozpoczął rozmowę od zapytania:

— Gdzie mieszka Barbara Tryźnianka?

Odczytała i odpisała bez namysłu: Nie znam. — Poczul, że sprawa nie pójdzie łatwo — więc zapytał, czy zna ostatnią wolę zmarłego?

Ponownie też sama odpowiedź.

— Co myśli dalej ze sobą robić?

— Zostanie tutaj, będzie doglądać grobu i zarabiać haftem.

— Więc nie wie, że zmarły polecił ją rodzinie?

— Nie — nie wie, ale jeśli tego żądał, to ona się

zastosuje.

— Więc bardzo kochała zmarłego?

Na to nie odpisała nic — popatrzała na Tomka, potem przed siebie — i uśmiechnęła się dziwnie. Spytał czy pamięta, gdzie doktor mieszkał w Paryżu. Podała adres.

Spytał, czy zna i wie, kto u niego bywał, jaka poza nią była służba? Odpisała, że odwiedzających nie znała — gości dawniej wprowadzał lokaj, a od dwóch lat doktor nikogo prawie nie przyjmował, więc służącego nie trzymał. Spytał, czy wie, że doktor był bardzo bogaty, posiadał pod Paryżem posiadłość, że uchodził za milionera. Potrząsnęła głową — tego nie wie, ani przypuszcza. Żył bardzo skromnie; nie używał mięsa i alkoholu, nie trzymał koni, a mieszkanie składało się z czterech pokoi.

Zmęczony, rozdrażniony Tomek przestał nareszcie ten kłopotliwy wywiad. Kobieta była albo zupełnie ograniczoną — albo wymusztrowaną wyśmienicę. Nic nie wie, albo nic nie zdradzi.

Na zakończenie napisał jej — że są spadkobiercami, że w celu ulegalizowania swych praw udadzą się do Paryża, gdzie im będzie towarzyszyć, i przed urzędem będzie badaną.

Nie zrobiło to na niej żadnego wrażenia — spytała — kiedy wyjadą.

Skinął, by szła za nim do willi, i więcej do niej się nie zwracał.

W willi zastał ojca zupełnie zgnębnego.

Przegląd rzeczy nie dał żadnego rezultatu — żadnego śladu. Nie było żadnych papierów, listów, jakiegokolwiek

nici przewodniej do dalszych poszukiwań. Gozdawowie spędzili w mieszkaniu parę godzin bezradni, zdesperowani — i postanowili jaknajrychlej jechać do Paryża — tam się zwrócić do ambasady, poradzić się prawników i znajomych — wezwać na pomoc agentów tajnej policji.

— A z tymi gratami co robić? — spytał Tomek.

— Zostawimy tu tymczasem. Kto wie: taki agent może będzie potrzebował je przejrzeć. Najpilniej trzeba śledzić niemowę. Ta bestya musi coś wiedzieć.

Pan Feliks po wczorajszym ciosie odzyskał zawziętość rozpaczy — postanowił walczyć, tropić, ziemię i niebo poruszyć. Przeciwnie, Tomek był gorzej usposobiony i tylko ramionami ruszał.

— Jeśli niemowa co wie — to ją kupią ci, którzy te pieniądze zagarnęli! — mruknął. Ale zresztą ojciec ma recht — nic tu więcej się nie dowiemy — możemy jechać.

Pan Feliks, wychodząc z mieszkania, rozejrzał się po niem raz jeszcze — i ostatnią myśl nienawistną, mściwą posłał zmarłemu.

— Odbiorę, co moje. Nie dam się obedrzyć! — mruknął, czemuś niewidzialnemu grożąc spojrzeniem i wyciągniętą ręką.

Ruch ten i wzrok widziała stojąca na progu swego pokoju niemowa. Trzymała w ręku kuferek i parasol, ubrana była, jak do drogi. Tomek skinął na nią — poszła za nimi w pewnym oddaleniu — jak pies za nowym panem. Na zakręcie uliczki obejrzała się na willę, przystanęła sekundę, jakby się zawahała — potem pokręciła głową, zgarbiła się — i ruszyła dalej.



W początku marca Władek Gozdawa otrzymał depezę od brata, aby przyjechał do Warszawy. Że wieści z Paryża przychodziły skąpo i lakonicznie, ruszył z gorączką ciekawości i niepokoju i spotkał Tomka na dworcu. Wydał mu się zmizerowany i z bardziej jeszcze wyraźnym grymasem cynizmu na twarzy. Przywitał go obojętnie, jakby się wczoraj rozstali, i spytał o zdrowie »Kreta«.

Uraziło to Władka, że się oburknął.

— Mógłbyś o matkę się dowiedzieć!

— Pisze dość często. Zresztą wiem, że pewnie opowiada Denisce o swych snach proroczych — i popłakuje, żeby nie wyjść z wprawy.

— Ojciec nie przyjedzie prędko?

— A poco. Ja mam się z tobą rozmówić.

— O czym? Pewnie trudno i wolno idą formalności. Zapewne i tam są urzędowe spadkowe terminy.

— Uhm — są — a jakże. Tymczasem jedźmy do hotelu, żebym się przebrał i zjadł cokolwiek. Gdzie stoisz? W Europejskim?

— Tak. Wziąłem podwójny numer i dla ciebie.

— Roztropnieś postąpił — bo ja jestem bez grosza.

— Posłałem wam przecie dwa tysiące rubli.

— To już dawne nieboszczyki te twoje tysiące.

— Bo czyż koniecznie tam siedzieć. Można polecić sprawę prawnikowi.

— Można ją nawet polecić Św. Antoniemu Padewskiemu. To będzie jeszcze taniej — a z takim samym skutkiem.

— Jakto?

— Bo ten spadek zobaczymy, jak swoje ucho, a dostaniemy — jak gwiazdkę z nieba!

— Co ty mówisz! Cóż będzie?

— Żeby wiedzieć, co będzie — tu przyjechałem, z tobą się poradzić. Ojciec wrócić nie może. Zresztą tak jest klapnięty, że niema co z nim gadać. Zupełny idyota.

Władek z wrazenia oniemiał. Zajechali przed hotel — Tomek się rozgościł w pokoju brata, mył się, przebierał — Władek upadł, jak bryła, w fotel — i patrzył osłupiałym wzrokiem w próżnię.

— Chodźmy na obiad! — ozwał się Tomek, wiążąc krawat przed lustrem.

— Jednego kęsa nie będę w stanie przełknąć — zajęczał Władek. — Czy ty możesz chcieć jeść!

— Mój drogi, żebym tak to odczuwał, tobym był na czczo od dwóch miesięcy. Już w styczniu było do przewidzenia, że stryjowskie pieniądze to ananas — nie dla nas.

— Jakto? Opowiedz! Ty nawet nie przypuszczasz czem to grozi!

— Ano, każ tu podać obiad, to jedząc — będę ci opowiadał — chociaż to wszystko balast językowy — i niepotrzebny upust śliny. Fakt jest — że cała afera — figa!

— Stryj nic nie zostawił?

— Czy zostawił i ile — wie o tem tylko Barbara Tryźnianka. A kto jest i gdzie się znajduje owa Barbara Tryźnianka — o tem nie wie nikt. Od kilku tygodni szukają jej za nasze pieniądze; policya, ambasada, prywatni detektywi, biura specjalne — i widzi mi się, że te poszukiwania mogą trwać lata, kosztować tysiące — i nie doprowadzą do niczego. Staremu mało co się należy. Żył za te pieniądze — więc teraz maszynerya trzasła — i korknie lada chwila. Przyjechałem, bo trzeba myśleć, co będzie dalej.

— Nad tem niema co myśleć! Dalej niema nic. Niema Zagajów, niema możliwości utrzymania się dłużej — jak do lipca. A te dwa tysiące pożyczyła mi teściowa. Co ja zrobię, czem oddam! — Władek desperacko ścisnął głowę w dłoniach.

— Także najmniejszy kłopot. Może ci w najgorszym razie położyć areszt na żonie, a chyba to wytrzymasz — zaśmiał się Tomek — zasiadając do obiadu.

Jadł z całą niefrasobliwością — i zaczął szczegółowo opowiadać przybycie do Nicei — i podał bratu ów list doktora.

Władek rzucił się gorączkowo do czytania — to bladł, to czerwieniał z wrażeń. Wreszcie skończył i z oczami wbitemi w podpis znieruchomiał.

A Tomek zapalił papierosa do czarnej kawy, i rozwaliwszy się w fotelu, spowaźniał.

— Między nami mówiąc, stryj ma rację — rzekł. — Stary całe życie nic nie robił — i my także nic. Ale

najgorsza rzecz i cała moja do niego pretensya, że trudno będzie nam dalej — nic nie robić. Stary korknie sobie spokojnie — ty masz żoniny fartuch, wikt i opierunek — a mnie na kark spada stara i Terka. Naprawdę — Zagaje uważasz za przepadłe?

— Zostaną jeszcze długi! — mruknął Władek. — A moje życie w takich warunkach!

— Jak ci baby zanadto dopieką — możesz je rzucić do dyabła. Masz patent z Puław — dostaniesz posadę gdzie w Rosyi — czy na południu — na Ukrainie.

— Ależ to niemożliwe. Ta Barbara Tryźnianka się odnajdzie! Musi się odnaleźć. Trzeba się rozpytać zřecznie doktora Sabińskiego. On stryja znał, kolegowali w Paryżu.

— Taak — rzekł przeciągle Tomek. To może ten stary cap dawał o nas informacje. Może to był szpieg stryja.

— Co znowu. Mówił, że go ledwie pamięta — nigdy nie wyjeżdżał za granicę. Zresztą bardzo dla nas życzliwy i przyjaźny.

— Mniejsza z tem, chociaż ja wierzę w życzliwość, gdy w tem jest interes, zresztą człowiek człowiekowi wilk. Czy znasz dobrze stan zagajskich interesów, bo stary mi tu dał spis, ale pewnie fałszywy — bo się wstydzi przyznać do wszystkich długów.

Wydobył arkusz zapisany z kieszeni i podał bratu, a sam zapalił papierosa i popijając kawę śledził smugi dymu i pogwizdywał przez zęby. Władek przejrzał spis i rzekł:

— Toć ojciec nie umieścił Małeckiej.

— Mówił, że ta z wdzięcznością kapitał zostawi.

— Już wymówiła oficjalnie — i była u mnie.

Powiedziała, że ojciec w drodze łaski obiecał jej zatrzymać kapitał do śmierci stryja — więc na wieść o tej śmierci, kupiła kamienicę na Starem Mieście, zadatkowała, i prosi o pieniądze. Rozumie się — zapewniłem, że będą wypłacone, boć myślałem, że to fraszka. Zresztą niema w tym spisie trzech tysięcy żydowskich należności, którzy będą najdokuczliwsi. Oni się rzucają na ruchomości i inwentarze. Są też zaległe raty Towarzystwa, nieopłacone od pół roku zasługi — otchłań — i ruina! Głos Władka łamał się — jakby dusił w sobie łkanie. Rysy Tomka, przeciwnie, twardniały — i oczy nabierały zaciętości. Przestał gwizdać.

— Psia krew! — warknął z wściekłością, ale nie rzekł do kogo stosował ten epitet.

— Masz jaką radę, widzisz wyjście? — spytał po chwili.

Władek myślał, patrząc na złowieszczy arkusz pełen cyfr.

— Może utrzymywać jak najdłużej w tajemnicy klęskę — zwłóczyć, tłómaczyć zwłokę urzędowemi trudnościami — a tymczasem starać się o kredyt. I może potrosze spieniężać co się da i gotówkę ukryć. Zebrałoby się jakie z dziesięć tysięcy — za sągi — konie — bydło. Srebra można wywieźć, przechować, cenniejsze sprzęty także.

— A potem?

— No potem — wszystko rzucić — na pastwę. Żeby ojciec umarł — toby też katastrofę odwlekło.

— A któż będzie urządził to spieniężanie i wywożenie. Bo ja — nie.

— Ojciec powinien wrócić. On potrafi oczy zamydlić.

— Już nie. Mówię ci, że klapnął. Płacze i desperuje —

jest jak szmata!

— Mój Boże — aleć tę Barbarę Tryźniankę odnajdą. Wierzycciele poczekają. To niemożliwe, żeby pieniądze się nie odnalazły. A ty widzisz jakie wyjście? — masz radę?

— Ja — pojedę do Strażycy i wyznam mu całą prawdę. On ma grube kapitały i doskonałą głowę — jak chce myśleć. Twojej rady ja nie spełnię — bo to jest świństwo, takie pokątne ograbianie wierzyccieli, żeby uratować marne dziesięć tysięcy. Rozumiem szwindel milionowy — ale takie paskudzenie się — to nie! Strażyc może poratuje — a pewnie coś poradzi. Trzeba też sprytnie wybadać Sabińskiego.

— A matka? Co powiesz matce?

— Powiem, że mam katar żołądka. Tak będzie zajęta leczeniem i dyetą — że to ją pochłonie.

— Wiesz, że Strażyc asystuje Terce.

— Pewnie nie dla posagu. A niechby ją brał. Tembardziejziej mogę go mieć za powiernika.

— Powiedz mi — a ta gospodyni stryja — coście z nią zrobili?

— Wisi przy nas. Z początku miałem nadzieję, że nam na co się przyda w poszukiwaniach, ale to idyotka. Wyjeżdżając, umieściłem ojca w prywatnym mieszkaniu, bo hotele nas zjadły. Baba siedzi przy nim, jeść gotuje i dogląda.

— Więc ostatecznie nie znaleźliście nic?

— Zabraliśmy z Nicei dwie skrzynie książek — narzędzia lekarskie — i kufer rzeczy osobistych. Ojciec na tem tkwi — szuka pieniędzy między kartkami i w

podszewkach odzienia. Myślę, że to mu przejdzie w manię i na tym punkcie zbzikuje. Brr — com ja użył!

— Ba — ale ostatecznie — ty jeden — może coś mieć będziesz. Możesz czekać dziesięć lat, możesz mieć jakąś nadzieję.

Tomek się rozśmiał szyderczo.

— Mój drogi — ojciec żył także taką nadzieją i my także. I ta »matka głupich« ładnie nas wyposażyła. Pamiętam, że kiedyś bolały mnie zęby — i stara Błażejka — nasza piastunka, tak mi je zamawiała: na morzu dąb — pod dębem kamień, pod kamieniem nitka — jak ślimak tę nitkę dostanie, a wróbel ją na gniazdo zanieś, wtedy niech cię zęby zabolą. Teraz to można zastosować do owego spadku.

— Jesteśmy jak ten z ewangelii: robić nie umiemy, zebrać się wstydzimy. Ano — jasna przyszłość: Ojciec skończy w przytułku dla idiotów — Terka sprzeda się mężowi, ty się sprzedałeś żonie, matka obsiadzie na karku rodziny — a ja, w łeb sobie palnę.

— No — tymczasem powiedzieliśmy sobie wszystko — wyjdę trochę na miasto — i wieczorem możemy jechać do domu — póki go jeszcze mamy.

Władek pozostał, zgarbiony w fotelu, bez możliwości otrząśnięcia się ze zgrozy położenia — i w tej samej pozycji zastał go brat po paru godzinach.

— Byłem w biurze adresowem — no i naturalnie żadnej Barbary Tryźnianki niema w Warszawie. I spotkłem na ulicy Ruchnę — tego, co kupił folwark u Chojnowskich. Przyjechał do swego składu maszyn, z Ameryki.

Winszował mi sukcesy — i bardzo żałował, że już nie potrzebuję posady, bo wakuje u niego w biurze miejsce korespondenta! Czy nie ironia. Musiałem przyjmować powinszowania z miną obojętnego milionera! A za pół roku będę wycierał przedpokoje różnych biur — z prośbą o miejsce choćby woźnego. A ty — możeś coś wymyślił nowego?

— Tak. Ojciec powinien mi wydzielić część z Zagajów, którą ja kupię formalnie. Zaraz do niego o tem napiszę, i nawet myślę — z tem do niego pojechać.

— I owszem. To ja już do niego nie pojedę. Z dwojga złego wolę ze starą zostać — a wy sobie urządźcie różne kruczki.

— Ja wprost się lękam do Żernik wrócić. Teściowa mnie zamęczy śledztwem. Jestem zanadto przybity — nie potrafię udawać.

Tomek spojrział nań z pogardą i zaczął zbierać do kufra swe tualetowe przybory. Gdy zbliżył się czas wyjazdu na kolej, spytał ostro:

— Więc cóż! Jedziesz ze mną, czy do Paryża?

— Zostanę tu — jutro się zdecyduję! — odparł wahająco.

Tomek ruszył ramionami.

— Dobrą sobie założyłeś obrozę — ale syty brzuch mieć będziesz w każdym razie. Ja jadę.

Wypadek posłużył mu wybornie. Na dworcu spotkał doktora Sabińskiego, który go powitał swym uśmiechem starego, szpetnego Fauna.

— Co to, jedziesz ze zwykłą hołotą. Nie bierzesz extra

cugu?

— Nie mam czego tak bardzo spieszyć.

— Ileż wzięliście milionów?

— Ojciec je liczy w Paryżu — jeszcze nie skończył. Rad jestem, że doktora spotkał.

— Mam nadzieję, że mi nie każesz siebie leczyć.

— No nie. Rad jestem tylko z towarzystwa.

— No, no — nie jestem taki naiwny, żeby w to wierzyć. Masz pewnie jakiś interes.

— Wcale. Chciałem z doktorem nieco o stryju pomówić. Doktor go znał przecie.

— Ja! Trzydzieści lat temu kolegowaliśmy w Sorbonie. Jeśli to znajomość!

— A potem już go doktor nie spotykał?

— Mogę ci zaręczyć, że do konsylium mnie nie wzywał.

— A ja właśnie byłem pewny — że wzywał.

— Co? Skąd to wnosisz? Może mi zostawił legat. Bardzo by był na czasie, bo mi ostatnia para spodni dziękuje za służbę — a jakoś na nowe brak mi funduszu.

— Niech doktor o swój legat spyta Barbary Tryźnianki.

— Co zacz jest?

— Myślę, że doktor wie coś o niej?

— Co mi za rebusy zadajesz. Wiem tylko o Tryźnie — że »grzechu wyzna« i »Byteń na klasztor oddaje«. Tryzna — znaczy ofiara po starosłowiańsku.

— Więc jednakże jest taka rodzina?

— Była przynajmniej, kiedy jest wspomiana w kantyczkach. Ale co to ma do twego stryja i mego legatu?

— Bo zapisał dużo Barbarze Tryźniance, która się dotąd

nie zgłosiła.

— Zgłosi się — bądź spokojny. Nie było wypadku, żeby obdarowany spadkiem nie upomniał się o swoje.

— A doktor nie wie, z jakich stron była rodzina Tryznów.

— Możesz znaleźć w heraldyce lub spisach szlachty. Macie pewnie Niesieckiego w bibliotece.

— Zapewne.

Tomek umilkł. Miał jakieś niejasne przeczucie, że Sabiński dużo wie, ale zarazem czuł, że w ten sposób nic się nie dowie.

Doktor zapalił nowe cygaro, strasznie podłego gatunku i wyładował z kieszeni całe stopy gazet, ale że w wagonie było już ciemno, więc nie czytał, tylko dymił, jak lokomotywa.

— Nie był doktor w Zagajach? — spytał chłopak po chwili.

— Byłem, bo na moje i swoje nieszczęście, Deniska się oparzyła benzyną — myjąc jakieś koronki, a Terka miała anginę.

— Matka musiała dopiero desperować.

— Bardzo zaaferowana waszą długą nieobecnością.

— Tak — tyle z temi pieniędzmi kramu.

— Gorszy by był bez nich. I zdadzą się wam bardzo. Potraficie je przewietrzyć.

— Przedewszystkiem trzeba oczyścić Zagaje.

— Zaczny zamiar. Boć wy wszyscy jesteście dworscy ludzie. Urodzony Gozdawa na Zagajach.

— Jednakże stryj umiał wybierać ludzi na szpiegów i

policyantów. Z pozostawionej ostatniej woli wnoszę, że informowany był przez kogoś z tych stron bardzo szczegółowo.

— I na mnie padło twe posądzenie?

— Niech doktor wybaczy, ale dotąd je zachowuję.

— Wybaczam, wybaczam. Jakie to szczęście, że minęły czasy inkwizycyi. Gotówbyś był mnie torturować. Mój chłopcze, szukaj gdzieindziej. Owej Tryźnianki przedewszystkiem. A może pytaj Strażyca. On co roku miesiącami siedzi w Paryżu — może coś paplał — i doszło do twego stryja. Zresztą — macie pieniądze — to grunt.

I doktor Sabiński wydobyl świeczkę z kieszeni, zapalił i zagłębił się w gazetach.

W duszy Tomka jakiś głos wołał, żeby wyznał całą prawdę, brutalnie, cynicznie, zuchwale, jak on to lubił i umiał, ale zadał sobie gwałt, zaciął się i niefrasobliwie gwizdał resztę drogi.

Na stacyi, gdzie obadwaj wysiadali, czekał na niego wolant zagajski, a doktor począł się targować z furmanami o cenę do miasteczka.

Wtedy znowu »coś« targnęło Tomka i zaproponował doktorowi swoje konie.

— Ale to ci z drogi! — lekko się stary certował. — Nałożysz godzinę czasu i ze cztery wiorsty.

— Czas niebardzo mi drogi, a cztery wiorsty nie moja fatyga, ale końska. Jeszcze nie przeszedłem do piechoty — zaśmiał się.

Doktor rozsiadł się w wolancie i pokazał figę furmanom, wołając:

— Niechno wasze Ruchle i Sury będą rodzić, to ja wam też moją cenę zaśpiewam!

Ale żydy znali te pogróżki, od trzydziestu lat — nigdy nie spełnione, i śmieli się w brody.

— Tak, tak! — mówił stary, rozpierając się w wolancie. — Dobrze jest za młodu nogi zaoszczędzić — na starość będziesz dymać, jak listonosz — swoją szewską parą rumaków. Twój stryj, co je zdarł za młodu, musiał potem kareta jeździć.

Tomek milczał — ogarniał go gorzki żal i potrzeba zuchwałego wyznania.

Wieczór był wyjątkowo ciepły, jak na marzec — załatywało już wiosną od pól czarnych, od bezlistnych jeszcze drzew.

Przypomniał sobie jakieś zdanie, słyszane lub czytane, że miłość ojczyzny rozpoczyna się z chwilą wygnania — i myśl ta uderzyła go, zadźwięczała, jak dzwon na trwogę.

— Czy doktor tu się urodził? — spytał.

— Nie. Jestem z Podlasia — młynarski syn. Pan ze dworu wziął mnie na wychowanie, bo ojciec zginął w ruchawce u jego boku. Takie wtedy były głupie młynarze — i takie głupie dziedzice. Nawet się teraz nie chce wierzyć w takie melodramaty. No, ale fakt jest — że temu zawdzięczam — iż nie kręcę wiatraka i nie okpiwam chłopów na miarce, ale za rubla grzebię w podołku babom i zapisuję jakieś świństwa, żeby ludziom przedłużyć cierpienie i utrudnić skonanie. Nie urodziłem się tutaj, ale tkwię już lat trzydzieści — i niby to ratuję cierpiącą ludzkość. No — ale skąd ci ta ciekawość — czy tylko tak

czujesz się w obowiązku bawienia mnie rozmową — w dodatku do ekwipażu?

— Chciałem tylko się dowiedzieć — czy doktor uznaje — to przywiązanie — do swego kąta.

— O — tak. Jestem pewny, że żadne brudy i śmiecie tak mi się nie spodobają — jak te tutejsze, że nie wybaczę żadnej głupocie na całym świecie, tylko tutejszej — i że nienawidzę żydostwa, o ile to nie żydostwo »mojego« miasteczka. Zdaje mi się, że to dowód wielkiego przywiązania.

— No, to ja przeciwnie. Niecierpię i tego kraju, i tych ludzi — i wsi — i natury — wszystkiego, co tutejsze.

— Więc co?

— Więc się lękam — czy mi tego nie będzie brak — jak to wszystko stracę.

— Jakoś cię ten milionowy spadek dziwnie sentymentalnie nastroił.

— Spadek. — Tomek się roześmiał i nagle zwrócił się do doktora, a oczy mu się aż zaiskrzyły.

— POCO doktor drwi i udaje? Doktor wie, że nas stryj wydziedziczył.

— Taak? No — proszę — taki filut! — rzekł po swojemu doktor i zaśmiał się ryhotem złośliwego Fauna.

Tomek milczał, więc po chwili Sabiński zagadnął.

— Będziecie mieli trochę ambarasu z tą siurpryzą.

Nie było odpowiedzi.

— No — więc gadaj, kiedyś zaczął. Któż spadkobiercą?

— Doktor wie! — burknął Tomek.

— Głupiś z tym ćwiekiem w głowie. Nie wiem nic i co

mnie to zresztą może obchodzić. Twój ojciec pożyczył u mnie kiedyś sto rubli, ale jak mi nie zwróci, to się bez nieb obejdę. Chcesz mówić — dobrze, a nie — to nie.

— Mogę mówić — od doktora dowiedzą się inni, to mi oszczędzi śliny. Po stryju nie znaleźliśmy nic, oprócz papieru z całą lejendą wymysłów i urągań, zakończonych obietnicą, że za dziesięć lat Barbara Tryźnianka mnie ma wręczyć spadek pod warunkiem, że będę człowiekiem. Widocznie do tej pory mam być małpą.

— Tak mi gadaj. Więc jesteś spadkobiercą.

— Za małe pieniądze sprzedam doktorowi spadek taki.

— Poczekać dziesięć lat, to dla ciebie fraszka. Młody jesteś — ale warunek! Nuż ta Tryźnianka nie uzna ciebie za człowieka.

— To najmniejsze. Mogę to jej dowieść na poczekaniu.

— Aha! tak to rozumiesz. Hm! stryj jednak nie napisał — że masz być samcem.

— Tylko co przez to rozumiał? Na czworakach przecie nie chodzę.

— A jeśli, broń Boże, owa Tryźnianka — ściągnie z ciebie egzamin pracy i cnoty? Znałem kiepskich waryatów — co licho wie czego wymagają od ludzi — a był jeden taki, co po dniu, z latarnią — bezskutecznie — szukał człowieka. Zawszeć, dla miliona, warto tę rzecz rozważyć, bo nuż twoja zoologiczna męskość nie będzie wcale wzięta w rachubę? Ale na to masz czas — a teraz trza myśleć, co będzie z Zagajami.

— O tem pomyślą wierzyciele.

— No — a rodzice?

— Warzyli piwo — niech je piją.

Sabiński pocałował kilkakrotnie swoją rękę.

— Co doktor wyrabia?

— Dziękuję sobie, że nie założyłem rodziny — i nie nahodowałem dzieci — tak zwanej podpory starości. I tobie też samo radzę, bo w takim razie, nie wyrzucą cię dzieci na śmietnik.

— Nie będę odpowiadać i cierpieć za czyjąś głupotę. Ojciec mnie się nie radził, jak długi zaciągał.

— Żył na rachunek spadku po stryju, a ty żyłeś na rachunek po nim.

— Tylko on używał — dłużej, niż ja.

— Phi! może lepiej być bankrutem, w lat dwadzieścia parę — niż w sześćdziesiąt. Ty możesz jeszcze wszystko zdobyć — byleś chciał — a on — ruina!

— Władek do niego pojechał. Może na spółkę coś wymyślą, żeby okpić kredytorów.

— No, a ty nie masz jakiego pomysłu?

— Z początku — jakeśmy to mydło zjedli — miałem tysiące projektów, ale teraz to niech oni radzą. Wołałbym zarząca paru żydów — jak im łącać.

— Dlaczegoż ojciec sam nie przyjechał?

— Bo się jeszcze łądzi. I tak mi obmierzł, że wołałem tu wrócić, jak słuchać jego desperacji — lub głupich nadziei.

— Na wieść o twoim powrocie żydzi się zlecają — no — i najważniejsza — Malicka. Baba się zaraz zjawi, bo strasznie jej pilno kapitał odebrać.

— Za drzwi ją wyrzucę. Jakie ma prawo mnie napastować. Niech czeka ojca. Do lipca jeszcze Zagaje

nasze.

— Radzę ci, ćwicz się tymczasem na skrzypcach. Będziesz mieć z tego kawałek chleba.

Tomek umilkł, patrząc na srebrny od księżyca krajobraz. Powóz wjechał do miasteczka i stanął przed mieszkaniem doktora.

Gdy wysiadł, Tomek go pożegnał drwiąco.

— Proszę powiedzieć Tryźniance — że i dla miliona nie będę się nudził cnotą — ani starał o jakieś głupie ideały. Życie jest, by użyć, a niemożna — to kulą w łeb.

— To bardzo dobre, jak człowiek ma takie stałe zasady. Staraj się tylko dobrze trafić, żeby mi nie było potrzeba z tobą się babrać.

Gdy Tomek został sam w powozie — chwilę gwizdał — a potem zapytał stangreta.

— Zuzia jest w garderobie?

— Nie — odjechała w zeszłym tygodniu do rodziców.

— A gdzież oni?

— Gajowym jest stary u pana Strażycy.

Tu stangret umilkł, a po chwili się obrócił i dodał z uśmiechem faktora.

— Ale ona do panicza przyleci i z za dziesiątej rzeki — byle zawołać. Moja stara ją sprowadzi, jak panicz każe.

Tomek coś zamruczał tylko. Coprawda, Zuzi miał już dosyć, więc spytał znowu.

— A jaka jest na jej miejscu w garderobie?

— Marciniakówna, dzióbata.

— Pan Strażyc dawno był u nas?

— Onegdaj. Konno przyjeżdżał. Musi, do naszej

panienki się ma! Często bywa. Ale to, proszę panicza, wartałoby naszą czwórkę zmienić. A pan Chojnowski ma parę kasztanów — coby nam się w lejc zdały. Sześćset je ceni — pięcioletnie — jak jeden.

— Mało jeszcze swoich — młodych.

— Starszy pan, wyjeżdżając, o tych mówił. Nasze — trochę małej miary.

— To niech starszy pan — jak wróci, tem się zajmuje. Ja mam polecenie stare sprzedać. Powiedz Żydom handlarzom.

— Rudy Berko kupiec na nie. Jutro będzie.

Stangret coś prawił dalej o zaprzęgach nowych i o karecie — co »jak piórko«, — ale Tomek nie słuchał — i ocknął się z zamyślenia czy drzemki — na bruku gankowym w Zagajach.

Pomimo spóźnionej pory, przyjęła go w sieni matka i Terka.

Przemógł zniecierpliwienie na powitalne okrzyki — i dość uprzejmie odpowiadał na pytania. Odbył też godzinę posiłku, ciekawe przysłuchiwanie się służby, blagował o stryju, o Paryżu, o trudnościach i zwłoce prawnej, a wreszcie zmęczony — począł narzekać na niedomagania żołądkowe, na zmęczenie podróży — i wycofał się do swego pokoju.

Pokój ten wychodził na służbowy korytarz — a okno miał do ogrodu. Znalazł ogień na kominie, swoje graty, atmosferę tak różną od hotelowej, że zamiast się położyć, wyciągnął się w wygodnym fotelu i poraz setny zaczął rozmyślać: co dalej?

Odpowiedzi przychodziło wiele — wszystkie nie wytrzymujące krytyki — a pozbyć się pytania nie mógł.

Wtem, ktoś zcicha zaskrotał w szybę okna. Tomek podniósł zdziwione oczy. Był to sygnał Zuzi — gdy latem wykradała się do niego z garderoby.

Za oknem migał cień. Wstał tedy — i otworzył. Smukła postać dziewczyny skoczyła na parapet — i ruchem kocim znalazła się w pokoju.

— Dobry wieczór, paniczu! Tak gnałam, że myślałam — serce wyskoczy.

— Z Leśniczówki?

— Ee — ktoby tam w lesie wytrzymał. Podrapałam się z macochą — i już trzy tygodnie, jak służę w Drobinie — niedaleko.

Śmiała się pysznymi, zdrowymi zębami — cała obraz zdrowia, gorącej krwi — wiosennej wybujałości i rwącego życia.

— Wybielał panicz i zmarniał — rzekła, ogarniając go wzrokiem rozkochanym. — Ale panicz nie wie, dlaczego zaraz przyleciała.

— No, może i wiem! — zaśmiał się.

— Bo nie! — odparła, usuwając mu się z rąk. — Przyleciałam — bo miałam o paniczu zły sen — dawno — jeszcze zimą i trapi mnie. Coś złego wisi nad paniczem.

— Ejże — Deniska ci wytłómaczyła.

— Zaśby — albobym komu się przyznała. Schowałam se w pamięci — ale ciężko samej nosić! Tak mi się śniło, że jakiś stary łysy pan — wyrwał paniczowi zęby i panicz cały okrwawiony — wołał na mnie, bym podała wody — a ja

ruszyć się nie mogłam — bo włosy mi się rozpletły i omotały nogi.

— I tyle! Jakoś na jawie skaczesz jak koza, przez okno.

— Niech panicz nie prześmiewa. Zęby i włosy, jak się snią — to nie chybi wielkie nieszczęście — choroba albo śmierć.

To ja nawet przez to zamąż nie poszłam. Posyłał swata Janek Ryczałek z Rudnik. To krewniak pana Ruchny — i on go zabiera do Ameryki — na dobrą posadę.

— Toś głupia. Ja ci pewnie dobrej posady nie dam.

— Ja też nie łakoma na bogactwa. Mnie byle robota i uciecha. Co tam! Choć głodno i chłodno, ale żyję swobodno. Panicz wie, zem nie chciwa, jak drugie. Nie poszłam za Jaśka — bo jak przyjdzie — że panicz zawoła »Zuziu« — to ja przylecę — będę niedaleko — i wolna. A tak mnie wciąż trwoga męczy o to nieszczęście!

— To się nie trap na zapas. Żyję i zdrów jestem — i przywiozłem ci kolczyki z Paryża. Choć-że — coś taka niedotknięta!

— Nie zostanę — przylecę innego wieczora — i kolczyków dziś nie chcę. Spieszno mi!

Objął ją — i do piersi przygarnął. Szarpnęła się — wyslizgnęła — jednym susem dopadła okna — i zginęła w ciemności.

Zdziwiony patrzył na nią długą chwilę.

— Ta idyotka — naprawdę mnie kocha — zamruczał. — Szkoda, zem nie Jasiek Ryczałek, albo ona nie milionerka!

Położył się i, zasypiając, roił jakiś wielki statek, pełen emigrantów — i siebie — w ciżbie brudnego chłopstwa — i

wokoło ocean bez granic — i cel daleki — szary, mroczny,
jak jesienny, ciężki dzień.

*

*

*

Katastrofa przyszła nieubłagana, i wcześniej, niż była spodziewaną. W dwa tygodnie po Tomku wrócił z Paryża pan Feliks, pozornie spokojny i nadrabiający miną, ale o lata zestarzały i z silnymi objawami nurtującej, nerwowej choroby.

Widocznie obmyślili z Władkiem sposoby ratowania, co się da, bo począł spieniężać cugowe konie, inwentarz, zboże na pniu. Ale po paru takich transakcjach — widocznie żydzi się spłoszyli — zaczęli podejrzewać — i nagle na Zagaje spadła masa drobnych wierzycieli małomiasteczkowych. Pierwsi byli pokorni — ale odprawieni obietnicą zapłaty — po odebraniu spadku — rzucili panikę na innych, którzy stawili się zuchwali, natrętni — grożący. Wtedy pan Feliks wysłał żonę z córką do Warszawy — ze dworu zniknęło stołowe srebro — i najdroższe sprzęty.

To było hasłem do otwartej już napaści. Posypały się sprawy sądowe — wyroki — i oto pewnego majowego dnia — zjawił się komornik. Miał prawomocny wyrok dla jakiegoś Kahana — i opisał ruchomości.

Wtedy — na widok urzędnika, wkraczającego jako wszechpotężne prawo — do jego domu, pan Feliks wyszedł do sieni — chciał coś mówić, poczerwieniał, zatoczył się — i padł na podłogę. Raził go atak paraliżu. Tomek ze służbą zanieśli go do sypialni — posłano po doktora.

Tymczasem w pałacu nakładano pieczęcie, ale pan Feliks już nic nie czuł i nie wiedział.

Przybyły Sabiński odratował go na razie — ale rzekł do Tomka.

— To pierwszy dzwonek — do pociągu na daleką drogę. Za tydzień mu to minie, ale wywieźcie do Warszawy — bo jeszcze drugie takie wrażenie, a będzie — koniec.

Tomek, wbrew swemu zwyczajowi — nie parsknął na ojca. Był spokojny.

— Chciałbym, żeby tutaj też był prędzej zupełny koniec.

— Bądź o to spokojny. Objedzą żydy Zagaje, jak ptaka mrówki — do czystego szkieletu. A ten szkielet zabierze Malecka.

— No — bywaj zdrów — wstąpię do Żernik — i przyślę ci tu Władka do pomocy.

Ale jeszcze przed Władkiem zjawił się Strażyc.

— Co się u was dzieje? — zagadnął, ujrawszy popłoch w domu.

— Ojciec miał atak paraliżu na widok komornika. Opisuje graty za dług Kahana — odparł Tomek.

— Dlaczegoż nie płacicie. Przecie odziedziczyliście miliony. Podobno macie trudności z wywindykowaniem spadku, ale czyż ten Kahan oszalał. Ileż się należy — zapłacę. — Sięgał do pugilaresu, ale go Tomek

powstrzymał. Był czerwony, to blady, i z trudem zaczął mówić.

— Nie — dziękuję panu. Tak musi być.

— Jakto?

— Jesteśmy zrujnowani — stryj nam nic nie zostawił.

Strażyc się zachnął, zmieszał.

— No — ale przecie — musicie się jakoś ratować. Czyżby tak ostatecznie źle było?

Spojrzał po meblach, po ścianach.

— Macie przepyszne mahonie — i agry. To nie może iść na licytację. To są antyki, unikaty. — Założył monokl i począł oglądać okiem znawcy i chciwego amatora.

— Na licytacji może pan kupić! — rzekł Tomek z szyderym uśmiechem.

— Nie dopuścimy do sprzedaży. Zaraz jadę do Chojnowskich — obmyślimy sąsiedzką akcyę, by tę gwałtowną sprawę zażegnać. Stara Pułaska coś przebąkiwała tymi czasy, ale tej wściekłej babie nikt nie wderzył.

Zaczął się żegnać — i powóz jego minął w bramie Władka, który konno wpadł, prosto od roboty w polu.

— Cóż Strażyc? — spytał niespokojnie.

— A nic. Pewnie kupi mahonie na licytacji.

— Wiesz, że Kuperman, Łunden i Myłachowicz mają też wyroki?

— Jak się te żydy zaczną drzeć teraz o zdobycz. Boć dla wszystkich nie wystarczy!

— Jakże ojciec?

— Drzemie. Siedzi nad nim stryjowska niemowa.

— Matce dałeś znać?

— A po co? Sabiński ręczy, że mu to odejdzie — więc za dni parę odwozę go do Warszawy.

— Nie wiesz — ile zdołał zebrać gotówki?

— Parę tysięcy. Ale ja z tego wezmę — ile się należy — i opłacę służbę. Odprawię całą tę nieużyteczną czeredę domową i ogrodową — no, i wrócę tu — by dosiedzieć do końca.

— Trzeba ci być u Maleckiej i rozmówić się. Jeśli chce zostać przy Zagajach — może dopłaci — i nie przyjdzie do publicznej sprzedaży. Ojciec miał to zrobić.

— Możebyś ty to załatwił, bo wiesz, że ja nie mam zdolności do tych rzeczy. Skończy się rozmowa, że babę wykпам — i tyle.

— Przedewszystkiem trzeba od ojca dostać plenipotencję do działania. Chodźmy do niego.

W półciemnej sypialni pan Feliks leżał nieruchomy — z zamkniętymi oczami. Niemowa siedziała przy nim.

Przywieźli ją z Paryża i od pierwszego dnia wzięła się do roboty, jakby całe życie tu była. Umiała wynaleźć sobie zajęcie, stać się wszędzie użyteczną i gdy pan Feliks padł, rażony atakiem — stanęła do ratunku pierwsza, spokojnie, rozważnie i sprawnie. Surowa jej, zastygła w wielki spokój twarz nie zdradzała żadnego wrażenia. Gdy synowie weszli i zbliżyli się do chorego, usunęła się nieco — usiadła w oknie — i wzięła się do roboty koronek, które tworzyła bajecznie pięknie i wprawnie.

Pan Feliks otworzył jedno oko — drugie było bez ruchu — i spojrzął na synów przez łyżę.

— Nie wzywajcie jeszcze matki! — rzekł z trudem. Sabiński mówił, że mi to odejdzie. Czy *ten* już odjechał?

— Już. To się załatwi. Niech ojciec się nie trapi — rzekł Władek.

— Miałem dziś być u Maleckiej. Napiszcie, prosząc — by tu przyjechała — żem chory. Ja się z nią rozmówię. Albo — niech Tomek do niej pójdzie — poprosi.

— Dobrze — ale niech ojciec się zmoże. Doktor radzi — by ojciec do Warszawy pojechał na kurację.

— Sabiński się nie chce fatygować. Tembardziej muszę się z Malecką rozmówić. To mnie uspokoi — pomoże!

— Będę dziś u niej. Teraz niech ojciec spocznie.

— Jestem pewny, że Malecką uchodzę. Namówię, żeby dodała pięć tysięcy — wtedy zepchniemy żydów — i będziemy Tryźnianki szukać...

Głos przeszedł w niewyraźny szept; bracia spojrzeli na siebie i wyszli.

— Skończony człowiek! — rzekł Władek — ale taki stan może trwać lata — a tymczasem, żaden z nas nie ma plenipotencji — żadnej możliwości działania.

— Co tu działać! Kręcić, łąać, ludzi oszukiwać. Ja mam tego dosyć. Raz sobie powiedzmy śmiało i otwarcie — nie mamy nic — i rzućmy wszystko na pastwę. Ja ci zapowiadam — że plenipotencji nie chcę. Ty ojca odwieź do Warszawy — i tam mu rejenta sprowadź.

— I pomyśleć, że pieniądze stryja gdzieś leżą — i dostać ich nie możemy! No, bądź zdrow, muszę wracać do domu. Mania niedomaga — kartofle kończę sadzić. Huk roboty.

Gdy Władek odjechał, Tomek ruszył w pole w kierunku

Drobiny.

Zagajskie pola obsiewano opieszale i byle jak; rozprężenie znać było na każdym kroku.

Tomek nałożył drogi, żeby nie przechodzić blisko pługów — i wnurzył się w brzozowe gaje, które stały w całej majowej krasie, pełne balsamicznej woni i ptasiego grania. Ścieżka się wiła wśród srebrzystych pni — i oto zaczęła się ogrodzenie Drobiny.

Ujrzał zaraz Malecką — uprawiającą grzędę warzywa — na czele kilku dziewcząt wiejskich, wśród których spostrzegł Zuzię.

Dzień to był bardzo ciepły, ale Malecka miała zawsze na głowie czarną chustkę i nieodłączny fartuch na barchanowej sukni.

Zuzia zobaczyła go zaraz i oznajmiła »dziedzicze«, która wbiła grabie w ziemię, otarła ręce o fartuch — i ruszyła ku domowi.

Spotkali się przy ganku. Tomek ukłonił się sztywno i urzędowo, bez żadnego wstępu, rzekł:

— Przychodzę z polecenia mojego ojca, który nagle zasłabł i prosi panią — o przybycie do Zagajów — dziś, zaraz, dla załatwienia interesu.

— A cóż tak pilnego. Pan Gozdawa pozdrowieje — to załatwimy interes.

— Ojciec miał atak paraliżu — więc kto wie, czy pozdrowieje. Poleciał mi bardzo usilnie panią prosić o tę bytność.

Malecką poruszyło to widocznie, spuściła głowę, zamyśliła się.

— Bieda u was! — rzekła, podnosząc oczy i patrząc pytająco, badawczo na Tomka. Chłopak poczerwieniał i zbladł.

— Tak — u nas jest źle, — odparł z odruchem szczerości — ale zaraz dodał po swojemu szyderczo.

— Dostanie pani tanio Zagaje.

— Mnie dosyć Drobiny, ani się pędzę na interesy. Ano — swoje pieniądze chcę mieć — to moje prawo. Może pan wstąpi pod dach?

— Przeszkodziłem pani w robocie — nie chcę zajmować czasu.

— Ja pracuję z ochoty, ale i spoczną chętnie. Gorąco dzisiaj — będzie burza.

Tomek wszedł za nią do chłodnej sieni, potem do dużego pokoju, który widocznie służył za jadalnię — i salon.

Proste, drewniane były sprzęty, ale wielka, niezwykła w takich dworach, czystość.

Na stole stał dzban mleka i bochen chleba czarnego — podwieczorek.

— Może pan pozwoli kubek chłodnego mleka — rzekła z prostotą.

— Dziękuję pani. Z przyjemnością — bo jeszcze nie jadłem obiadu.

Nalała mu, podała — i sama się zabrała do posiłku.

— Kiedy chory mnie wzywa, to ja zaraz z panem do was pójdę. Chociaż, na mój rozum, nie pomoże Zagajom — choćbym i kapitału nie żądała. W lipcu, żeby utrzymać się, trzeba gotówki dwanaście tysięcy. A potem, dalej — będzie męka, niedostatek, zgryzota dnia i nocy. Już nie siły pana

Gozdawy na takie borykanie.

— Pewnie — ale on to będzie wolał — jak stratę swego domu i tego ziemi kawałka. Jeśli pani kapitał zostawi — oszczędzi mu pani strasznego ciosu, a pieniądze pani w żadnym razie nie zginą.

— To pan by chciał — żeby rodzicom było spokojnie? Żałuje pan ojca?

— Nie pora go krytykować — kiedy może umrzeć lada chwila. A matka — to niedołążne dziecko — o mózgu ptaka. Jak ojca nie stanie, to ona potrafi tylko płakać. Trzeba ją będzie karmić, ubierać — ot, jak dziecko!

— A któż się nad nią zlituje i da opiekę?

Tomek ramionami ruszył.

— Któżby? Niby ja. Bo brat się ożenił i służy u Pułaskich bez pensyi.

— To pan ma szczęście!

— Bajeczne — zaśmiał się szyderczo.

— Ale pan by nie został w Zagajach?

— Po śmierci ojca — za nic.

— No — to ja tak myślę zrobić. Zostawię kapitał — a niech pan Gozdawa wyda panu plenipotencyę — i my z panem te interesa rozpatrzemy. — Pan położenie jasno widzi — i pan za rodzicami dobre słowo rzekł, choć pan by mógł być na ojca rozgoryczony i choć pan prędki umie być!
— No, kiedy pana wola — możemy iść.

Zdjęła fartuch — i poszli.

— Marnie orzą u was! — rzekła po drodze.

— Służba nie płacona pół roku, uprząż robocza bez obroku, bo cugowe konie owies zżarły. W Zagajach trupem

czuć, a wtedy wszyscy wszystko rabują.

— To prawda, że was ten doktor milioner wydziedziczył?

— Prawda.

— To łotrostwo z jego strony.

— Zależy. My jego pieniądze uważaliśmy za nasze, a on za swoje. Zresztą, może nic nie zebrał. Na jego miejscu, jabym też wolał przehulać, jak zbierać dla nieznannej rodziny.

Na ganku Malecka obejrzała się po klombach, zwirowatych drogach, po kunsztownych grupach drzew, i pokręciła głową.

— Szkoda, żeby to wyrąbali chłopci — na koloniach, a utrzymać — koszt ciężki i zbyt kowny. Taka u nas zagadka ze wszystkimi pańskimi dworami — i taki moment — jakby w chorobie — operacja.

— Pacjentów sporo tej operacji nie przeżyje. Może pani chwilę tu spocznie — meble wprawdzie już opisane do sprzedaży, ale siedzieć na nich jeszcze nam wolno. Pójdę, dowiem się — czy ojciec nie śpi.

Gdy wrócił, zastał Malecką zapatrzoną w portrety rodzinne. Wskazała jeden.

— Ten wojskowy — to bardzo do pana podobny. Jakiś krewny?

— Dziad, Szymon Gozdawa, oficer wojsk polskich. Mamy jeszcze ten jego mundur i order.

Spojrzał po portretach i rzekł, śmiejąc się.

— Wojowników tu sporo. Możemy i swoje podobizny tu zamieścić — jako walczących z różnymi Kahanami i

Kupermanami. Czasy się zmieniają, ale Gozdawy zawsze waleczni. Proszę panią — ojciec bardzo się ucieszył — i gotów do rozprawy.

Malecka, wchodząc do sypialni, bystrem okiem obejrzała wszystkie kąty — zatrzymała wzrok na niemowie, która, korzystając z resztek światła, z błyskawiczną szybkością plątała nici koronek.

— Witam panią! — o wiele mocniejszym już głosem odezwał się pan Feliks. — Proszę — niech pani usiądzie — trochę zaniemogłem — przeciąg był dziś w sieni — zawiało mnie, ale Sabiński mi pomógł. Za parę dni wstanę.. Zawsze jednak w interesach — nie lubię i dnia tracić i dlatego rad jestem, że dziś się rozmówimy.

— Owszem — i ja rada jestem. Wedle pana woli, dowiedziawszy się, że brat pana zmarł, zakrzątnęłam się około innej lokaty dla mego kapitału. Pan go raczył wziąć tylko na krótki czas — do otrzymania spadku.

— No tak, ale pani nie ma pojęcia, ile tam za granicą ceregieli i trudności. Chwilowo może mi być trudno z tak dużą wypłatą i dlatego chcę panią prosić — o pozostawienie tych pieniędzy — na czas jakiś.

— Na jaki czas?

— Chociażby na rok.

Malecka spuściła oczy i milczała.

— Mięknie baba — pomyślał pan Feliks.

— A pan zupełnie pewny — że za rok otrzyma spadek — ozwała się powoli.

— Najniezawodniej.

Tomek, który był wszedł do pokoju, zbliżył się do łóżka i

rzekł:

— Niezawodnie Zagaje same gwarantują kapitał pani — i stanowią ewikcyą.

— Proszę cię — mój drogi — ja rządzę i wiem, co mówię. Nie mieszaj się! — niecierpliwie fuknął pan Feliks.

— A właśnie ja chciałam panu podać moje warunki! — ozwała się spokojnie Malecka. Pan się już napracował i dosyć nabiedził. Pan teraz niezdrów — potrzebuje spokoju i wypoczynku. Nie mówiąc o sukcesy — Zagaje obciążone dosyć — i trzeba dobrych sił — żeby podołać. Niech pan wyda plenipotencyę synowi — to już ja z nim się ułożę.

— Pani wybaczy, ale jestem jeszcze właścicielem i dam sobie radę — własną głową. A w każdym razie — mam starszego syna, który ma większe kwalifikacye na plenipotenta.

— Jak pan sobie życzy. To ja tylko na prośbę pana kapitał jeszcze na rok zostawię — jeśli mi pan słowem honoru zaręczysz, że z sukcesy po bracie swoje otrzymam.

— Słowem honoru ręczę, że za rok otrzyma pani swoje pieniądze odemnie.

— Oj, proszę pana — i ja umrzeć mogę — i pan. Tyle naszego — co dusza. Mnie pana szkoda — tyle się pan biedzi — napróżno. Ano jak pan tak chce — niech będzie. Do roku nie posłyszysz pan odemnie żadnego przypomnienia. Nawet i na procent poczekam. — Wstała, ukłoniła się — i przechodząc koło niemowy, rzekła:

— Dobra taka robota na zimowe wieczory. Jakby pani czas miała, proszę mnie nauczyć.

— Ona nie słyszy. Głuchoniema! — rzekł Tomek.

— A — biedna. To niech jej pan powtórzy na migi moją propozycją. Ona, kto taka? Wyszli z pokoju i Tomek ją objaśnił.

— To droga osoba! — pokiwała głową.

Gdy byli na ganku, stanęła jeszcze.

— Zrobiłam jak pan chciał — i na nic.

— Nie rozumiem, co się ojcu stało. Musi mieć jakieś swoje kombinacje.

— Ano — trudno — jest głową domu.

— Do sprzedaży nie dopuścicie?

— Nie wiem.

— Może i lepiej — żeby sprzedano — bo jak zapłacicie Kahana inni na graty spadną. W starych tych sprzętach mól się gnieździ i stare pamiątki czasów, co przeszły i nie wróca. Szkoda wam tego — rozumiem — ale trza wam młodym iść dalej — nowymi drogami. Jeśli do licytacji przyjdzie — to niech mi pan da znać — cobyście zachować chcieli, to ja kupię — i u siebie w spichrzu przechowam — i bez zarobku wam kiedyś oddam.

— Dziękuję pani — ale myślę, że zadługoby stały w spichrzu. Gdy wyjdziemy z Zagajów — wymarnujemy się — lub wegetować będziemy jako przeżytki. W każdym razie za dobre pani chęci bardzo wdzięczny.

— Pana pierwsza bieda spotyka w życiu, to pan jeszcze mdły. Ja tyle miałam biedy — ile siwych włosów mam na głowie, to i czuję drugiego zgryzotę. I cierpieć człowiekowi się nie chce — i pracować się wzdraga — a potem jak się wciągnie — to tem tylko żyje.

— Słabemu, nie zwykłemu — pomódz ochota. Ja już

wszystkie biedy znam — więc teraz patrzę na pana, jak na rekruta.

Ludzie mówią — żem bardzo bogata — a moje bogactwo — że potrafię pracować — i małem się zadowolnić.

Żegnam pana — i proszę zawsze do Drobiny w razie potrzeby.

Zeszła na drogę i jeszcze się raz odwróciła.

— A Zuzię zmarnować szkoda. Z duszą ludzką trza jak z ptaszkiem dzikim!

Nie zebrał się na odpowiedź, tylko ramionami ruszył — i wrócił do ojca.

Pan Feliks drzemał. Wieczór był cudny, majowy, do pokoju wpadał przez otwarte okno śpiew słowików, rechotanie żab — i kłęby woni bzów. Na pogodnym niebie nów się srebrzył.

Niemowa siedziała u okna, beczynnienie, zapatrzona w wiosenny świat.

Tomka objęła żalność, smutek, gorycz. Usiadł naprzeciw niej z głową zwieszoną — i czuł w gardle łzy.

Z mroków pokoju — naprzeciw tego kwitającego życia — wypełzała śmierć, nędza, ruina. Miała szarość, chłód, beznadziejność jesieni. Wtem uczuł, że niemowa wstając, wzięła go za rękę i wskazała sąsiedni, oświetlony pokój. Poszedł za nią.

Zacząła pisać w zeszycie, który zawsze ze sobą nosiła.

Pytała, co znaczyły pieczęcie na sprzętach. Tedy odpisał szczerze.

— Jesteśmy zrujnowani — stryj wydziedziczył —

długów więcej, niż wartość funduszu.

Wieść tę przyjęła spokojnie — i odpisała, że stryj jej dał pięć tysięcy franków — z których jej pozostało jeszcze trzy — i że je im odda.

Roześmiał się — i odpisał, że powinna myśleć o sobie, bo oni jej nie będą mogli utrzymać — zawiadomił ją też — o propozycji Maleckiej. Ruszyła ramionami.

Była zupełnie o swój byt spokojna — utrzyma się z roboty koronek — bardziej się troskała o chorego — i stanowczo te trzy tysiące franków im odda — gdyż do nich należą.

Tedy jeszcze raz spytał ją — czy nic nie wie o funduszu stryja — i jeszcze raz odpowiedziała przecząco.

Spojrzeli potem na siebie i pokiwała głową z uznaniem dla niego — pisząc prędko:

— Vous aurez une rude besogne — de les nourir tous. Vous êtes brave.

Teraz on ruszył ramionami i odpisał, że sam sobie chleba nie umie zarobić.

Zdziwiła się: jakto, przecie musi, trzeba. Zniecierpliwiony — zostawił ją — i wyszedł do ogrodu.

Noc była rozmarzająca wiosennym urokiem. Tomek minął podwórze, sad — wydostał się w pole — i na skłonie rowu wyciągnął się — śmiertelnie znużony — i rozstrojony.

Jak długo tak leżał, nie zdawał sobie sprawy — wreszcie usłyszał szelest kroków — i cichy szept: paniczu?

Nie poruszył się, ani odpowiedział:

Zuzia znalazła go — usiadła obok i milczała.

— Idź stąd — wracaj do Drobiny — warknął.

— Co ja paniczowi tu szkodzę, że sobie trochę posiedzę. W taką noc — nie uleżyć w pościeli. I ja mam interes do panicza.

— No — to gadaj — i daj mi spokój.

— Ludzie gadają, że moja pani kupi Zagaje.

— Może ty chcesz kupić!

— I-i-i. Panicz kpi ze mnie. Ale ja mam już sto rubli w kasie. Może panicz je chce wziąć?

— Na co?

— Może paniczowi potrzebne.

— Idź do stu dyabłów!

— Panicz zawsze po swojemu. Toć meble opisali w pałacu, paniczowi pieniądze potrzebne.

— Słyszałaś — idź do dyabła!

— Owa — a potem panicz znowu na mnie zawoła: Zuzia — chodź ino!

— Idź, nie zawołam już!

— Czemu? — szepnęła żałośnie.

— Bo mnie tu nie będzie. Ludzie prawdę mówią. I meble sprzedadzą i Zagaje twoja pani kupi i nikogo z nas tu za mały czas nie zostanie.

— To panicz w mieście będzie, w Warszawie?

— Mniejsza z tem, gdzie będę. Ciebie ze sobą nie zabiorę.

— To się wie. Ale żebym wiedziała, gdzie panicz będzie — tobym gdzie niedaleko na służbę poszła. Żeby najcięższa służba, tobym chwilę znalazła bieliznę uprać i w porządku utrzymać.

— Głupiaś, czy szalona.

— Pewnie, że głupia — ale mnie tak dobrze. Wiem, że panicz o mnie tyle dba, co pies o piątą nogę — ale mnie tyle uciechy — co przez panicza.

Tomek usiadł i popatrzał na dziewczynę.

— Ja się lada dzień ożenię z bardzo bogatą panną — sług mi nie będzie brakło.

— Gwałtem się cisnąć nie będę, ale żeby panicz wiedział, że ja i Kret — to jedno. Już sobie pójdę — ale jakbym się zdać mogła — to niech panicz zawoła.

Odeszła, zanim się spostrzegł. Pozostał długą chwilę — zapatrzony tępo przed siebie, wstrząśnięty dziwnie miękkim wrażeniem. Gdy wrócił do domu — miał już przed sobą — jakby ślad drogi — jakby wśród ciemności — słaby promień dalekiego świtu. Nazajutrz pan Feliks, czuł się o tyle lepiej, że rano posłał po Władka i długo konferowali we dwóch. Wezwano wreszcie Tomka i dowiedział się o rezultacie narady.

Miał pojechać do Strażycy — zakomunikować mu list doktora Tomasza i zaproponować — by jemu — Tomkowi — pożyczył większą sumę — na rachunek owego legatu za dziesięć lat.

Władek niespokojnie patrzył na brata i radośnie się zdziwił, że bez sporu żadnego się zgodził i wyszedł, jakby zaraz miał jechać. Ale radość była krótka, bo gdy pożegnał ojca — znalazł Tomka w salonie, leżącego na kanapie z książką w ręku.

— Pojedziesz po obiedzie? — spytał.

— Toś ty wymyślił tę akcyę ratunkową?

— Ja.

— Domyśliłem się. Stary podobnie czegoś głupiego by nie wykombinował — nawet po ataku paraliżu.

— Proszę cię... — zaczął obrażony Władek.

— Nie proś — zaraz ci bez prośby moje zdanie powiem. Jakoś wymyślił to z tym projektem, jedź sam do Strażycyca.

Jeśli przystanie — ja mu podpiszę, jakie zechce weksle i obligi — ale żebym sam podobne głupoty proponował — na to mnie niema.

— Nie rozumiem, dlaczegoby nie przystał. On się na seryo zakochał w Terce.

— No więc co! Po pierwsze taki Strażyc się nie kocha, ale ma gust do młodej, zdrowej i przystojnej dziewczyny — jak wszyscy przeżyci, tego nadszarpnięci panowie. Chce podlotka i dostanie — bez starania się o względy i łaski zbankrutowanych rodziców.

— Dadzą ci ją dadzą — sami przyprowadzą — jak śpiewa moja Zuzia.

— Więc dziewczynę dostanie, ale po to nie potrzebuje tracić tysięcy — na Zagaje boć wiesz, że każdy grosz tu rzucony — to przepadły.

— Naturalnie — jak tak myślisz — to musi wszystko przepaść. Pamiętaj — że na twojem sumieniu będzie ruina ziemi — no — i śmierć ojca. On tego nie przeżyje.

— Co? Na mojem sumieniu! — skoczył Tomek. Najprzód był winien stryj, a teraz ja! Jedź do Strażycyca — mówię ci, że podpiszę, co zechce. Może ja też jestem winien, że ojciec odrzucił propozycję tej baby z Drobiny? Dość panuję nad sobą, żem staremu głupstw nie nagadał dotychczas — ale ty mi z kazaniem nie występuj, bo stracę

cierpliwość — i rzucę ci tę całą rodzinę na karku — i tyle mnie będziecie widzieć. Takie same masz obowiązki, jak ja.

Władek zląkł się na seryo, prędko się wycofał i zamiast do domu posłusznie pojechał do Strażycy. Wrócił wieczorem skonfundowany i zamiast iść do ojca, wyszukał brata.

— No i cóż. Zgodził się? — spytał Tomek ironicznie.

— Niema go w domu. Podobno wyjechał za granicę. Służba nie wie, dokąd.

— Bardzo sprytnie się urządził. Zjawi się w karnawale — po Terkę.

— Co ja powiem ojcu?

— Powiedz, że Strażyc w Warszawie. Że go tam spotka — i sam zaproponuje.

— Był dziś Sabiński — mówił, że starego trzeba koniecznie tam odwieźć — i sam się ofiarował, że ze mną go odwiezie.

— Ale ty tu wrócisz?

— Niebardzo wiem po co. Jeśli wykupimy te ruchomości od Kahana — to nie dla siebie, ale dla Pipermenta, czy jakiegoś innego żyda. Wrócę, jeśli mi stary da pieniędzy, żeby opłacić i odprawić służbę.

Wiadoma rzecz, że w lipcu raty Towarzystwa niema czem zapłacić — więc Zagaje nie nasze już!

— Boże, Boże — co będzie z rodzicami!

— Stary, byle wyzdrowiał — znajdzie gdzieś jaką synekurkę — stara osiadzie na rezydencji u którejś ze swych sióstr, Terkę się zepchnie na jaką pensję! Mało to takich bankrutów jakoś żyje na świecie.

— Zagaje stracić!

— Namów twoją teściową niech kupi.

— Nie śmiałym się z tem odezwać nawet. A ty? Co myślisz robić?

— Najprzód starego matce odwieźć. Niech go pielęgnuje — a potem rozejrzę się w Warszawie za jaką bogatą żydówką — i pójdę do niej na utrzymanie. To będzie w stylu całej rodziny.

Władek poczerwieniał, ale nie odrzekł nic, bo do szermierki na języki z bratem nie czuł się na siłach. Ojca jednak uspokoił i aż się Tomek zdziwił jak pan Feliks był dobrej myśli i otuchy.

Nazajutrz odbył znowu z Władkiem długą naradę — zdawał mu rzędy na czas swej kuracyi z takim spokojem i pewnością jakby nic Zagajom nie groziło. Gdy Tomek wspominał o zapłacie i oddaleniu służby — machnął ręką lekceważąco.

— Władek to załatwi.

— Jeśli oni tak niefrasobliwie na to patrzą — po co ja się o to troszczę — pomyślał Tomek. Ostatecznie stary się wyskrobie i niech tę dziurawą nawę pcha i prowadzi, gdzie i jak chce. Muszą mi dać wikt i opierunek jako latorośli swego rodu, a robić nic nie potrzebuję — ani tu, ani w Warszawie. Na papierosy wygram w bilard.

Doktór Sabiński zjawił się w dniu oznaczonym — obejrzał raz jeszcze pacyenta, i zdecydował, że podróż znieść może.

Oczekując godziny odjazdu, ulokował się z cygarem w pokoju Tomka i zagłębił w czytaniu gazet.

— Zabrałeś już swoje manatki? — spytał.

— Niewiele mi zostało, bo co było lepsze Niemiec gospodarz zagrabił w Brunświku. Uratowałem tylko kolekcję krawatów. Szelma komornik opisał skrzypce. Tych mi szkoda.

Gwiżdząc, chłopak rzucał do kuferka swą garderobę.

— A gdzie się podziała głuchoniema?

— Odprowadziłem ją na granicę — i poszła do tej baby z Drobiny. Wyobrażam sobie, jak się będą po francusku porozumiewać.

— Cóż ona tam będzie robić?

— Baba ją sobie zamówiła do nauki koronek, a stary był uszczęśliwiony, że się pozbył, widząc, że nic z niej nie wyciągnie.

— Więc opuszczacie zupełnie Zagaje?

— Ster zostaje w ręku Władka.

— Bodajby! Myślałem, żeś sprytniejszy. Ster bierze Pułaska. Ta was wykwituje.

Tomek się zastanowił.

— Ale i doktor nie taki głupi, jak się wydaje — odciął.
— Teraz rozumiem wiele rzeczy. No, patrzcie — i to bydlę! Władek, umie intrygować! Oni umyślnie chcą doprowadzić do katastrofy. Pułaska kupi Zagaje na licytacyi. Że też stary tego nie przewąchał.

— Pewnie się porozumieli — mruknął doktor. — A Strażyc postawił licytanta na wasze mahonie i portrety familijne. Uważasz, Władek zostanie przy Zagajach — Terka dostanie od męża meble i pamiątki Gozdawów a ty — zostaniesz ze swymi krawatami.

Tomek poczerwieniał. W tej chwili mniej go dotknęło — że nic mieć nie będziecie, jak to, że sam nie domyślił się całej machinacyi. » Jakbym ja im mógł szyki popsuć i dokuczyć« — pomyślał z całą swą wrodzoną złośliwością.

A doktor, ryhocząc po swoim, judził.

— To masz, za testament stryja. Zawszeć myślą, że za dziesięć lat, coś mieć możesz — więc wołają — tymczasem chwycić z tej rozbitej szkuty — co się da.

— Ja im nasadzę Malecką! — warknął Tomek.

— Oni tego tylko chcą. Ale baba się nie da wciągnąć. Bo uważaj — do licytacyi stanie z nią Pułaska. Jeśli Zagaje pójdą tanio — wygra Władek — jeśli drogo, wygra ojciec. Twojego tu niema nic — tylko krawaty.

— Jużci wołę — żeby stary coś zyskał, bo będą mieli co jeść — i mnie muszą karmić.

— W najlepszym razie zostanie im dziesięć tysięcy.

— Skąd doktor to wszystko wie?

— Od moich kochanych żydów z miasteczka. Oni wszystko wiedzą — i do grosza obrachują. Była też wczoraj Malecka u mnie — na poradę. — Baba zdrów jak koń, ale zaproszyła sobie oko jęczmienną plewą. Wyciągnąłem plewę — i pociągnąłem babę za język. Powiada, że dopłaci dziesięć tysięcy — ani grosza więcej. Mój drogi, nie susz sobie mózgu, jak rodzinie dokuczyć teraz, ale raczej pomyśl, żebyś sam sobie nie dokuczył. Za dziesięć lat, jakbyś wziął spadek stryja — tobyś Władkowi i Pułaskiej spłatał dopiero sztukę.

— Et — brednie. Doktor — wierzy, że te pieniądze, choćby były — jakaś tam Barbara Tryźnianka będzie dla

mnie trzymać. Stryj był kiepski waryat — może trafił na sprytną babę, która mu to wmówiła — może się w niej kochał — a ona udawała bezinteresowność. Zresztą — niech to wszystko dyabli wezmą — nie daruję sobie nigdy tego, żeś doprawdy litował się nad starym i łamałem głowę, jakby im pomódz i poradzić. Wstyd mi, żeś był taki głupi! W każdym razie, niechby Władek Zagaje nie dostał.

— Wolisz, żeby je Malecka rozparcelowała?

— Wolę — niżby ten słoń ze mnie zadrwił.

— To się nazywa głos krwi — i rodzinne uczucia — rzekł z widoczną radością doktor, zapalając nowe cygaro.

A Tomek więcej nic nie rzekł, tylko zaczął pogwizdywać — co zwykle czynił, gdy nad jakimś złym figlem przemyśliwał.

*

*

*

Był pogodny letni wieczór i Malecka z tryumfem zebrała bez deszczu koniczynę.

Stała teraz na dróżce polnej — i cieszyła się wdokiem swych dziesięciu krów, wracających z koniczyska do wieczornego udoju, gdy zwrócił jej uwagę jakiś mężczyzna wśród brzoź. Poznała Tomka Gozdawę — i ruszyła ku niemu. Zeszli się u wrótek ogródka i powitali się, jak dobrzy już znajomi.

Kiwnęła mu też życzliwie głową niemowa, siedząca na

ganku i zajęta łuskaniem grochu.

— Jeszcze uczy panią koronek? — spytał.

— Gdzie to latem na to czas. Roboty tyle w ogrodzie i z mlekiem. Pracuje za trzech. Dobry interes zrobiłam dzięki państwu, żem ją dostała.

— Przyszedłem pani inny dziś interes zaproponować.

— To niechże pan mówi — albo lepiej niech pan chwilę spocznie, z nią po francusku się zabawi — a ja co pilniejsze przy wieczornym obrządku załatwię, bo w Drobinie niema służby.

— Owszem — zaczekam. Nie pilno mi — ani co mam do roboty. Zagaje jutro na licytacyi — więc tam nie moje już kradną i marnują.

Malecka pokręciła frasobliwie głową — i odeszła. Głuchoniema wydobyła swój zeszyt — i rozpoczęli piśmienną rozmowę. Spytała go o rodzinę — i dowiedziała się, że ojciec żyje i stara się o posadę, gdzieby nie trzeba było nic robić ani nic umieć, i że prawdopodobnie przez protekcję dostanie. Że matka dogląda ojca, szykuje Terkę do zamążpójścia, czyli że ją stroi — i posyła do różnych ciotek, że Włodek oczekuje potomka, z czego się wszyscy bardzo cieszą — niewiadomo dlaczego — i Deniska daje lekcyje po mieście, ale w dalszym ciągu u nich mieszka i jest taka idyotka, że zarobione pieniądze oddaje, plus, że pół dnia pracuje dla nich szyjąc, sprzątając i nawet gotując.

A on co robi? Ano, gra w bilard i żeby się trafiła taka posada, jakiej poszukuje ojciec, toby może też jej się podjął.

Niemowa, czytając kręciła głową — widocznie nie

rozumiejąc ironii i wreszcie napisała, że ona zawsze ma w pogotowiu dla niego owe trzy tysiące franków i że je oddała Maleckiej — na wykupienie czegokolwiek z Zagajów, ale że Malecka nie umie po francusku — więc niech Tomek jej wytłómaczy. A że Malecka właśnie wróciła od gospodarstwa, poczęła na migi rzecz wyjaśniać.

— Ona mówi o tych pieniądzach. Myśli, że nie zrozumiałam, o co jej chodzi. Niechże jej pan napisze, że jutro będę przy licytacji — niech ze mną idzie — i wskaże, co chce kupić.

Ale niemowa już z gniewem wyraziła, że to on — Tomek — powinien wybrać — że to jego pieniądze — a dlatego jego — że on Tomasz, jak doktor.

— To jej kult — jej bóstwo — ten zmarły stryj pana. Niech pan te pieniądze weźmie, bo ona nie ustąpi — takie kaleki — to strasznie uparte. Widzi pan — my — ot takie stare baby, całe życie pracujące — to nam mniej pieniądze potrzebne. Bo i na co wydawać? Ta nasza odzież niedrogo kosztuje, trzewiki też, jadło niewybredne. Ot zbierze się grosz, to i leży w kantorku. A pan potrafi wydać i potrzebuje — bo pan nie zapracuje, nie zarobi!

Wyszła, przyniosła zwitek w gazecie i położyła przy nim, na stopniu schodów.

Po chwili wahania wziął — i podał niemowie rękę — dziękując bez słowa. Czuł w gardle gorycz i w duszy wstyd.

Malecka wzięła się do łuszczenia grochu z takim pośpiechem, jakby od tej roboty byt jej zależał.

— Mogę tedy przedstawić pani interes, z którym przychodzę! — zagaił z trudnością. — Jak pani wiadomo,

po stryju nie dostaliśmy nic, tylko dziwaczną obietnicę — że ja mogę po dziesięciu latach otrzymać jego fundusz — z rąk jakiejś Barbary Tryźnianki — jeśli ona uzna mnie za człowieka. Owej Barbary Tryźnianki nie mogliśmy nigdy odszukać — i najprawdopodobniej wszystko jest drwiną i fikcją. Czy pani nie kupiłaby odemnie tej problematycznej sukcesyi — za bardzo niewielką sumę.

— Jakże to?

— Ach — nie chcę nic dostać do rąk. Tylko sprzedałbym pani moje prawa — do owego spadku, a pani niech utrzyma się przy Zagajach.

— Pani Pułaska chce je nabyć.

— Właśnie. Wiem o tem — i nie chciałbym, żeby je dostała.

— Tak pan niezyczliwy bratu?

— Mniejsza, co myślę. Pani da kilka tysięcy więcej, niż ona — i kupi.

Malecka zamyśliła się.

— To tak będzie, na mój babski rozum. Jak je drogo kupię — to chyba parcelując wróć do swych pieniędzy — boć na ten pana spadek — trudno rachować. Ten fundusz może i jest — i Tryźnianka się znajdzie — ale...

— Ale mnie go nie da.

— Dać, to może onaby dała, bo jak mi niemowa wykladała na migi — ten pański stryj mądry był i dobry — i pewnie umiał wybrać stosowną wykonawczynię swej woli. Ale — takie słowo: być człowiekiem — to jak zacząć w myśli sobie tłómaczyć — a szukać wokoło — do kogoby dopasować — to niema. Ja rozumiem — że gdybym

przeszukała przez całe swe życie — to tak na czysty sąd — nie znalazłabym tylu, co palców na ręce.

— Pan młody i bujny — dla siebie pan by nie potrafił tyle sobie męki zadać — a jakby pan sprzedał swe prawda — to dla mnieby się pan miał mordować.

— To taka robota: ludzie po wierzchu mają ciało, a we środku duszę — a człowiek powinien się całkiem przenieć: Duszę trza mieć za wierzch — a ciało za podszewkę. Cudakiem trza się zrobić dla ludzi — bodaj pośmiewiskiem. Jeszcze opłaciłoby się dla miliona — ale żeby ten milion wzięła za ten cały trud jakaś Malecka z Drobiny!

Tomek wstał, wziął kapelusz.

— Żegnam panią — warknął.

— Obraziłam pana. Bóg świadkiem, nie chciałam.

— Może być. Nie zastanowiłem się, że moja propozycja tak logicznie wygląda, więc ją cofam. Nie miałem zamiaru nicowania siebie dla miliona i zadawania sobie trudu skarbienia łask jakiejś mitycznej Tryźnianki ani dla siebie, ani dla pani.

— Ale gdybym panu dała na to pieniądze, toćby pana korciło — że mogę stracić?

— Nie myślałem o tem.

— To niechże pan pomyśli.

— Pani mówiła, że przez parcelację wyjdzie na swoje.

— Albo ja wiem. Kłopot, ambaras, mitręga. A panuby też nie w smak było, żeby stary wasz dwór poszedł na cegłę i drwa.

— Mnie — wszystko jedno. Ja już — Jan bez ziemi.

— Oj — byle nie Tomasz bez głowy. To pan tu niedawno z Warszawy przyjechał, bo w Zagajach pana brat rządzi.

— Dziś przyjechałem. Chcę na jutrzejszą licytację popatrzeć. Pani pewnie też tam będzie.

— A po co. Pani Pułaska już się ułożyła z żydkami. Tylko Icek Liberman trochę jej krwi napsuje — bo go pan Strażyc podstawił — na jakieś meble.

— Pani ma dobrą policję.

— A cóż, sporo tam mojego grosza, to się człowiek turbuje, jak o własne. Ale brat pana dostał teściową, co umie cienko prząść. Nie zginie on z taką. Żeby panu taka się udała.

— Zastrzeliłbym babę za stodołą — i na psy zatrąbił! Tymczasem — żegnam panią.

— Da mi pan wiedzieć, jak postanowi?

— Zapewne nie. Widzę — zem zrobił bezmyślną propozycję — i pewniebym danego słowa nie myślał dotrzymać.

Gdy wstał, by odejść, — niemowa spojrzała nań życzliwie — i mocno uścisnęła jego dłoń. Malecka nie podniosła oczu od grochu i rzekła spokojnie:

— Jak pan uważa. Chyba nie grzech, że swojego pilnuję.

— Owszem — ma pani rację. Życzę pani pomyślności i korzyści z tych pieniędzy!

Z rękami w kieszeniach, gwizdząc — poszedł ścieżką przez brzozowy gaj — zdziwiony, że nigdzie we dworku nie widział Zuzi — ale zaledwie się oddalił kilkaset kroków, dziewczyna wynurzyła się z pomiędzy drzew.

Miała w ręku zawiniątko w chustce i rozśmieszona

uciechą oczy.

— A to się panicz nie mógł nagadać z temi babami — myślałam, że się nie doczekam.

— Co ty nosisz za kukłę?

— Dziecko! W lesie wzięto, w chacie zgięto — na rękę płakało. To paniczowe — hodujcie!

Podala mu, rozwinął i zdziwił się.

— Skrzypce. Bodaj moje własne?

— Toć mówię! — śmiała się.

— Skąd je masz?

— Wykradłam z pałacu.

— No to je, z łaski swej — odnieś. Toć opisane ze wszystkim, co jest w domu.

— Jak panicz chce, to odniosę — ale chyba w nocy — może panicz na nich trochę zagrać tymczasem — pójdźmy za brzeźniak nad strugę, w te wikliny — tam żywa dusza ni zajrzy, ni posłysz.

Tomek nic nie odparł, począł, idąc za dziewczyną, cichutko stroić instrument, potem jakąś melodyę snuć, i wreszcie zapomniał o wszelkich sprawach, i bezwiednie znalazł się w pustym zakątku zarośli nadwodnych, opodal od ludzi — wśród ciszy pól.

Stara wierzba, cudacznie pokrzywiona, tam stała, a było to miejsce ich schadzek, gdy chłopak o zmroku — siedł z flintą, niby na ciągi słońek.

Usiadł na wierzbowym konarze — Zuzia przygarnęła się do jego kolan, głowę o nie wsparła — i słuchając grania, milczała, — tylko niekiedy z wielkiej szczęśliwości całowała jego nogi.

Zupełny zapadł zmrok, gdy się ocknął z zamyślenia — smyk zgrzytnął po strunach i umilkł.

— Dobrze to drewno! — mruknął, łaskawie rękę kładąc na głowie dziewczyny. — Ale trza je odnieść, Zuziu. Jakes je wykradła?

— Jaśka z kredensu zbałamuciłam. Poszłam do niego na noc — a jak usnął — tom się wymknęła do pustych pokojów — wzięłam — i już.

Nie dokończyła, kopnięta nogą z taką siłą, że potoczyła się w krzaki. Zerwała się prędko, a Tomek bez słowa skrzypce na wierzbowej rososze położył i zawrócił w gąszcz. Za nim się rozległ śmiech dziewczyny, szczery, pełen rozradowania.

Obejrzał się — splunął.

— Bydlę! — warknął.

A dziewczyna zabrała skrzypce, owinęła je napowrót w chustkę i szła za nim.

— By je odnieść, trza mi znów do Jaśka iść — rzekła wciąż ze śmiechem.

Stanęli naprzeciw siebie, i nagle zebrał w rękę jej włosy, szarpnął, potrząsnął. Pomimo bólu, patrzyła jasno w jego złe oczy.

— Nie chce panicz, bym szła? Powiedzcie?

— Byłaś? — spytał zmienionym głosem.

A dziewczyna ramionami objęła go za szyję i śmiała się.

— Nie trza Zuzi warkoczów wydzierać, sokole cudny! Rozplecie Zuzia swe włosy, pod głowę pościele, żeby trawy nie kłuły! Moje miłowanie, moje jasne zorze — mój królewiczu!

— Byłaś? — powtórzył groźnie.

— Bijże, bij! niech się ucieszę — że o mnie stoisz!
Bijże, bij! — jak swoją!

— Łgałaś, szelmo?

— A juści! Nie słyszałam nigdy z panicza ust — dobrego słowa — a ot — dopierom się ucieszyła! Taki panicz mądry, a oszukałam. Uwierzył — i bić chciał. Chodźcie — pokażę wam, którądym skrzypki wzięła. Już ciemno — pójdźmy!

Ruszyła naprzód, na przełaj — polami.

Przy sztachetach parku — wynalazła przejście nieznaczone — wśliznęła się, jak kuna, i poprowadziła go pod pałac.

Tam ze zwinnością wiewiórki wdrapała się na lipę u balkonu, dosięgnęła okna piętrowego — skoczyła do środka.

Ubawiony — poszedł za nią po tej karkołomnej drodze. Gdy się znaleźli w pustym, gościnnym pokoju, spytał:

— Pocóż tyle zachodu. Masz okna na dole.

— Aha — tamte zamykają na noc — i lokaje by spostrzegli, żebym szybę wybiła, a te zawsze otwarte. Tu się zakradłam — poczekałam, aż się pospali — i boso zesłam na dół. Zobaczy panicz — jak te dranie mocno śpią — połowę mebli można tak powynosić. Dziś się tam jeszcze tłuką, bo na panicza czekają — a jak nikogo nie było — to albo szli na wieś hulać, albo w karty grali w kredensie. Niechże panicz wróci po lipie — i przez ganek wejdzie — i tu mi z dołu tamte skrzypce przyniesie.

— Jakie tamte?

— Ano — bom ja kupiła inne — i zamieniłam. Juści, trza było jedne zostawić, boby się obejrżeli. Takem se wszystko przemyśliła.

Teraz Tomek zachichotał ze złośliwej radości zręcznego figla.

— Jakeś tak przemyśliła, to ci trza sprawić za to na tych skrzypkach wesele. Udałaś mi się, Zuziu! A skacz dobrze na lipę, bo szkodaby było, żebyś żywa nie została.

Noc była cicha, pogodna, ale bezmiesięczna. Ktoby się wsłuchał w szmery pól, posłyszałby wśród łąnu dojrzewającego owsa delikatne brzęczenie smyka po strunach na nutę obrzędowej, weselnej pieśni:

Wyjeżdżając z nami nasza młoda pani.

Zdejm ruciany swój wianeczek z kółka nade drzwiami.

A potem piosenka ucichła, tylko się wabiły przepiórki — i grały świerszcze.

Tak w tę noc letnią zegnał Tomek swe rodzinne gniazdo — i ziemię, i byt dworskiego panicza — i pierwszy okres swej beztroskiej młodości.

*

*

*

Na licytację ruchomości w Zagajach zjechało niewiele kupujących. Widoczne było, że za kulisami odbyła się zmowa, że wszystko było zgóry ułożone.

Włodek z teściową jechali spokojni. Przybył też spokojnie żyd-agent Strażyca.

Przybyli jednocześnie z urzędnikiem — i zdumieli, ujrawszy w salonie Tomka, leżącego na kanapie — z papierosem w zębach — i jakąś książką w ręku.

Wcale się na ich widok nie poruszył, ani myślał powitać.

Kret, wylegujący się też na kanapie, przyjął ich tylko przeraźliwym szczekaniem.

Włodek, po chwili zmieszania, zbliżył się do brata.

— Nie wiedziałem, żeś przyjechał. Jakże się mają rodzice?

— Krucza 16 — możesz się dowiedzieć.

— Pani Pułaska przyjechała. Przywitajże.

— W gościnę nie przyjechała, ale na licytację. Nie będę się witał z całą zgrają licytantów — ani tu jestem gospodarzem.

Włodek ruszył ramionami i odszedł.

Urzędnik rozsiadł się w wielkiej sieni — z całym swym przyborem i ceremonią, i rozpoczęła się czynność.

Tomek przyniósł sobie fotel i asystował, obserwując specjalnie brata i Pułaską, którym widocznie sprawiał tem przykrość.

Sprzęt po sprzęcie wywoływał monotony głos kancelisty — padały ceny — pauzy — sakramentalne wyrazy. Żydzi rozpierzchli się po domu — oglądali sprzęty, próbowali, szwargotali między sobą — ale wogóle targi szły prędko — bez wielkiego zajęcia.

Z kolei przyszły owe sławne mahonie.

— Nr. 27 kanapa mahoniowa, kryta adamaszkiem w

pasy — 25 r.

— 26 — rzucił żyd Strażycyca.

— 26 po raz pierwszy, po raz drugi, po raz...

— 30 — rzucił Tomek ze swego kąta.

Obejrzano się na niego.

Rozwalony w fotelu, z Kretem na kolanach — zaczynał się bawić. W tej chwili do sieni weszła Malecka — widocznie od roboty, bo w fartuchu i chustce na głowie.

Kanapa rosła w cenie. Gdy Tomek działał 75, żyd się zawahał, poradził się szeptem drugiego — i dodał rubla.

Targ szedł dalej — gdy żyd postawił 100 r., Tomek się zaśmiał — i zaprzestał.

Żyd otarł pot z czoła — przejrzał spis mahoni — były fotele, krzesła, stół, konsole, lustra — był przygotowany — że kupi wszystko za paręset rubli — nie miał żadnych licytantów przeciw sobie, wszystkich kupił — teraz spojrzał na Tomka zimnymi oczami żmii, której na ogon nadepcą. Przecie Strażyc kazał mu nabyć i sześć portretów — i cały — koniecznie cały — garnitur.

— Cztery fotele mahoniowe N-ry 28 i t. d. 16 rubli — kto da więcej.

— 17 — rzucił znowu Tomek.

Malecka posłuchała chwilę licytacji — i poszła w głąb domu; gdy wróciła, fotele podskoczyły do 120 rubli. Żyd je kupił, ale towarzysz jego zbliżył się do Tomka i rzekł:

— Czy pan chce te meble kupić?

— Nie, tylko chcę, żeby pan Strażyc zapłacił, co warte.

— Nu, a jak my podlicytujem — i przy panu zostaną! — rzucił zjadliwie.

— To zapłacę.

— Ny — to jak pan ma pieniądze, czemu nie zapłacić Kahana? — na co te kompromitacje.

— 30! — zawołał Tomek — ku stołowi.

— Lustra mahoniowe z bronzami Nr. 41 rs. 30 — kto da więcej?

— Czy te portrety warte po 10 rubli? — zagadnęła Tomka Malecka.

— Do zasłonięcia czeluści pieca czy komina?

— Ot — dobrze, jak jaki lanszaft wisi na ścianie.

— Jako »lanszaft« — to one nie świetne, ale jest tam jedna jakaś babcia w pudrowanej peruce — i jakiś biskup podpisane Bacciarelli — te będzie też Strażyc licytować. Reszta — pacykarstwo. W każdym razie — wszyscy więcej warci od nas żyjących — co już nie mamy ściany, żeby nasz lanszaft powiesić.

— Masz — popsuła mi pani swą gawędą świetny figiel — Strażyc za tanio dostał mahoniowy stół. Co idzie? Aha — krzesła. 40 rubli! — wpadł znowu w tok licytacji.

Władek zbliżył się do niego.

— Czy cię ojciec przysłał z pieniędzmi?

— Albo co?

— Bo jeżeli licytujesz na żarty — możesz się załapać. Żydzi cię podlicytują — i zostawią.

— A ty z Pułaską — chcecie to wszystko tanio dostać.

— Rozumie się, że nie pozwolimy, aby rodzinne pamiątki poszły do miasteczka!

— Brońcie ich tedy, brońcie — ale za dobrą monetę.

— Którą wezmą różne Kahany. Nie pojmuję, że ojciec

traci w ten sposób ostatni grosz.

— Nie zabawiaj mnie i nie przeszkadzaj. Mam gust na ten stary kantorek.

Władek odszedł — szeptali coś z Pułaską. Wśród żydów także znać było nerwowe podniecenie — i narady. Agent Strażycy osiągnął mahonie i wycofał się z pola walki. Do licytacji portretów naprzeciw Tomka stanęła Pułaska.

Portrety przyniesiono do sieni. Stały rzędem pod ścianą — w swych zczerniałych złoconych ramach — wyblakłe konterfekty matron w czepkach i dam z ośmnastego wieku, mężów w kontuszach — z podgolonymi łbami, wojskowych i dygnitarzy w barwnych i muzealnych mundurach. Dużo ich było: — ze dwadzieścia, ze trzy wieki najmniej historii, życia, mód, obyczajów; — malowana kronika rodu. Pierwszy doszedł pięćdziesięciu rubli — i został przy Tomku: była to jakaś prababka w robronach szafirowych i czepcu — twarz surowa, twarda.

Gdy ją kupił — zdało mu się, że ją pierwszy raz dopiero zobaczył i poznał.

Drugi — jakiś podkomorzy — w bogato haftowanym mundurze — z twarzą zasuszonej mumii — dostał się też Tomkowi.

— Ho — ho — trochę zawiele będę miał tych lanszaftów — pomyślał — i gdy licytowano trzeci — młodego chłopca w ułańskim mundurze — chciał się od targu wstrzymać. Ale z podwórza wrócił agent Strażycy i do ceny Pułaskiej dodał pięć rubli.

— Psiakrew — zawarczał Tomek — nie dostaniecie! I pędził cenę.

Pułaska cofnęła się — i wyszli z Władkiem.

— Czy ten obraz — to może pana stryj? — zagadnęła Malecka.

— A kat go wie — oburknął — ale za stryja pieniądze go kupię.

— A starczy panu na tamte, co to pan Strażyc chce dostać?

Ułan został przy Tomku. Płacił, i kupiony portret odwracał do ściany.

— Niech mi pani głowy nie zawraca. Starczy mi w każdym razie, żeby dokuczyć tej hałastrze. O — idzie na targ biskup. Pewnie w grobie się przewraca i klątwy ciska na świętokradców. 17 rubli!

— 25 — rzucił odrazu żyd.

— 30! — wmieszała się Malecka.

Biskup rósł w cenie, bo i reszta żydów przystąpiła do targów.

Nareszcie, dopędziwszy do stu pięćdziesięciu rubli, ustąpili.

Gdy Tomek płacił — ciekawe semickie oczy szacowały zawartość jego pugilaesu, i tryumf w nich błysnął, gdy chłopak ledwie zebrał sumę.

— O świątobliwy zapewne przodku — spraw cud — abym i resztę twego i mego rodu mógł wykupić z żydowskiej niewoli, chociażby in effigie!

Teraz z kolei w pięciu rublach wystawiono na sprzedaż portret kobiety we wdowim kwefie. Z czerni stroju występowała upiorowo twarz blada, o wielkich siwych oczach, bezbrzeżnie smutnych.

Farby zblakły, lakier popękał — portret był malowany twardo, tylko miał w sobie tę właściwość — że oczy zdawały się patrzeć — z któregoby się punktu nań spojrzano. A patrzyły przejmująco, boleściwie a surowo. Był w tych oczach iście królewski majestat cierpienia.

— To pewnie jakaś matka, która dzieci pogrzebała! — rzekła Malecka.

— Niańki nas nią straszyły ongi — zaśmiał się Tomek. Muszę ją kupić, bo gotowa mnie straszyć i teraz, gdybym ją żydom oddał. Oczy ma istotnie urokliwe!

— A jakąż jej historia?

— Nie wiem. Każdy Gozdawa jest taki wielki i sobą zajęty — że o antenatach nic nie wie. Dostyc, że ma pełne ściany tych konterfektów. Dam za tę dorosłą dziesięć rubli. Żydzi umilkli, czekając, czem Tomek zapłaci. A on sięgnął do kieszeni w kamizelce i wysupłał złotą monetę.

Pomruk poszedł — jakby warczenie — potem szepty.

Przy następnym portrecie zawrzała walka ostateczna.

Lichy konterfekt — jakiegoś upudrowanego szambelana czy dworskiego eleganta z XVIII wieku dopędzono do dwustu rubli. Gdy Tomek i to zapłacił — jeden z żydów zbliżył się doń — i uniżony — pochlebny — spytał — może potrzebuje »cokolwiek« pieniędzy — że on mu może służyć.

Tomek nie liczył, ile wydał z owych trzech tysięcy franków, ani rozważał, dlaczego je rzuca bezkrytycznie — za stos starych płócien, z których drwił przy każdej sposobności — ale był opętany złością — i chęcią dokuczenia — i zuchwałe wetknął pod nos żydowi — garść

zmiętoszonych asygnat.

— Ja wam też mogę tem służyć — odparł urągliwie, i miał żądzę, tą pięścią pełną brudnych papierów policzkować.

Żyd, jakby zamiar zrozumiał — szybko się odsunął — a monotony głos urzędnika wywoływał resztę portretów.

I wszystkie pozostały przy Tomku, który nagle, jakby z szaku oprzytomniał — spojrzął na nie urągliwie — i rzekł do stojącej opodal Maleckiej.

— I po com to nabył. Nie mam ścian, by je powiesić, ani kąta, by je złożyć.

— Zostawi je pan bratu, który przecie tu zostanie — gdy pani Pułaska Zagaje kupi.

Oczy Tomka zwykle szare — stały się zielone i cała twarz skurczyła się w iście dziką drapieżność — ale nic nie odparł.

Chwilę słuchał dalszej licytacji — patrzył na żydów i motłoch zalegający sień — i nagle zerwał się i wyszedł.

Poszedł do stajni, kazał sobie okulbaczyć konia, i wyjechał stępa na drogę.

Podreptał za nim Kret, ale rychło z daleka został, bo za bramą Tomek pognał z kopyta.

Z nosem przy ziemi, zziajany, lamentując dyszkantem, psiak za tropem się kolebał — niczem nie odstręczony — zapamiętały w swej wierności. Biegł tak wiorsty, biegł tak godziny — bez sił wreszcie nawet do lamentu, nie zatrzymując się nawet, by wody chlipnąć i tak o zmroku już dobrnął do ogrodzenia Drobiny — gdzie równie zziajany stał koń Tomka.

Kret znalazł wnet szparę w sztachetach, dopadł drzwi domku i wcisnął się do wnętrza.

Tam się uspokoił. »Pan« był i choć wcale nań uwagi nie zwrócił. Kret pełen szczęśliwości u nóg jego legł, dysząc.

Spostrzegła go Zuzia, i po chwili przyniosła mu misę mleka.

Wieczczano właśnie w Drobinie — gdy Tomek się zjawił — i zaproszony, usiadł przy stole. Submitowała się Malecka, że go czem dobrem przyjąć nie może, bo jadły tylko zacierki i kartofle — ale on chętnie z apetytem wziął się do jadła.

Gdy skończyli, zwrócił się do niemowy i zażądał zeszytu.

Tedy jej oznajmił, że za te pieniądze zrobił szaleństwo; wydał prawie wszystkie na stare portrety.

Spytała, dlaczego to zrobił — czy to dobry interes, czy też te portrety mu drogie.

— Nie — warte może dziesiątą część ceny — i ani trochę o nie nie dba. Zrobił na złość, bo mu taka przyszła fantazyja.

Pokręciła głową i popatrzała nań.

Spostrzegł w niej w tej chwili podobieństwo do tej kobiety z dziwnymi oczami.

Ta sama surowość i boleściwość, ta sama twardość rysów i zaciętość niemych warg.

Zwrócił się do Maleckiej.

— Była pani do końca licytacji?

— Byłam. Jak pan wyszedł — wróciła pani Pułaska i kupiła wszystko. Bardzo polityczna pani, ze mną się

poznałomiła, gadała, jak z równą sobie. Pytała o moją sumę.

— Pewnie, żeby ją pani jej zostawiła?

— No tak.

— A ja właśnie się zdecydowałem inaczej. I ponawiam moją wczorajszą propozycję. Niech pani kupuje Zagaje. Przekazuję pani ten cudaczny legat stryja.

— Z gwarancją pańską?

— Owszem — mogę i to napisać, jeśli pani jest tak naiwna, że mi nie uwierzy — bo ja sobie wcale nie ufam. Zdaje mi się, że nie zostanę bandytą — bo jestem na to za leniwy, ani kieszonkowym złodziejem — bo tego się trzeba uczyć — a na to nie mam cierpliwości — ani pofałszuję weksli — bo do rysunku i kopiowania brak mi kompletnie zdolności — nie potrafię też szachrować w karty, bo i do sztuk ręcznych nie mam talentu. Co do innych łotrów, mniej jestem pewny. Pracować mi się nie chce, i uczynię, co tylko możliwe, żeby tej klęski uniknąć, bez narażenia się na konflikt z prawem karnem. Bardzoby mi dogadzało wyzyskać jakiego głupca, lub ożenić się dla wiktów dobrego i używania życia za pieniądze żony, którą za to będę zdradzał i poniewierał.

Poświęceń i ofiar nie uznaję — i dla nikogo i dla niczego onych nie spełnię, a już specjalnie nie znoszę rodziny, ale ich ani potruję, ani postrzelam — z tej racji — że morderców zamykają na kupie z brudną hołotą i że tam jest robactwo — ja zaś radbym dwa razy na dzień zmieniać bieliznę — i trzy razy na dzień się kąpać.

Więc z tego wynika, że radbym spokojnie używać życia i

stworzony jestem na milionera. Jeśli będę miał dosyć pieniędzy — żeby dobrze jeść i pić, wygodnie mieszkać — mieć do zabawy kobiety, teatr, zagranicę — to chyba po dziesięciu latach — obrosnę grubo tłuszczem i powagą spokojnego filistra i Barbara Tryźnianka uzna mnie za zacnego obywatela i człowieka.

Malecka słuchała spokojnie, podparwszy brodę pięścią — jak wiejska baba, gdy się mocno namyśla, niemowa ustawiła sobie lampę na rogu stołu i rozłożyła koronczarski warsztat, Zuzia sprzątała statki i słuchała chciwie i z zachwytem słów »królewicza«. Wreszcie Malecka stęknęła i pokręciła głową.

— Pan sobie ze mnie drwi. Przecie jeśli ja kupię Zagaje — to drogo trza się będzie zapożyczyć — biedować, harować! Przyjdzie jaka klęska, parę lat skąpych, to i na chleb nie będzie. Juści łakomię się na tę pana sukcesyę — ale przecie — nikt z rozumem nie kupi takich praw! Pański stryj nie napisał, żeby pan nie był złym czy zbrodniarzem, ale napisał, żeby pan był człowiekiem.

— Więc właściwie co? O co pani chodzi — bo mi się spieszy! Oto jest papier i pióro. Niech pani dyktuje.

— Ano, to chyba tak trza napisać:

Ja, Tomasz Gozdawa, ustępuję na rzecz i dobro wdowy Anny Maleckiej wszelkie moje prawa do spadku po stryju moim, doktorze Tomaszu Gozdawie, ręcząc swoim słowem honoru i uczciwości, że spełnię warunki owego spadku wedle sumienia i pojęć szlachetności, aby Anna Malecka osiągnęła ten fundusz z rąk Barbary Tryźnianki, po dziesięciu latach, od dnia śmierci mego stryja.

Wzamian Anna Malecka obowiązuje się nabyć majątek Zagaje i utrzymać takowy w swem posiadaniu do wyżej wymienionego dziesięcioletniego terminu.

Jeśliby wówczas Barbara Tryźnianka — odsądziła mnie od prawa, lub wcale się nie okazała — wolno Annie Maleckiej Zagaje sprzedać, jak i komu jej się podoba.

Jeśli zaś Barbara Tryźnianka uzna mnie za godnego spadku — Anna Malecka stanie się ogólną spadkobierczynią w mojem imieniu, a zwróci mi tylko Zagaje.

Przez cały ten okres dziesięcioletni Anna Malecka wypłacać mi będzie rocznie rs. tysiąc, które, wrazie niespełnienia przezemnie warunków spadku, zobowiązuję się jej zwrócić — a jeśli nie zwrócę, będę oszustem i kłamcą.

Malecka dyktowała płynnie — widocznie rzecz sobie naprzód ułożyła. Tomek pisał, uśmiechając się chwilami — gdy skończył, wybuchnął już głośnym śmiechem.

Kobieta spojrzała nań obrażona.

— Jaki jurysta pani tę transakcyę układał.

— Ten — domowy! — odparła, stukając palcem w czoło.

— I pani wystarczy — mój podpis pod tym dokumentem?

— Aż nadto. Panu przecie mój też wystarczy na drugim egzemplarzu.

— Ja przecie nic nie ryzykuję.

— Ja także nic.

— Doprawdy? Nawet owe tysiąc rubli rocznie?

— Juści! Kiedy je pan weźmie, to dowód, że wszystko przyjmuje — co podpisał.

— Ależ ja mogę prawnie — od tego wszystkiego się wykaraskać — jeśli spadek nie będzie fikcją.

— Ej — panie — jeśli pan do dziesięciu lat się nie zmieni i będzie myślał o »wykaraskaniu« się — to rozumie się, że spadek dla pana będzie fikcją. Ta Barbara Tryźnianka się nie zjawi do oszusta i kłamcy. I pan tem nie będzie — to podpisawszy. Pan może i nie wie, po co ze mną ten układ robi — a jeśli pan i wie — to się nie przyzna — ale ja panu wierzę — i tak ufam, że robię dobry interes. Już ja sobie po babsku obrachowałam. Tylko niech pan podpisze — drugi egzemplarz dla mnie zrobi — schowamy je sobie — dla pamięci — i trza się do roboty brać! Kto wie, do jakiej sumy podpędzą Zagaje, ile trzeba będzie dopożyczyć, a potem ciuć, by oczyścić, by odrobić to, co dwór pożarł!

— A przecie się pani chce tego kłopotu.

— To tak z nawyknienia. Ot — panu się chce używać, wydawać i nic nie robić — bo w waszych rodach takie było nawyknienie. Ja od dziecka w niedostatku byłam, w pracy — w wyrobku. Najprzód — to nie było grosza na wydatek zbytny, a że się biedę przeszło — to z tego nauka przyszła zbierać, ciuć, odkładać — na złą chwilę, a potem to już w krew weszło, w naturę. Muszę pracować, żeby zdrową być — a muszę zbierać — bo wydać nie umiem, nie potrafię. Nawet z tej Drobiny nie przeżyję dochodu, i tak się zbiera.

— I komu pani to zostawi? Rodzinie?

— Moja rodzina już bogata — bo w królestwie

niebieskiem używa, na co sobie zarobiła. Żywym zostawię — pracującym, biedującym, słabym, chorym. Takich nie brak. Trzeba dużo, wiele zebrać.

Westchnęła, i wzięwszy kawałek kredy — poczęła na stole kreślić niezdarne cyfry. Zauważył Tomek, że o zasadach rachunku miała pojęcie zaledwie elementarne.

Sporządził drugi egzemplarz swej fantazyjnej umowy — i podpisał.

Malecka wydobyła sznurkiem związane okulary — odczytała powoli — i położyła też swój podpis.

— Poproszę panią jeszcze o dwie przysługi: O miejsce na owe portrety, które, lichy wie, na co kupiłem, i o opiekę dla mego psa. Zabiorę go, gdy zdobędę własny kąt — a tymczasem, niech tu, u pani, zostanie.

— Będzie mu tu dobrze — niech pan się o niego nie troszczy. Po te obrazy jutro poślę. Ale ja też o jedno poproszę: żeby mi pan swój adres co roku przysłał — wedle tego tysiąca rubli. Ja je osobiście chcę doręczyć.

— Aha — chce pani przy tej okazji skontrolować, czy pamiętam o mem zobowiązaniu — zaśmiał się.

— Ano — trzeba interesu pilnować. Chciałam też panu powiedzieć, że mam w Warszawie znajomego młynarza. On z Niemców — ale katolik. Od małego zaczął — teraz wielki kantor ma — zbożem handluje i mąką. Szur się nazywa. Jakby pan chciał u niego w biurze pracować — tobym do niego napisała. Tam u niego służy Antek Remisz — wdowi syn — dobry chłopak — z mojej też rekomendacyi — i Szur mi mówił, że na moje słowo — pracę każdemu da.

— Mam nadzieję od pracy się wykręcić, ale niech pani

napisze. Pewnie po próbie ze mną Szur straci wiarę do pani rekomendacyi.

— A dlaczego! Przecie go pan nie okradnie.

— To nie — ale pracą się nie zamęcę.

— Jak panu będzie płacił — to pan mu przecie pieniędzy tych też nie ukradnie próżnując.

— Dlatego też wolę próżniaczyć za darmo, odparł Tomek ziewając.

Wstał, przeciągnął się i wziął za czapkę.

— Rad jestem z dzisiejszego dnia. Dokuczyłem żydom, Strażycowi, Pułaskiej, Władkowi, okpiłem panią, ulokowałem Kreta, mam zapewnioną rentę — udało mi się! Teraz żegnam panią — i dziękuję.

— Kto się okpił — to się pokaże później. A wedle mnie, to pan rodzicom parę tysięcy rubli napędził na licytacyi, nie dał na poniewierkę portretów przodków, a na siebie wziął pierwsze zobowiązanie samoistnego człowieka.

— Dziś pana pierwszy dzień — życia i dlatego pan z niego rad.

Malecka zajmowała Tomka — więc jeszcze spytał:

— Dlaczego pani tak akcentuje, że ten protegowany u młynarza jest *wdowi syn*.

— A bo to, widzi pan, uważałam w życiu, że taki specjalny gatunek — wdowie chłopcy. Jak odumrze dziecku matka, to zazwyczaj podziczeją takie dzieci — i mało co warte. A jak odumrze ojciec, to z takich dzieci ludzie będą.

— Brednie! Może zresztą są jakieś specjalne matki, co potrafią też »być ludźmi«, a nie ciężarem dla dzieci. A

najlepiej, żeby wogóle rodzice długo nie żyli, jeśli już koniecznie chcą napłodzić dzieci!

— Oj, panie, na każde stworzenie przychodzi pora uciechy z życia — i potrzeby kwitnąć, jak jabłonie wiosną. Nie wolny nikt od tego, choćby mówił przeciwnie. Jeden za młodu sądzi i rezonuje — drugi na starość. Jeden rodziców potępia — drugi młodych od wszelkiego dobra odsądza. A wszystko to — niemądra rzecz jest. Bywają rodzice ladaco i dzieci także. Ale prawda jedna jest: trzeba dobrym być i cierpliwym, i przeciw ościeniowi nie wierzyć.

— Pan powiada: nie trza dzieci płodzić i niech rodzice wcześniej umierają — a przecie i na pana przyjdzie moment, że pan się zakocha, jedną wybierze, umiłuje — i powie z głębi serca: błogosławiony żywot, który cię nosił, i piersi, które ssłaś — i ta, co pana pokocha — także z błogosławieństwem matkę pana wspomni. I w tem całego świata życie jest zawarte!

Tomek ramionami ruszył, ale nie rzucił cynizmu, który miał na języku, i wziął za czapkę, a że Kret szykował się też do odejścia, zwrócił się do Zuzi i rzekł:

— Weź go i zamknij, bo jadę stąd wprost na kolej — skąd konia do Zagajów odeślę.

Wziął psa na ręce, pogłaskał go, mówiąc:

— Kret tu zostanie, rozumiesz, pokrako, i będziesz tej pani posłuszny — i czekaj mnie!

Twardo, mocno uściśnęły jego rękę spracowane ręce obu kobiet — i wyszedł.

Gdy siadał na konia, zauważył przyczepione do siodła

zawiniątko. To Zuzia mu oddała skrzypce — ale sama nie wyszła, choć chwilę na nią czekał.

W ciemnej sionce, na kupie trzasek — dziewczyna siedziała z psem na kolanach — i płakała cicho. Kret to wył i skowyczał rozpacznie, to lizał Zuzię po twarzy — i tak te dwie żalności żegnały Tomka, który niefrasobliwy, już myślą od nich daleki — jechał na nowe życie.

*
* *

Gozdawowie osiedli w Warszawie — w pięciu pokojach od frontu. Opowiadano znajomym, że majątek oddali starszemu synowi w administrację, a sami zamieszkali w mieście dla zdrowia pana Feliksa i skończenia wychowania córki. Terka miała od jesieni brać lekcje prywatne, a tymczasem jakoby do tych nauk się przygotowywała.

Pan Feliks był, jak zwykle, dobrej myśli, nappmykał, że możeby dla zabicia czasu zajął się jaką pracą — a tymczasem bywał w cukierniach, odwiedzał znajomych — wieczorami miewał partyę winta lub pikiety — jeszcze się łudził spadkiem po bracie i nawet na to znajdował kredyt, lub też propozycje wejścia do spółki w różnych przedsiębiorstwach.

Pani Feliksowa miała bezustanne zajęcie z urządzeniem mieszkania, ubieraniem Terki — i pilnowaniem diety i régime'u męża.

Wszyscy oni, chociaż życie całe spędzili na wsi — tak mało żyli z naturą — tak byli zajęci nowością otoczenia i warunków, że nie odczuwali ni tęsknoty, ni braku.

Terka tylko czasami płakała po kątach i nudziła się, nie mając do próżniaczenia przestrzeni — skrępowana ulicą. Brakło jej też towarzystwa, gdyż właściwe stosunki miały się zawiązać dopiero po powrocie różnych znajomych i krewnych z wód lub letnisk.

Domem rządziła, jak zwykle, Deniska. Przybyła wraz z częścią mebli i była bardzo rada zmianie. Nie miała wprawdzie swego kąta — sypiała na otomanie w jadalni, ale miała większą powagę u młodszej i kucharki, niż u męskiej służby w Zagajach — żadnego kłopotu ze spiżarnią — a tyle wolnego czasu, że wynalazła sobie posadę lektorki na parę godzin popołudniowych — u jakiejś ociemniałej staruszki.

Pani Feliksowa wspaniałomyślnie pozwoliła jej na ten dodatkowy zarobek, chociaż wskutek tego Deniska mniej mogła uszyć bluzek dla Terki.

Tomek miał pokój z osobnem wejściem, gdzie czasami nocował. Zresztą zjawiał się tylko na obiad, a co robił — o to się nikt nie troszczył, tak każdy był sobą zajęty.

Pani Feliksowa zaproponowała mu raz, żeby z Terką poszedł na spacer, ale odpowiedział kategorycznie, że jest za wielki na pasanie gęsi — pan Feliks spytał go także raz, czy nie myśli szukać posady, na co Tomek coś zamruczał, że siedzi na krześle i że ojca o pieniądze nie prosi.

Pan Feliks chciał się rozgniewać, ale że mu doktor stanowczo zabronił wzruszeń, więc tylko ręką machnął.

Po licytacji w Zagajach — zjawił się Władek i przy obiedzie zastał Tomek u rodziny miny szczególne.

— Nie wiedziałem, że masz tyle pieniędzy? — spytał go ojciec.

Tomek tylko brwiami ruszył.

— Gdzież umieściłeś kupione portrety?

— Dałem do przechowania.

— Żebyś nie robił przedemną tajemnicy, żebym wiedział, że ci o te portrety chodzi, można je było wykręcić. A tak licytowałeś Władka.

— Więc Władek zostanie w Zagajach? — To nie ja — ale wy przedemną macie tajemne układy.

— Myślałem, że cię to wcale nie zajmuje. Tak — Zagaje weźmie Władek.

— Z licytacji?

— Tak.

— Ileż ojcu zostanie?

— Wcale okrągła sumka, na którą mam już świetną lokatę. A najważniejsze to, że ziemia nie wyjdzie z rąk rodziny.

— Wielki to dla niej zaszczyt! — mruknął Tomek.

Chłód i sztywność zapanowała u stołu. Wśród tych ludzi tak sobie krwią blizkich, czuć było obcość, obojętność — niechęć i fałsz.

Po obiedzie ojciec z Władkiem zamknęli się w salonie na naradę — i razem potem wyszli na miasto. Tomek znudzony śmiertelnie powlókł się na bilard.

Było to jego zwykłe zabicie czasu i źródło drobnych dochodów. Grał świetnie i miał paczkę znajomych w

kawiarni, z którymi potem wałęsał się po mieście, kończąc wieczór w knajpie lub tinglu. Właściwie, nie bawiło go nic z tego, i po powrocie miewał chwile wściekłości na świat cały, ale nazajutrz szedł znowu i próżniaczył dalej.

Pewnego razu znalazł przecie przy bilardzie godnego siebie partnera i przegrywał partyę po partyi. To go zajęło, zelektryzowało, przerwało monotonię zabawy. Zapoznał się z nowym kompanem. Nazywał się Szur.

— Pan ma młyn parowy?

— Nie ja jeszcze — ale ojciec. Ja kończę studia w Lipsku. Spędzam w domu ferye.

— Czy też pan słyszał kiedy w domu o niejkiej Maleckiej.

— O tak. To kapitalistka. Bywa u ojca.

— Czy służy u państwa Antoni Remisz?

— Prawa ręka ojca. Bardzo solidny pracownik.

Rozmawiali w czasie gry. Tomek skupił uwagę i wreszcie jedną partyę wygrał; potem poszli razem do tinglu i do rana byli już w najlepszej komitywie. Zbliżyła ich niemiecka burszowska tężyzna, wspomnienie różnych korporacji, komersów, złośliwych studenckich figlów i obyczajów.

Spotkali się nazajutrz i dni następnych — odnaleźli dwie Niemki — cyrkówki, godne socyuszki zabawy — i po tygodniu Szur wprowadził Tomka do swego kawalerskiego mieszkania i zapoznał w rodzicielskim domu z »Fatrem« i »Mutrem.« Była to typowa para szwabów parweniuszów, żyjących skromnie, zapracowanych od rana do nocy — nie mających pojęcia o użyciu fortuny.

»Fater« spędzał życie w kantorze nad rachunkami, »Muter« sama krzątała się w kuchni, piekła osobiście »kucheny« — i wojowała z kurzem i mólami resztę dnia.

Młyn stał nad Wisłą — otrzymywał zboże z berlinek — wodą spławiał mąkę — zatrudniał dużą gromadę ludzi. Zajął Tomka wir roboty, porządek i ład w każdym oddziale.

Poznał też Remisza. Chłopak był niepozorny, towarzysko nieobyty, zażenowany i nieśmiały, ale miał myślące czoło, uparte usta i dobre, choć brzydkie i małe, oczy.

Nie był właściwie zająkliwy, ale się w mowie zaciął — i dlatego chętnie milczał.

Po kilku dniach Tomek zaprosił młodego Szura do siebie, i tak się zdarzyło — że Terka wpadła do pokoju brata i poznała się z niemcem.

— Co za piękność! — zachwycił się chłopak, gdy wyszła.

— Łatwo ją będzie sprzedać! — odparł po swojemu Tomek.

— Oboje jesteście tak rasowi!

— Omal nie degeneraty, a w każdym razie do życia i walki już niezdatni. Ona się zda na mebel do zbytelnego salonu, a ja — wcale dla siebie miejsca na świecie nie widzę.

— Ach, jakąż ona piękna! — powtórzył przejęty Szur.

— Nie zakochaj się pan w niej przypadkiem.

— Byłbym chyba ślepy — żeby za nią nie oszaleć. Przecie to cudo!

Tomek ramionami ruszył — i na tem się rozmowa o

Terce skończyła.

Młodzi ludzie spotykali się dalej i zabawiali na mieście — i tak przechodziły tygodnie, aż zdarzyło się, że Deniska zagabnęła Tomka raz tajemniczo — z miną wystraszoną.

— Ja nie wiem, czy mam jedną rzecz powiedzieć pani. Ja się boję ją zmartwić — ona tyle ma kłopotu z panem.

— Co się stało? Panna Deniska może za męża idzie?

— Quelle idée! Tylko na tych spacerach o południu z Terką spotykają jakiegoś młodego człowieka. Terka mówi, że to pana znajomy. On się kłania, rozmawiają ze sobą — on jej daje kwiaty, książki...

— Szwab na seryo się złapał! — pomyślał Tomek.

— Si c'est un garçon convenable... — mówiła dalej Deniska — powinien go pan do domu wprowadzić — bo tak na ulicy — znajomość — to nie wypada. Ja nie chcę zmartwić pani — niepokoić — ale ja mam wyrzuty sumienia.

— Pojutrze wyjeżdża, więc się to samo skończy i sumienie panny Deniski się uspokoi.

— Ach, mon Dieu, — jak to dobrze, że z panem pomówiła! Pani nie potrzebuje niepokoić. Jaki pan rozumny, jaki dobry do rady — zachwycała się, składając ręce.

— To bajeczne — moje powodzenie u wszystkich starych bab, koczkodanów! — pomyślał Tomek.

Szur zaprosił go na pożegnalny bankiet, prawie przepraszając, że musiał też zaprosić Remisza i że przyjęcie odbędzie się w domu, bo choć starzy na niem nie będą — matka chciała koniecznie wystąpić z delikatesami własnego

wyrobu.

Kompania będzie niewielka: dwóch jeszcze kolegów, z których jeden doskonale śpiewał — no i Klara z Miną — cyrkówki. Żeby Tomek był bardzo, bardzo łaskaw — toby przyniósł ze sobą skrzypce.

— Czy to od mojej siostry pan się dowiedział, że gram?
Szur poczerwieniał.

— Tak. Panna Teresa opowiadała.

Tomek spojrział prosto w oczy Szura i rzekł:

— Niech pan się w ten romans nie awanturuje. Dziewczyzna jest głupia i łatwo jej pan głowę zawróci — ale co z tego! Panny z naszej klasy dostaje się przez kościół — a chyba pan rozumie, że to nie żona dla pana?

— Dlaczego? — spytał Szur nieśmiało.

— Dlatego, że ją wydadzą za »partyę«, którą jej starzy obmyślą.

— Ale ona może mieć swą wolę i i i...

— Nie szukaj pan wyrazów. Ona nie ma woli — i pójdzie w pierwszym karnawale za tego — którego jej wmówią — i zakocha się w nim na obstalunek. Mówię to panu szczerze i otwarcie — przez wdzięczność, że mnie pan nauczył grać w bilard.

Szur spuścił głowę i brwi zmarszczył.

— Wolałbym inny dowód nie wdzięczności, ale życzliwości pana. I równie szczerze odpowiem, że postanowiłem zdobyć pana siostrę, a my mamy łby uparte. Jadę dla ostatecznych egzaminów — i wrócę na Nowy Rok. Przecie do tego czasu nie wyjdzie za mąż? Ona jest jeszcze tak młoda — prawie dziecko!

Tomek popatrzał nań i parsknął śmiechem.

— Ki dyabeł! Czy pan naprawdę rozkochał się w tej kozie!

— Pan nie może być sędzią w tej sprawie.

— Racya. Rozumiem, że można zakochać się w czymś — w muzyce, naturze, morzu, górach, psach, koniach, polowaniu — ale zakochać się w kimś — do tego stopnia, żeby aż dla zdobycia poświęcić największy skarb — swobodę, nie — tego nie zrozumieć nigdy. Zatem — basta — nie mamy co więcej o tem mówić. Dobrze — będę jutro u pana i przyniosę skrzypce.

Obietnica ta przypomniała Tomkowi instrument, który rzucił do szafy — i nie tknął od przyjazdu z Zagajów. Wieczorem je wydobył, struny naciągnął i spróbował — już się rozochocił i rozegrał na dobre.

Na muzykę zjawiła się Terka.

— Tomek — nie graj — bo mama płacze! — szepnęła.

— Także osobliwość. Ona codzień płacze.

— Ale dziś specjalnie smutna — bo jutro Zagaje na licytacyi. Pójdziemy jutro z mamą na mszę, na tę intencyę!

— Bardzo to Pana Boga obchodzi — i pewnie tem specjalnie zajęty. A stary gdzie? Pojechał tam?

— Nie — ojciec mówił, że nie mógłby przy tem być! To straszne — pomyśl!

— Miałbym też o czem myśleć! Sprzedadzą, to starzy będą mieli pieniądze. Ale — dobrze, żeś mi się napatoczyła. Co to za randki urządzasz z Szurem?

— Ja! — skoczyła Terka i sponsowała. — Wszystkiego raz go spotkałam.

— Bajesz wcale nieźle! Ja to zaraz matce powiem, żeby jej myśl od Zagajów oderwać.

— Co powiesz! Wymyślisz, nakłamiesz — co możesz wiedzieć! Skąd! A zresztą jakbym i spotkała — to co złego? Pan August — twój znajomy — u ciebie go poznałam.

— Oho — już: pan August. No — a korepetytor ten z lata — a Strażyc. Coś tych szwagrów zawiele!

— Mój Tomeczku! Czy ci pan August co mówił? Mój złoty — powiedz?

— Pytał — czy ty już umiesz cztery działania, i czy wiesz, kiedy się urodził Kadłubek.

— Ty, obrzydliwcze!

Porwała go całą garścią za włosy, a potem przygarnęła się raptem do niego i wybuchła głośnym płaczem.

— To co znowu! Od starej się zaraziłaś? — burknął, ale gdy chlipała dalej, wziął ją na kolana, niezgrabnie po głowie pogłaskał — i umilkł. Nie umiał mówić, jeśli nie szydził.

A dziewczynka objęła go rękoma za szyję i poczęła się żalić.

— Ja taka nieszczęśliwa — tak mi nudno — tak smutno — taka jestem sama. Tak mi tutaj źle, i do Zagajów już nie wrócimy — i żywej duszy tu niema, żeby przemówić — żeby o mnie pomyślał kto! Mama tylko nudzi o zdrowie, ojciec wiecznie zajęty, Deniska gderze, jak małe dziecko — ciebie nigdy niema i ty drwisz — nie zagadasz po ludzku! Mój Boże, jabym chciała umrzeć!

— Nie mazgaj się, mała. Co ci za bieda. No, dobrze, już

dobrze — obiecuję zaprowadzić cię do teatru, albo gdzie ci się zechce.

— I powiedz naprawdę! Mój złoty! Pan August nie drwił ze mnie?

— No, nie drwił — ale co cię on tak obchodzi? Jutro wyjeżdża i pewnie się więcej w życiu nie spotkacie.

— Za pół roku wróci, i błagał mnie, żebym mu obiecała, że pójdę za niego.

— Na to jeszcze będzie czas. Teraz zajmij się czem. W przyszłym tygodniu lekcye się zaczną — nie będziesz się tak nudzić.

— Ale ty będziesz dobry dla mnie? Prawda?

— No, będę, będę. Ale mi nie spazmuj.

— Ach, żeby ten jutrzejszy dzień minął. Mama mówi, że jak Zagaje przejdą na Władka, będziemy mogli tam jeździć i przesiadywać. Mój Boże, jak mi za domem tęskno!

— A gotowaś iść za mąż — za tego młynarza. Przecie czy tak, czy owak — w Zagajach wiekować nie będziesz — więc nie desperuj!

— Tak ci się to lekko zdaje — bo wcale w domu nie bywasz. Żebyś wiedział, jak rodzice się niepokoją — w jakim są strachu!

— Durnie są!

Terka już rozpogodzona zaczęła mu opowiadać różne sceny i rozmowy, głupoty i marności codziennego życia, rzeczy banalne i nudne, że miał ochotę ją wypędzić — ale ścierpiał — szanując daną obietnicę, że będzie dla niej dobry.

Ale gdy się jej pozbył, ziewnął, przeciągnął się i

zamruczał.

— I nie lepiej to być nieprawem dzieckiem, u podrzutków! Toć tu będzie chryja jutro wieczór! Stanowczo w domu nie myślę nocować.

Przy obiedzie nazajutrz nastrój był przygnębiający. Pani i Deniska suszyły na intencję Zagajów — pan Feliks był zdenerwowany — nasłuchujący na każdy szelest na schodach — czy nie przynoszą depeszy — a Tomkowi było w głębi ducha niemiło. Miał chwilami ochotę rzucić im zuchwale prawdę w oczy — a milczał nikczemnie — bojąc się skandalu.

Ale już wyraźnie czuł, że postąpił źle, że ludziom tym odebrał ostatnią otuchę — i ziemię — on — odda w obce ręce.

Wymknął się zaraz po obiedzie — i parę godzin przewalał się po mieście, aż przegryzł wewnętrzny niesmak, wmówiwszy w siebie — że w ten sposób — starzy będą mieli większy kapitał — i że się z losem pogodzą — z czasem.

Resztki wyrzutów sumienia zagłuszył hulanką u Szura. Był najweselszym z kompanii, grał, śpiewał, pił, prawił dowcipy, wymyślał najdziwsze koncepty — i zabawa skończyła się nad ranem zupełną orgią. Wszyscy byli pijani i leżeli, jak trupy — on jeden trzymał się na nogach — i pożegnawszy ich parodią pogrzebowego marsza, o własnych siłach zeszedł na ulicę — i wsiadł w dorożkę.

Powietrze podziałało nań osłabiająco — morzył go nieprzeparty sen — i napół przytomny przybył do domu.

Stróż, otwierając mu bramę — coś mówił, czego nie

zrozumiał — i ruszył, ślaniając się ze snu, kuchennymi schodami — dla niepoznaki.

Kucharka na jego widok plasnęła rękoma i też coś zaczęła prawić. Odtrącił ją — wszedł do swego pokoju i jak kłoda zwałił się na łóżko.

Obudziło go gwałtowne szarpanie i krzyk Terki. Odtrącił ją, bełkocąc.

— Poszła won!

Ale ona szarpała go dalej, krzycząc wśród łkań i jęku:

— Tomek, Tomek — obudź się, chodź, chodź, prędzej. Ojciec umiera, mamy nie można się docucić. Boże, Boże! Tomek!

Tedy oprzytomniał napół — i zwałił się na nogi.

— Co? Co ci się stało?

— Ojciec umiera. Zagaje przepadły. Wieczorem przyszła depesza. Ojciec przeczytał i upadł w przedpokoju. Wpadłyśmy z mamą — nie miałyśmy siły podnieść. Deniska poleciała po doktora — ale dopiero o północy przyszedł. Ojciec bez mowy — straszny — cała twarz krzywa. Doktor mówi, że niema ratunku — mama mdleje bezustanku — a tu ciebie niewiedomo gdzie szukać. Chodź — zlituj się — ja się boję patrzeć na ojca, taki straszny.

Raptem Tomek wytrzeźwiał — wewnątrz zaczęło w nim coś dygotać, na skronie wystąpił pot.

— Co było w depeszy? — spytał rwącym się głosem.

— Masz, przyniosłam. Ledwie ją z rąk ojca można było wydrzeć. Ale to nieprawda? Powiedz — to nieprawda. Władek z rozpaczy tak napisał?

Tomek wziął papier, zmięty, przedarty:

»Zagaje stracone. Utrzymała się Malecka, za porozumieniem się z Tomkiem. Odrzuciła wszelkie układy. Jesteśmy zgubieni«.

— To nieprawda? Powiedz? — powtarzała Terka.

Ale on nic nie powiedział. Patrzył długą chwilę na depezę — wreszcie ją cisnął — i poszedł do dalszego mieszkania.

Pokoje przedstawiały wygląd ruiny i bezładu. W salonie, na otomanie, leżała pani Feliksowa bez zmysłów — cuciała ją Deniska — w sypialni pan Feliks dogorywał.

Był tak zmieniony paraliżem, że Tomek się go przeraził. Jedno oko miał zamknięte powieką już nieruchomą — drugie patrzące błędnie.

Był już jakby martwy — i najmniejszym znakiem nie okazał, że poznał syna.

Tylko oddech nierówny zdradzał, że resztki życia tleją, i czasem poruszenie warg — że cierpi i czuje.

Tomek wrócił do salonu, zbliżył się do matki, szeptem pytając Deniski, gdzie doktor?

A wtem pani Feliksowa otworzyła oczy — spojrzała nań, wybuchnęła płaczem, krzykiem histerycznym:

— To ty, ty — zabiłeś ojca!

Dostała ataku, drgawek, jęku, szlochów, że wyszedł z pokoju, zatykając uszy.

— Telegrafowałaś po Władka? — spytał Terki.

— Tak — ale dopiero rano.

Napisał depezę do doktora Sabińskiego — potem — nie wiedząc, co dalej robić, — usiadł w kącie, wstrząsany nerwowym dreszczem.

Usiadła przy nim Terka i szeptem spytała:

— Coś ty zrobił właściwie? Nie rozumiem depeszy Władka.

Ruszył ramionami.

— Trzeba być takim durniem, jak on, żeby tak pisać. Chciał dostać Zagaje za bezcen, a że mu się to nie udało — wścieka się na mnie i to on jest winowajcą tej chryi.

— Mój Boże, co z nami teraz będzie!

— A coby było — wiesz? Zostałoby dziesięć tysięcy — na nas wszystkich — a teraz będzie może dwadzieścia.

— Ale ojciec umiera. Mama może też tego nie przeżyje. Jakiś ty zmieniony, Tomku.

— Głowa mi pęka z bólu, całą noc nie spałem — i zastać tu taką awanturę. Czy są w domu pieniądze?

— Nie wiem. Deniska pozamykała biuro ojca i doktorowi zapłaciła ze swoich.

— Jeszcze dobrze, że ta jest. Rozumie się, że się wszystko zmieni w naszym życiu — ale też było to życie podłe dla wszystkich.

Zresztą, niech się dzieje, co chce — ja się muszę położyć — i odpocząć!

Rzucił się na kanapę w jadalni, a Terka przykucnęła przy nim — i po chwili płaczu zasnęła, jak zmęczone zwierzątko.

Tomek nie spał — i pierwszy raz w życiu cierpiał — bo nie mógł opanować uczucia wstydu i jakiegoś lęku. Miał ochotę uciec z domu, wszystko rzucić — ludziom w oczy nie patrzeć.

A wokoło była ciężka cisza, przerywana niekiedy jękiem

pani Feliksowej — szeptem służby — i monotonnym turkotem ulicy. Mijały tak godziny. O zmroku Tomek wstał ostrożnie, by nie obudzić Terki — zajrzał do ojca. Wyciągnięty nawznak, jakby już w trumnie — trwał w swej nieruchomości i grozie konania.

Z salonu zajrzała też Deniska.

— Może sprowadzić doktora? — pytał.

— Obiecał przyjść wieczorem. Pani trochę się uspokoiła, drzemie.

— Nie długo już tego. Wytrzymam. Im gorzej. Zajmę się chwilę gospodarstwem — pewnie pan Władysław rychło przyjedzie. Terka głodna. Tu oto klucze od biurka pana, proszę schować.

— Trzeba pewnie pieniędzy?

— Nie, nie. Mam dosyć — i im — tym dwojgu — już nic nie potrzeba.

Mówiła spokojnie, i bez łez miała oczy — tylko całą twarz skurczoną i zmienioną, i nie patrzała na Tomka.

— To dopiero katastrofa! — szepnął.

Pokiwała głową.

— Nie trzeba było tak robić, nie trzeba — zamruczała, odchodząc.

— Niech panna Deniska to Władkowi powie — mruknął.

Dzwonek w przedpokoju się ozwał. Tomek otworzył. Był to Władek i doktor Sabiński.

— Co się stało? — spytał Władek.

— Ano — twoja depesza! Zobacz, co się dzieje.

— No — ale Zagaje nam wydarłeś. Ciesz się.

— Ja?

— Cicho! — upomniał doktor Sabiński, i szybko poszedł w głąb mieszkania.

Bracia nie rzekli do siebie słowa więcej, ale Tomek odzyskał swe zuchwalstwo.

Doktor Sabiński zbadał chorych — i przyszedł do gabinetu — na cygaro.

— A co? Źle — spytał go Tomek.

— Owszem! Bardzo dobrze. Ojciec skończy najdalej do rana — niezawodnie. Co do matki, mniejsza pewnośc końca — ale niezawodna ciężka nerwowa gorączka. Będziesz swobodny niedługo czekając.

— Tylko że mi teraz ciskają w oczy, że to ja ich do grobu powpędzam.

— Kto się ciesielką trudni, łącno się okaleczy — mówi mądry Lao Tse.

— Do czego to doktor cytuję, bo sensu nie widzę.

— Dogodziłeś sobie, robiąc im na złość. Teraz niema Zagajów — niema ojca. Czy się ożenisz z Malecką?

— Doktor też kawaler — ustępuję pierwszeństwa. A co do tej całej chryi — nie czuję się wcale winny.

— No to po co parskasz złością.

— Doktorze! — rozległ się stłumiony, niespokojny głos Władka — za drzwiami.

Poszedł za nim Tomek — aż do sypialni.

Pan Feliks był w agonii. Zawsze przytomna Deniska posłała po księdza, pani Feliksowa napełniała mieszkanie rozdzierającymi jękami, szlochała Terka, płakał Władek — nastaly męczące, na życie całe pamiętne godziny.

Około północy wszystko się skończyło. Pan Feliks leżał

już spokojny, bez bólu i troski, czekając powrotu do matki — ziemi — a żywi zajęli się ziemskimi sprawami.

Władek spytał brata o pieniądze — otworzyli biórko, znaleźli tysiąc kilkaset rubli i poszli załatwiać urzędowe formalności.

Znalazły się jakieś krewne, które się zajęły żałobą kobiet — doktor Sabiński pisał depesze do rodziny i cucił panią Feliksową. Reszta nocy tak zeszała — mało kto spał.

O świcie, nieznacznie, chyłkiem — wyniesiono zwłoki w trumnie do kościoła — i wtedy dopiero Tomek poszedł do matki.

Była w gorączce, nieprzytomna, żałąc się i zawodząc, jak dziecko:

Powtarzała bezustannie:

— Feluniu — boli, boli, boli! —

Tedy Tomek zrozumiał, odczuł — jak bezgranicznie, ślepo, zapamiętała kochała — i jak straszny ją spotkał cios — i piekąca gorycz zatargała nim, że się aż cały wstrząsnął.

— Proszę cię — wyjdź do gabinetu. Interes! — posłyszał za sobą szept Władka.

Gdy się znaleźli sami, Władek rzekł:

— Musimy coś postanowić na przyszłość. Co będzie z matką, z Terką? Po pogrzebie zostanie zaledwie paręset rubli. Trzeba wymówić mieszkanie przedewszystkiem — na takie niema środków. A, broń Boże, choroba matki się przeciągnie! Nie mam pojęcia, co robić!

— Ile zostanie z Zagajów?

— Siedemnaście tysięcy na nas czworo.

— Zostawić wszystko matce, to się z procentu utrzyma

— przy naszej pomocy. Trudno — do dobroczynności jej nie oddamy — i Terce naukę trzeba dać.

— Ja muszę swoją część dostać — i spłacić teściowę. Pożyczyła na ową nieszczęsną sukcesję po stryju. To honorowy dług. I — ja pozatem nie mam nic. Żebym pozostał przy Zagajach — dałbym matce mieszkanie — ale jak się stało inaczej — jestem zupełnie bez możliwości dania jakiegokolwiek pomocy.

— Pocóż tedy wzywasz mnie do rady. Matka i Terka zostają mi na karku! Bardzo dobrze. Nie mamy się co radzić jeden drugiego. Dam temu radę sam.

— Naturalnie — stało się przecie, jakieś chciał. Biedna matka, czy przeżyje ten cios!

— Zatem sprawa skończona. Po pogrzebie odjeżdżasz — i o te baby niech cię głowa nie boli.

Ziewnął, i nie żegnając brata, odszedł do siebie. Tam — zamiast odpocząć — usiadł u stołu i zasmarował cały arkusz cyframi.

Wreszcie ramionami ruszył — i zaklął.

— A tom dopiero figla spłatał — ale komu? Tom dopiero na swoim postawił! Mam ochotę samemu sobie w gębę napluć. Ojacobójcą zostanę na wieki, amen — i od familii już się nie odczepię. Jedno z drugim — utrzymać te dwie — to cztery tysiące rubli rocznie. Tysiąc od Maleckiej — tysiąc od ich kapitału, a dwa chyba ukraść, boć jaki dureń za moją robotę — tyle mi zapłaci. Uf — wkopałem się ładnie! Ano, trudno. Niech mi Szur daje posadę — w nadziei na Terkę — której nie dostanie! Ot i — jestem — wdowi syn!

*
* *

Od czego to się zaczęło i w jakim szło porządku, który z wujów więcej mu nagadał morałów, a który go zwymyślał, tego narazie Tomek nie pamiętał. Stało się jednak coś, na co wcale nie był przygotowany — a mianowicie, że matkę i Terkę zabrał pod swoją opiekę wuj Józef — bogaty, bezdzietny wdowiec — a na radzie familijnej — po pogrzebie — cała rodzina stanęła po stronie Władka, Tomek zaś obrzucony krytyką i naganą — tak się rozwścieklił, że nagadawszy im impertynencyi — zakończył tem, że cisnął im w oczy zrzeczenie się swej części ojcowizny — na rzecz Terki — i wyszedł z domu, trzaskając drzwiami. Trzy dni wałęsał się po mieście — nocując w hotelu — potem oprzytomniał z pasyi — obrachował swe fundusze — i poszedł do mieszkania rodziców. Zastał robotników przewozowej firmy, pakujących rzeczy — i Deniskę.

Dowiedział się, że matka jest w lecznicy — i Terka przy niej — że jest zdrowsza i zapewne prędko wyjedzie do brata — że meble też tam przewożą, że pani Feliksowa ani chce wiedzieć o rozstaniu z córką — więc nauka Terki zapewne będzie już skończona z tej racyi — i że Deniska — też z niemi jedzie.

— Pani pytała o pana! — rzekła wreszcie Francuska,

patrzac pytajaco na Tomka — zeby pan chcial — tobym przygotowala do widzenia.

— A po co — jestem juz — ojcobojca — jeszcze sie matce pogorszy po mojej wizycie — to mnie te stare pierniki okrzyca matkobojca. Przyszedlem po graty.

— A co pan zamierza robic? — spytala niezmialo.

— W kazdym razie — nie pojde w dziady — jak oni wszyscy.

Zebrał swoje manatki do kufierka i chcial odchodzic, gdy wpadla Terka.

Rzucila mu sie na szyje, zdyszana.

— Co za szczescie, zem cię zastala. Mój złoty, wiesz, zabierają mnie stąd — daleko — na kraj swiata. — Zlituj się — nie zapomnij o mnie — masz tu adres — napisz czasami!

— Nie zawracajze mi glowy! Wlasnie ci chodzi o moje zdrowie i powodzenie. Ale sie na listy od Szura nie las — bo ten wuj ostro cię weźmie — i na romanse z mlynarzem nie pozwoli.

— Tomku, przecie obiecales byc dobrym dla mnie — i swoje pieniadze mi ustapiles — i ja z toba trzymam — a ty mnie zdradzasz.

— Nie zdradzam, tylko znac was nie chce!

— To ich — ale nie mnie! Mój złoty, ja ci nic nie zawinilam — ja ciebie tylko bede sluchac.

— Zebyś tak nie lgalala i nie pletla. Ostatecznie, o co ci chodzi?

— Ty wiesz! — szepnela, spuszczajac oczy.

— Nie wiem i wiedziec nie chce.

— Tomku. Moje szczęście, moje życie od ciebie zależy. Ja wiem, że oni mnie tam będą dręczyć i namawiać i zmuszać. Tomku — a ja panu Augustowi dałam słowo — chcę dotrzymać.

— Cóż ci pomogę. Mam cię wykraść i jemu dostawić?

— Jak mi bardzo dokuczają — to ucieknę do ciebie.

— Winszuję — tego tylko braknie! — roześmiał się.

— Więc mi tylko daj wiedzieć, gdzie jesteś — i daj mi trochę pieniędzy — boć tamte — niby moje, ale u wuja.

Wydobył pugilares.

— Masz — i odczep się odemnie. Teraz przez ciebie — nie dostanę posady.

— Jakto?

— Nie twoja rzecz. Chciałbym wiedzieć, kiedy mi przestaniecie dokuczać. Słuchajno — ale i ty napisz, jakby wam tam źle było — albo starej — ten cudzy, łaskawy cbleb był gorzki.

Terka rzuciła mu się na szyję, ucałował ją łaskawie — potem obejrzał się po ścianach, nacisnął kapelusz — kazał stróżowi znieść do doróżki kuferek, wziął skrzypce — i rzekł z szyderyczym uśmiechem:

— No teraz już na fest — nie mam domu — i gwizdzę na wszystko.

Istotnie na schodach gwizdał jakąś burszowską piosenkę.

Ulokował się w hotelu i rozpoczął życie bez zajęcia, planu i celu. Ale po tygodniu tak był zmęczony nudą i bezczynnością, że zaczął czytać ogłoszenia w kuryerze — i wybierać sobie pracę. To go zajęło czas jakiś — wreszcie zdecydował się złożyć swą ofertę — ale nim napisał — już

mu się odechciało. Potem napadła go pasya czytania. Leżał po całych dniach i pożerał tomy po tomach. Następnie przyszła pasya do teatru — następnie sprawienia nowej garderoby, wreszcie powrócił do bilardu. Szura nie było — ale w kawiarni, gdzie spędzał wieczory, spotykał Remisza — i tak jakoś nieznacznie zaczęli ze sobą rozmawiać i bardzo nieśmiało Remisz go do siebie zaprosił.

Mieszkał ły jednym pokojem — na trzecim piętrze w oficynie. Zimno było, ubogo i pusto.

Nad stołem, zawalonym papierami — wisiały dwie fotografie — starej kobiety i młodej.

— To moja matka.

— A to siostra? — dodał Tomek.

— Nie — to narzeczona! — odparł Remisz cicho i zaczerwienił się.

— Fiu — fiu! Masz pan gust i szczęście.

Remisz oczy spuścił i milczał.

— Ale pan chyba kapitały składa. Ten apartament drogo nie kosztuje — a pan przecie musi dobrze być płatnym u Szura.

— Owszem — tylko że do domu dużo trzeba.

— Aha — rodzina! — zaśmiał się Tomek.

— A tak — czworo nas zostało po śmierci ojca. Majątek mamy — niewielki — pięć włók i cegielnia w tem. Siostra najstarsza za mąż poszła — ale też owdowiała i wróciła do mamy. Dwóch braci małych trzeba uczyć — więc tak — nie mogę sobie dużo zostawić.

— I narzeczona musi czekać!

— O! ona taka dobra! — szepnął chłopak. — Ona też

pracuje — w biurze — niema rodziców — mieszka przy bracie żonatym.

— Czy pan pisze powieści — że tu tyle tej bibuły.

— Nie — skądże! Przepisuję wieczorami — dla siebie. Nie wystarczyłbym bez dodatkowej roboty. A za ten pokój prowadzę meldunki w kamienicy — i jeszcze na mieście mam zajęcia: — rachunki w dwóch sklepach.

Tomek spojrział z podziwem na niepozornego człeczyne. Remisz zakrzętnął się w kącie, gdzie na piecyku miał swe całe gospodarstwo, i po chwili podał gościowi herbatę. Widocznie był uhonorowany odwiedzinami — i znajomością z takim eleganckim panem. W oczach jego widać było zachwyt i uradowanie.

— Czy pan zna panią Malecką? — zagadnął Tomek.

— A jakże! To bardzo zacna kobieta. Jej mąż był sędzią u nas, ale umarł już temu dziesięć lat. Mieszkała w miasteczku — niedaleko naszego Żerania, ale podobno gdzieś się wyniosła. Ja w domu już dwa lata nie byłem — bo choć mam płatny urlop, ale coś sobie na ten czas wynajdę — żeby zarobić. Lepiej im kilkadziesiąt rubli posłać — jak jechać.

— Toć ten wasz folwarczek, to smok, pożerający tysiące.

— A tak. Może mama niebardzo sobie daje radę — i częste mają klęski. Ano — cóż robić. Ja się na gospodarstwie ani na cegielni nie znam, inaczej im pomódz nie mogę.

— A kiedyż pan myśli się ożenić?

— Chyba jak chłopcy gimnazjum skończą — starszy już w czwartej klasie, młodszy w trzeciej.

— No — cierpliwa ta pana narzeczona! — zaśmiał się Tomek i spojrzał znowu na fotografię, a potem, zapalając papierosa, rzucił niedbale:

— Ja też chcę się wziąć do roboty — szukam posady.

— Biurowej?

— Ano — chyba.

— W fabryce kamieni młyńskich pan Turner poszukuje korespondenta. Jakby pan chciał — ja mu powiem! — ofiarował się uprzejmie Remisz.

— Może pan powiedzieć! — zgodził się łaskawie Tomek. — Cztery języki posiadam dobrze.

— Mnie się zdaje, że pan wszystko potrafi. Pan chyba, nie ucząc się, wszystko umie.

W dwa dni potem już Remisz posadę mu wykukał, zapewnił, i gdy Tomek poszedł pod wskazanym adresem, został przyjętym tytułem próby na miesiąc, do handlowej korespondencji.

Nie miał o tem najmniejszego pojęcia i przez parę dni naprawdę się mozolił — ale że miał fazę zawziętości i ambicyi — wybrnął z trudności i po tygodniu odrabiał robotę z precyzyą wytrawnego urzędnika — i pierwszy raz w życiu bawił się w pracę.

Przełamał lenistwo do rannego wstawania — w godzinach biurowych ani palił, ani rozmawiał — i szef był pewny, że zdobył jakiś unikat, ideał — pracownika z powieści!

Ale gdy się miesiąc skończył — Tomek mu oświadczył, że więcej nie przyjdzie, bo cała ta robota jest »idiotyczna«, i żeby jeszcze miesiąc pisał w czterech językach listy o

kamieniach młyńskich — toby mózg mu się zmełł na piasek.

I otrzymane pieniądze tegoż wieczora przehulał z dwiema cyrkówkami i nazajutrz cały dzień przespał.

Stał się znowu cyrkowym bywalcem — i minęło w tej nowej pasyi parę tygodni. Aż stało się, że gdy po jakiejś orgii całonocnej w gabinecie wrócił do hotelu, napróżno szukał pugilaresu. Zgubił, czy go okradziono — ale rezultat był ten sam. Przeszukawszy wszystkie kieszenie, zebrał siedm rubli — cały fundusz, co mu zostało z tysiąca rubli, wypłaconych przez Malecką w sierpniu, a stało się to w listopadzie.

Tedy Tomek oprzytomniał — i raczył pomyśleć o przyszłości. Pomyślał zaś tak, że tegoż wieczora te siedm rubli przegrał w bilard.

— Ano — trzeba będzie gdzieś, kogoś naciągnąć! — pomyślał, kładąc się spać, i od rana zaczął po ulicach wypatrywać znajomych. Spotkał paru, ale nie wspominał o pożyczce — i cały dzień zeszedł mu naczczo.

Wieczorem przyprowadził ze sobą do hotelu żydahandlarza — i sprzedał parę garniturów ubrania. Resztę złożył do kuferka — rachunek w hotelu zapłacił — i wyniósł się do tanich, tak zwanych »umeblowanych pokojów«, w bocznej, dalekiej ulicy.

Niechlujnie tam było, duszno, cuchnąco, gnieździła się rozpusta i występki, ale przynajmniej był pewny, że go tu nikt nie zna — i nikt ze znajomych go nie znajdzie.

W garkuchni — w tymże domu zjadł byle co — i siedział do późna, obserwując typy, zgoła sobie dotąd

nieznane. W nocy spać mu nie dawały wrzaski na kurytarzu, a może i pierwsza naprawdę troska o jutro. A owo nieubłagane jutro przyniosło mróz, śnieg i — głód.

Tomek nareszcie obejrzał się na seryo za pracą — i obszedł kilkanaście ofert z Kuryera — bezskutecznie. Wrócił późno — przemokły, zziębnięty i wściekły.

Po kilku dniach musiał sprzedać resztę garderoby i zegarek, ale wystarczyło pieniędzy zaledwie na tydzień, a zajęcia nigdzie dostać nie mógł — pozostały tylko skrzypce. Właściwie zapomniał o nich, i teraz dopiero wpadły mu w oczy, któremi wodził po koszlawych, wstrętnych sprzętach pokoju. Wydobył je z pudełka i obejrzał. Cenne były, stare — jutro je poniesie na sprzedaż. Tymczasem jeszcze raz na pożegnanie zagra na nich. Ton bo miały pieściwy, srebrny, i drżały pod smykiem, jak żywe.

Usiadł Tomek na łóżku, i grając, począł przypominać sobie Zuzię, letnie noce, pola, zbożne, dwór Zagajski — wszystko dalekie, we wspomnieniu błękitne już i miłe!

Zamyślony, nie słyszał, że ktoś wszedł — dopiero ciężkie sapanie i kaszel zwróciły jego uwagę, że nie sam był w pokoju. Nie przestając grać, oczy podniósł — i poznał właściciela garkuchni.

— To pan taki majster. No, proszę, a mnie ten huncwot Motylski zarwał na trzy ruble — i podobno się wymeldował na Brudno. Chodź pan do sali ze swą muzyką. Klienci chcą tańczyć przy sobocie. Dam rubla i żarcie — piwo też!

Minęła chwila, nim Tomek zrozumiał, o co mu szło — wreszcie się roześmiał i poszedł za grubym restauratorem

do owej »sali«, gdzie skrzypce powitano radosnym wrzaskiem.

W dymie totoniowym i ohydnych wyziewach piwa i tłuszczu rozpoczęły się tańce i hałaśliwa uciecha. Skrzypce dygotały w ręku Tomka, którego też jakiś dziki szał ogarnął, że nie czuł ni zmęczenia, ni atmosfery tej strasznej tancbudy, tylko grał zapamiętale:

— Ot majster! To nie ten zdechlak Motylak. To ci siarę ma, bestya! — wołali tancerze.

— A chłop też, szelma, gębę ma gładką. Ten ci jak ściśnie — to ha! — śmiały się »damy«.

A Tomek, grając, widział przed sobą szpetną twarz doktora Sabińskiego, jak mu niegdyś prorokował karierę grajka — i śmiał się zuchwale do tego widziadła:

— Ano — gram — i co? Myśli, doktor, że mnie to żenuje? Wolę grać — tej hołocie — jak tańczyć — na cudze granie. Tańczcie, dranie, było — ja was tu dziś zamęcę!

Gdy policya wreszcie rozpedziła »klientów«, Tomek miał palce od strun do krwi zdarte, i jeszcze grał, blady, z kroplami potu na czole. Puńkowski, restaurator, z rozpromienioną miną — osobiście podał mu kufel piwa i srebrnego rubla.

Tomek piwo wypił — rubla wyrzucił w górę i nogą nadeptał.

— Orzeł czy reszka? — spytał brzuchacza.

— Orzeł! — odparł ten wahajaco.

Tomek nogę usunął, spojrział — i potracił monetę ku niemu.

— Bierz — twoja! — rzekł — i wyszedł.

— Pan! — mruknął kelner, kłaniając mu się nisko.

A Tomek, zanim zasnął — pogłaskał skrzypce ruchem pieszczotliwym dłoni — jakby głaskał smukłe kobiece biodro, i rzekł półgłosem:

— I oto jestem na twojem utrzymaniu — ty śpiewne drewno!

Jakoż zaledwie się nazajutrz obudził — kelner przyprowadził mu czeladnika rzeźnickiego, który z szerokim śmiechem wystąpił doń z prośbą o granie na weselu.

— Niby na mojem, z panną — co jej stary jest woźnym w Resursie. Proszę nie byle za co — dam pięć rubli — ino żeby tak pan rznął — jak dzisiaj tu w nocy. Nie bez tego, że i tancerze coś dołożą — bo bez przychlebności mówię — ma pan dryg w ręku, że nogi same chodzą.

— Idź pan do stu dyabłów — mnie się spać chce!

— To też nie zaraz proszę — ino na wieczór. Starszy družba tu po pana przyleci — jak będzie pora.

— No, dobrze — a jak mi się panna młoda spodoba — to buziaka niech mi też dołoży.

— Owa — do wójta z tem nie pójdziemy — a i panna Felka nie będzie chyba sprzeczna, zaśmiał się nowożeniec, kładąc na stoliku trzy ruble tytułem zaliczki — »na pewność«.

Wesele odbywało się w dużej suterenie — a sąsiadka, maglarka, ustąpiła też swej izby.

Ulokowany wysoko — na komodzie — Tomek bawił się setnie — widowiskiem, typami — uciechą godowników. Po kolacyi — nie przestając grać — stanął przed panną młodą

— i zaprosił ją do tańca. To wzbudziło zachwyty i burzę oklasków — i gdy na zakończenie urwał grę, objął ją i pocałował, wesołość doszła szalu — i każda druchna dopominała się o taniec. Nad ranem, gdy odprowadzono państwa młodych do mieszkania — Tomek zdobył już sobie szeroką sławę — miał zamówienia aż na karnawał i znajomych pół ulicy. Miał też w kieszeni garść srebrnej monety, a w drugiej wielką pajdę tortu, którą mu gwałtem wepchnęła woźnowa.

Ale na progu garkuchni Puńkowskiego natknął się na hałaśliwą scenę.

Brzuchacz ledwie obudzony — zły — wymyślał kobiecie mizernej — w szal otulonej, która płacząc, powtarzała jedno ciągle.

— Umarł — a tydzień mu się należy — mówił — będzie na pochów. Co ja teraz pocznę!

— A pocznij sobie pani, co chcesz! A ja mówię, że mnie zarwał na pięć rubli. I mam na to świadków.

— Trzy lata grywał u pana. Niech się pan zlituje. — Pożycz mi chociaż te dziesięć rubli. Nie mam nic do sprzedania. Została tylko maszyna do szycia. Jak mi ją wezmą — czem zarobię.

— A mnie co do tego. Jak grał, to nie za darmo — płaciłem, i dobrze płaciłem — więcej, niż warto. A teraz interes skończony — niech mi pani głowy nie zawraca. U mnie niema biura wsparć — a restauracya.

Zatrzasnął drzwi przed nosem kobiety, która osunęła się na schody — i zakrywszy twarz chustką — zanosila się łkaniem.

— Pani czego tu ryczy? Kto umarł? — spytał Tomek, stając nad nią.

Podniosła na niego osłupiałe oczy.

— Mąż umarł. Grajek, Motylski. Niema ani grosza w domu.

Twarz miała wychudzoną, bladą, w spojrzeniu bezgraniczną rozpacz.

Tomek najniestosowniej zaśmiał się. Patrzył na nią chwilę długą — wreszcie krzyknął.

— To niech się pani stąd zbiera do domu. Przecie ten brzuchacz pani nie da. Juści, ja mam grzebać pani męża — rozumie się — grajek grajka. No, jazda.

— Pan by się ulitował? — zaczęła jąkać.

— Ech — niech pani mi głowy też nie zawraca. Spać mi się chce po weselu!

Ziewnął — wydobyl z kieszeni garść pieniędzy — zostawił rubla — resztę podał kobiecie. Ale wtedy spostrzegł, że była zemdlona. Zjawił się w tej chwili stróż z miotłą — i rzekł sentencyonalnie.

— Najlepiejby jej było też w księżej oborze. To Motylska.

— Trza ją do domu odstawić. Dajcie wody.

Kobieta ocuciła się rychło — ale, że się chwiała na nogach, Tomek doprowadził ją do doróżki i odwiózł do mieszkania. Był to pokój w oficynie — na Tamce — na pierwszym piętrze — nad ustępem. Zimno było, wilgotno i pusto. Panował też zaduch amoniaku, że aż go za gardło ścisnęło.

Dziewczynka trzyletnia rzuciła się z płaczem do matki,

wołając:

— Mamusiu, zabrali tatusia. Jakieś ludzie przyszli — z taką czarną skrzynią — włożyli do niej tatusia — i ponieśli!

Na łóżku znać było jeszcze formy zwłok — w izbie pośmiertny nieład. Ze sprzętów — oprócz tego łóżka, została tylko maszyna do szycia, stołek i skrzynia drewniana — w której na posłaniu ze szmat i papierów sypiała zapewne dziewczynka.

Kobieta upadła na łóżko z jękiem i szlochem — dziecko wlepiło w Tomka oczy jasne, pytające, przerażone.

Rozejrzał się, skrzywił na zaduch, zebrał znowu wszystkie drobne z kieszeni, położył na maszynie, a wreszcie wlepił dziecku weselny tort i wyszedł.

— Dziwnie mnie się pieniądze nie trzymają! — mruknął, gdy się przespał, i poszedł na obiad do garkuchni. Był znowu bez grosza, ale zbytnio się tem nie frasował, bo brzuchacz bardzo uprzejmie zaprosił go znowu do grania dla gości.

Wieczorem jeden z klientów zagabnął go z nową propozycją.

— Stankowski potrzebuje drugich skrzypiec do swego kwartetu. U niego zarobiłby pan trzy fajgle za wieczór — a w karnawale i więcej.

Tomek się roześmiał.

— Szkoda, że nut wcale nie znam.

— Jakto?

— Gram sobie z głowy — niechący!

— Nie może być!

— Wszystkie wiejskie muzykanty — takie same

geniusze. Niewielka sztuka.

Pozostał u brzuchacza. Miał wikt, mieszkanie i starczyło na papierosy. Zostawało nawet coś niecoś srebrniaków po kieszeniach.

W dzień chętnie sypiał, lub leżał w łóżku, bo go odrzuciło od włóczenia się po ulicy. Zresztą było zimno — a nie miał paltota — i błoto przesiąkało do butów.

Gdy tak leżał pewnego popołudnia, coś zaczęło do drzwi chrotać — i po długim wojowaniu z klamką do pokoju weszło dziecko.

Poznał jasne oczki i zadarty nosek małej Motylskiej.

— Dzień dobry, panu! — powitała go rezolutnie.

— Zamykaj drzwi, mała, bo śmierdzi na korytarzu. Ty tu czego?

— Mamusia kazała spytać, czy panu co nie trzeba.

— Owszem — powiedz mamusi, że mi bardzo potrzeba parę tysięcy rubli i karety.

— Dobrze, powiem! — zawróciła się do wyjścia.

— A gdzie mamusia?

— My tu razem przyśli. Mamusia robotę odniosła jednej pani na trzecie piętro. Ale to zapomniałam — mamusia kazała panu podziękować.

— Bardzo mi przyjemnie. A prosić o nic mamusia nie kazała?

— Nie. Pomyślała chwilę i dodała tryumfująco. — A tak — kazała prosić.

— O parę rubli?

— Nie — o bieliznę do prania, bo dziś piątek.

— Podziękuj mamusi — i powiedz, że jak będę miał te

parę tysięcy rubli, co mi potrzeba, to będę miał i bieliznę do prania. Więc najprzód niech mi tamto da. Rozumiesz?

Mała obejrzała się po pokoju i rzekła, wskazując skrzypce.

— U nas były też takie, ale żyd zabrał. I u nas była taka duża szafa — ale też żyd zabrał.

— A ciebie żyd nie chce zabrać?

— Mnie mamusia nie da żydowi. Wczoraj — to mamusia oddała żydowi swoje włosy — takie duże, duże — i taka śmieszna bez włosów.

Zaśmiała się skowrończym szczebiotem.

Tomek usiadł na łóżku.

— Jak się ty mała nazywasz?

— Janina Motylska, jak mamusia — a jak będzie braciszek — to się będzie nazywał Józef — jak tatuś.

— Jakto — będzie braciszek?

— A tak, braciszek będzie od Bozi na Gwiazdkę.

— Śliczny upominek! A jadłaś ty dzisiaj obiad?

— Dziś piątek, to była herbata — a jutro będą kartofle — jak ta pani mamusi zapłaci.

— Jeść ci się nie chce?

— Nie.

Wydobył z kieszeni dwa złote.

— Weź to, mała, i kup cukierków.

Dziecko wzięło monety i prędko wyszło.

Po chwili ukazała się we drzwiach sama Motylska.

— Dobry wieczór panu. Czy naprawdę kazał jej pan kupić cukierków?

— Ano — tak. Ale przecie nie dla mnie, tylko dla niej.

Kobieta odebrała dziecku pieniądze i położyła na stoliku.

— Dziękuję panu. Chciałam panu za tamto się odpłacić — a nie przysłałam jej zebrać. Może panu co połatać, pocerować, poszyć, uprać!

— Jak pani tak się gwałtem chce, to proszę moją garderobę przejrzeć — ale ja też wsparcia nie potrzebuję. Pani, widzę — udaje wielki dobrobyt.

— Mam robotę.

— I z wielkich dostatków włosy pani sprzedaje — a na Gwiazdkę — mała spodziewa się braciszka.

Kobieta zarumieniła się — w milczeniu sprzątała graty w pokoju, zbierała porozrzucone ubranie i bieliznę. Tomek począł gwizdać ze złości.

— Zawsze pani mieszka na Tamce?

— Nie. Teraz mieszkam na Nowym Świecie. Znalazłam taniej.

— Toci musi być komfort..

— Proszę pana, przedemną tam ludzie mieszkali i po mnie będą. Zdrowa jestem. Człowiek może dużo wytrzymać.

— No, no — przyjdę obejrzeć ten apartament. Wziąłem przecie po mężu pani sukcesyę u Puńkowskiego.

— Kotkę mamy i troje kociątek! — zaszczebiotała dziewczynka. Mamusia znalazła na podwórku.

— Cicho, Janiu, — chodźmy już. W poniedziałek odniosę panu te koszule, i wyceruję skarpetki.

Wyniosła się z zawiniątkiem, i po niewczasie sobie przypomniał, że nie spytał o numer domu.

Ale nazajutrz było sucho i niezbyt zimno — poszedł od

domu do domu jej szukać — i wreszcie jeden ze stróżów burkliwie mu objaśnił.

— Motylska, wdowa z dzieckiem. A mieszka toto — w tej budzie na podwórku.

Tomek długo stał przed tym budynkiem. Była to przybudówka z desek — przyczepiona do muru sąsiedniej kamienicy. Sprzątano do niej zapewne niegdyś graty bez wartości. Teraz miała okienko z czterech szybek — i żelazną rurę od piecyka, wyzierającą ze ściany — i była mieszkaniem ludzkim i warsztatem pracy, bo rozlegał się z niej turkot maszyny do szycia.

— I ludzie nazywają kobiety słabem stworzeniem — pomyślał Tomek, pukając do drzwi.

— Proszę! — ozwał się głos Motylskiej.

W »mieszkaniu« było tylko łóżko, maszyna do szycia i żelazny piecyk.

Siedząc na łóżku, Motylska szyła — a mała na temże łóżku spała, wśród całej kupki srokatych kociąt — i ich matki, która mruczając, lizała swe dzieci — i ucho dziewczynki.

Na desce, przybitej do ściany, stało trochę gratów gospodarskich — a nad łóżkiem wisiała zapaśna garderoba.

Na widok gościa Motylska ruchem wstydliwym nasunęła chustkę na swe obcięte włosy i uśmiechnęła się.

— Jakże nas pan znalazł!

Zamiast odpowiedzi — rozejrzał się po ścianach budy, oklejonych starymi gazetami, i rzekł:

— Musi tu być bardzo zacisznie w mrozy — no, i jest co czytać na długie wieczory. Ile też ten apartament kosztuje?

— Trzy ruble miesięcznie.

— Rozumie się, że się nie płaci rocznie, ani kwartalnie — boć tu zimą nikt tak długo nie wyżyje. I pani myśli tu chować dzieci!

— Proszę pana — a jeszcze przy moich i te pięcioro kociąt się wychowa. Więcej ludzi na świecie tak żyje — niż w pałacach.

Tomek teraz dopiero zastanowił się, poco tu przyszedł, i nie znalazł w głowie swej żadnej racji.

Zapalił papierosa i rzekł:

— Ma tu pani pięć rubli. Brzuchacza ruszyło sumienie i oddał. A jakby pani co było potrzeba — to mnie powiedziec, bo mam chleb i posadę dzięki waszej żałobie, a że, co zarobię, to nie składam do banku, ale tracę — niewielka łaska — jeśli pani co dam. Serwus!

I z tem wyszedł z budy — pogwizdując.

W bramie spotkał Remisza. Chłopak skoczył do niego, jak do zdobywcy.

— Co to za szczęście. Szukam pana tyle czasu. A pan może tu mieszka — i ja tu bywam codzień. Co za traf!

— A pocóż mnie pan szuka?

— Pan tak zginął — lękałem się jakiego nieszczęścia. I młody nasz pryncypał pana szuka. A w tym domu właśnie mieszka panna Irena.

Tomek ramionami ruszył.

— Anim przypuszczał, że jestem widocznie wam potrzebny. Nie mieszkam tu, ani wiem o żadnej panie Irenie.

— To moja narzeczona, a jej bratankom daje lekcye

Francuzka, co była u państwa, i ona strasznie desperuje, że pan zginął. Uraduję wszystkich, gdy im dam pana adres.

— Nie mam adresu.

— Jakto? Przecie pan ma posadę, mieszkanie?

— Posada moja jest stojąca, a mieszkam na rogu Smolnej i Polnej. Będę panu bardzo wdzięczny — jak pan zostawi tych wszystkich moich znajomych — w dalszym niepokoju o mym losie.

Remisz pozostał oszołomiony, i zanim się opamiętał — Tomka pochłonał tłum uliczny. Ale »wdowi syn« był zawzięty. Po konferencji ze stróżem odnalazł Motylską — i wieczorem adres Tomka znała już Deniska. Nazajutrz jeszcze spał, gdy przydreptała, i czatowała za drzwiami.

Gdy ją ujrzał, odrazu udał oburzenie — i po swojemu zagadnął.

— U któregoż to z moich sąsiadów, kawalerów, nocowała panna Deniska?

Ale pocziwa »zagajska tapeta«, jak ją nazywał, patrzała nań z istic macierzyńskim rozczuleniem i może nawet nie dosłyszała zapytania.

— Tak się lękałam, tak byłam niespokojna o monsieur Tomas. Sny miałam takie złe — bo mizerny jest — pewnie chorował.

— I miksturki nie mogła panna Deniska administrować. No, kiedy już mnie wyszperała — to proszę do pokoju. Cóż panna Deniska porabia?

— Mam demi-place u Skorupskich — mieszkanie i wikt za lekcyę czworgu dzieciom i dwie godziny na pensyi. Mnie dobrze, ale biedna pani i Terka. Bardzo im ciężko.

— A cóż im brakuje?

— Kat jest ten niby brat. Każe pani rano wstawać — wydawać ze spizami, robić herbatę — a Terka musi sobie sama reparować bieleźnę, cerować pończochy — w domu ścierać kurze... Pani tego nie przeżyje, a Terka pisze, że ucieknie. Będzie straszny skandal.

— A baby boją się roboty — gorzej, niż śmierci! Szkoda, że się nie urodziły Habsburgami.

— Trzeba ich ratować!

— Od czego? Od lenistwa i głupoty!

— Żeby pan napisał jedno słowo do Maleckiej. Dwór w Zagajach stoi pustką. Mogłyby tam wrócić.

— Tfu! — splunął. — Więc jakem chciał ich tu mieć — i utrzymywać — to matka wolała być na łasce brata — bo tam jest pałac — a teraz gotowa siedzieć na łasce Maleckiej!

— Nie — to ja tak obmyśliłam — dla Terki. Pan Strażyc niedaleko — a tam żywej duszy nie widuje — i doprawdy gotowa zrobić un coup de tête — przyjechać tu — wydać się za tego młynarza. Pani tego nie przeżyje!

— Et! Panna Deniska w braku własnych — fikcyjne romanse przeżywa w głowie. Strażyc się z Terką nie ożeni — ale jak ona wyjdzie za młynarza — to postara się z nią mieć romans.

— One są bardzo, bardzo nieszczęśliwe! — Deniska zaczęła naprawdę płakać.

Popatrzał na nią z oburzeniem:

— Panna Deniska przedewszystkiem nie ma, widzę, pojęcia, co jest nieszczęście.

— Pan Tomas — nie ma serca ani litości.

— Nie mam — i mieć nie pragnę. Terka złapie tego głupca młynarza, będzie się stroić i używać — matka przy niej osiadzie — i będą jeszcze lekceważyć młynarza — i wmówią mu, że robią mu łaskę! Szkoda łąz panny Deniski. Za rok będzie pani znowu niańczyć matkę i cerować Terki pończochy. Niech pani się uspokoi, to pani — szczęście wróci.

Gdy się jej pozbył, obiecawszy, że ją odwiedzi, bo usilnie go o to błagała — wyciągnął się napowrót na łóżku, co czynił zwykle, gdy był zmuszony myśleć. I tak, puszczając dym w brudny sufit, począł kłótnię i wymysły, urągania i złości sam ze sobą, jakby z wrogiem:

— Niby co myślisz! Dosyć ci tego zarobku z grania — no pewnie. Żarcie masz psie — ale masz — na katar kiszek z tego prędko zdechniesz, to głupstwo, bo możesz jeszcze prędszej złapać zapalenie płuc — i też zdechnąć. Ale robota w sam raz — nie wołowa, nie maszynowa. Żeby nie te paskudne, głupie baby. Ile ja ich mam: te dwie i pół w budzie oblepionej papierem, ta idyotka francuzica — te dwie tam gdzieś! No, ale właściwie — co one mnie mogą obchodzić. Niech to wszystko razem przepada — ja dla nich ani chcę — ani potrzebuję pracować. Jestem ojcobójca, zakała rodziny — czego mnie zaczepiają. A zresztą — co mogę robić — wołałbym przystać do bandytów, niż gryzmolić w biurze, a nie przystanę do bandytów, bo brzydzę się wszelkiej kanalii, bo śmierdzi i brudna — wszelkie zaś inne dla mnie przystępne roboty — jak lokajstwo, furmaństwo lub konduktorstwo tramwajowe

— to bryndza. Więc nie mogę babom pomódz — chyba że Malecka będzie tak głupia, iż mi da tysiąc rubli w przyszłym roku — i te będą też wolał stracić z dziewczkami — jak te, co miałem. Tu przestał myśleć i począł nucić:

Zegarki i łańcuszki, pierścionki, spinek dwie,
Zabrały mi dziewczuszki, co tak kochały mnie!

— Psiakrew — zaklął znowu — zimować w tej budzie, a ta francuzica — co tu lata za lekcjami — żeby tamtym posłać parę rubli »argent de poche«, a starej każą herbatę nalewać i ścierki rachować — kiedy w Zagajach do kłamki się nie dotknęła bez lokaja. Głupie to, głupie — ale już takie zostanie — niczego się nie nauczy — ani oduczy! Płacze i lamentuje — a w łeb sobie nie palnie — i tak będzie lata przepadać.

Tomek się zerwał, wyrzwał oknem na śnieg, sypiący się gęsto z ołowianego nieba, obejrzał swe buty, palto, splunął — ubrał się — przeliczył drobne w kieszeni — i poszedł na miasto.

Włóczył się, aż przemókł, zmarzł i zgłodniał — wtedy wstąpił do znanej cukierni, wypił kawy i poszedł na »górkę« do bilardu.

Partner, który mu się trafił, grał lichy i płacił z dezynwolturą wielkiego pana. Gdy Tomek wygrał trzy partie, dowiedział się, że nie był to żaden hrabia — ale zato szofer hrabiego. Wrócili właśnie z polowań w Rosyi — i mieli jechać na Riviere.

— Wyjeżdżamy, byliśmy, będziemy — mówił.

Tomek zafundował ponczu — i jął się rozpytywać o fach — jego obowiązki i dochody.

Gdy się rozstali, Tomek był zamyślony i zamiast do domu poszedł dalej na miasto.

Już się ze sobą nie kłócił — ani złościł, miał projekt i zawział się po swojemu. Od tego dnia zrobił się chciwy na wieczorne i nocne zarobki muzyczne, ale wstawał rano — i w dzień nie bywał w domu.

*
* *

W karnawale Skorupscy umyślili wydać tańczący wieczorek. Inicytorką była panna Irena, siostra Skorupskiego — i dwie jego córki, pensyonarki — uprawiające już od roku tak zwane »lekcye tańca«. Sama Skorupska lubiła się bawić, a Skorupski — urzędnik kolejowy — nigdy nic żonie i dzieciom nie umiał odmówić.

Wybrano sobotę i panna Irena rozkazała narzeczonemu, Remiszowi, żeby się postarał o eleganckich kawalerów.

— O — ja nawet namówię samego pana Augusta — pochwalił się Remisz — i z biura ze trzech porządnych młodych ludzi przyprowadzę.

— No — i koniecznie pana Gozdawę! — rzekła.

— Postaram się! — odparł z pewnem wahaniem.

— Co to: postaram się. Musi pan!

— Pan Gozdawa jak nie zechce — to co poradzę. To za

wielki pan, i taki fantastyk.

— Niech pan mu powie, że ja go bardzo proszę. Może zresztą zobaczą go sama, może odwiedzi Francuzkę. Chociaż bardzo dawno już nie był. W każdym razie — musi go pan uprosić, bo inaczej — będę się gniewać!

Remisz pod taką groźbą — tegoż dnia udał się na poszukiwanie. Ale nie znalazł już Tomka pod dawnym adresem. Od Nowego Roku się wyprowadził. Znalazł wreszcie Remisz nowe mieszkanie. Był to pokój z kuchnią — w oficynie na czwartym piętrze.

W kuchni zastał Motylską, szyjącą na maszynie i zaczął przeproszać, że się zapewne omylił. Ale kobieta oznajmiła, że Tomek zajmuje drugi pokój, ale że go niema — i że go najłatwiej znajdzie wieczorem w barze »Pod Jemiołą«, gdzie grywa.

Remisz podziękował, przeprosił, nie śmiał więcej pytać i wyniósł się.

Nie tracąc czasu, wieczorem udał się do baru i cały się rozpromienił, bo Tomek był — i ujrzawszy go, łaskawie głową kiwnął.

— A pan zawsze bawi się w grajka!

Remisz był przekonany, że to była fantazja, ot — taki koncept — wielkiego pana — oryginała.

— A tak — bawię się! — odparł Tomek.

Bardzo się zmienił przez te ostatnie czasy. Schudł, rysy mu się zaostrzyły — oczy wpadły, ale były łagodniejsze i wesołe.

Nie przestając grać, dodał:

— Ale z pana byłby detektyw. Zawsze, wszędzie mnie

wyszpera.

— To ta pani, co u pana mieszka dała mi adres.

— Właściwie ja jestem lokatorem tej pani, a w kamienicy podobno uchodzę za jej kochanka. Dlaczego pan się śmieje?

— Głupie ludzie. Takie zestawienie!

— Czy ona taka pokraczna, czy ja?

— Myślę, że panby mógł pomiędzy damami z wielkiego świata przebierać.

— Tymczasem trudno — bo tu takie nie bywają. Jak zostanę szoferem — to prędeej.

— Jakto — pan będzie udawał szofera?

— A tak — za miesiąc zdam egzamin — i będę szukał posady.

— A ja mam do pana taką wielką prośbę — zaczął Remisz nieśmiało.

— Może mam grać na weselu?

— Ej, nie. Musimy jeszcze poczekać! — westchnął. — Tylko proszę, żeby pan zechciał zaszczyścić swoją obecnością wieczorek tańczący u państwa Skorupskich — w przyszłą sobotę.

— Mam grać do tańca?

— Ale gdzież tam, co znowu. Panna Irena bardzo prosi — w gościnę. Niech pan nam zrobi ten honor — to szczęście! — jękał błagalnie.

Tomek spojrział na niego — zamyślił się — widocznie nie miał ochoty, ale oczy Remisza były takie niespokojne, trwożne o odmowę, że po sekundzie wahania przystał.

— Jeśli panu tak o mnie chodzi, to przyjdę.

Remisz rozpromieniał, zaczął dziękować, jak za największą łaskę — i uszczęśliwiony po chwili wyszedł, śpiesząc z dobrą wieścią do narzeczonej.

— Potrzebne mi to, jak zajmą dzwonek — zamruczał za nim Tomek.

Gdy wrócił do domu, Motylska jeszcze szyła. Zerwała się, zapaliła mu lampę, zakrzętnęła się przy kuchence.

— Herbaty nie chcę. Ma tu pani trzy ruble. Niech mi pani wynajmie na przyszłą sobotę frakowy garnitur. Mam kręcić jakieś panny na wieczorku. A u pani co? Dzieci śpią? Zajrzał do kołyski.

— Mój chrześniak się udał. Śpi, je i nic nie robi. Zupełnie w moim stylu.

— O Boże! Pan jeszcze mało robi! — szepnęła.

— Widocznie, kiedy to mówię. Jedliście dziś co ciepłego na obiad?

— Jedliśmy.

— Niech pani mnie nieobełguje tylko, bo z Janki prawdę wyciągnę. A teraz spać — i gasić lampę, bo nafty szkoda.

Po paru dniach o obietnicy swej Tomek zapomniał, i dopiero gdy w piątek wieczorem znalazł w swym pokoju śnieżnie białą koszulę i frakowy garnitur, począł kłąć, bo był przemęczony.

— Po ilu kelnerach, urwipołciach i wszelakiej innej hołocie mam brać na grzbiet tę lokajską liberyę! — mruknął niechętnie.

Ale w sobotę wieczorem — ubrał się i poszedł.

Remisz nań czatował w bramie i rozpromieniał.

— Panna Irena zabroniła mi bez pana na próg się

pokazać. Już tam pełno gości i tańczą. Byłem w rozpaczy, że pan nami pogardził.

— Nie pleć pan głupstw!

Czteropokojowe mieszkanie Skorupskich było wyprzątnięte z sypialnych sprzętów i zapełnione rozbawioną młodzieżą.

Remisz zapoznał Tomka z chudym panem i tłąstą panią Skorupską, potem z piękną panną Ireną i z sześciu jeszcze pannami i po chwili już kręcił pierwszą z brzegu w takt walca, wygrywanego na podłem pianinie przez jakąś ciotkę.

W saloniku było gorąco od lamp, i ciasno, że należało do sztuk akrobatycznych wymijanie tych par — bez potłuczenia lub rozdeptania — i Tomek, biorąc do tańca pannę Irenę, zauważył z uśmiechem:

— Nie gwarantuję od karambolu.

Dziewczyna błysnęła zębami.

— Pan tak po mistrzowsku tańczy, że się nie lękam.

— Smaczna dziewczyna — pomyślał — żeby się, szelma, nie perfumowała piżmem!

Po skończonym tańcu zdecydował, że ona jedna »była do ludzi podobna« — i pozostał u jej krzesła, racząc rozmawiać.

Potem znowu tańczyli — potem znaleźli się sami, trochę odosobnieni, w jadalni, gdzie zziajana mama Skorupska nie mogła nastarczyć napoju i jadła »kawalerom« — a gdy po kolacyi tańce znów się rozpoczęły, panna Irena i Tomek bardzo często tańczyli ze sobą.

Wieczorek skończył się nad ranem i Tomek wyszedł razem z Remiszem.

— Taki jestem panu wdzięczny — taki wdzięczny! — mówił Remisz. — Nieprawda — moja narzeczona była królową zabawy?

— Za cóż u licha jest mi pan wdzięczny! Zabawiłem się dzięki panie Irenie, bo resztę tych panien — to wsadzić do menażeryi.

— Napatrzyć się nie mogłem, jaka z was cudna para. Panna Irena dziękowała mi za takiego tancerza. Ona taka dla mnie dobra, taka dobra!

— Oho — musieliście się wycalaować w korytarzu!

— O, nie! Ona nie taka — i jabym nigdy się nie ośmielił.

Tomek ramionami ruszył i ziewnął, bo go »rozebrał« chłód i zmęczenie.

— Czy pan kiedy tam wstąpi? — spytał nieśmiało Remisz.

— No, jakże — muszę złożyć wizytę!

— Bo panna Irena wraca o trzeciej z biura.

— Postaram się ją zastać — bo tych Skorupskich — mogę darować.

— To zacni ludzie — ale rozumie się, że nie dorośli inteligencją — do niej.

— A ona gdzie pracuje?

— Jest buchalterką. Myśmy się poznali przy pracy.

— No, i pewnie pan jej pomaga.

— To dla mnie najwyższa radość, gdy jej mogę usłużyć, wyręczyć.

— O Gott, wie gross ist dein Thiergarten — zamruczał Tomek.

— Co pan mówi?

— Ano, że pan stworzony na idealnego męża.

— Mój Boże — dla najdroższej istoty — to głupstwo nawet życie dać.

— Życie jest wogóle takie głupie! — rzekł Tomek — i z tem się pożegnali na rogu ulicy.

Zanim Tomek doszedł do domu, coś mu się odmieniło w głowie, bo rozbierając się, zdecydował.

— Mogą te Skorupy długo na mnie czekać i ta piźmowa panna też. Nie pójdę tam więcej!

I rzeczywiście wizyty nie złożył.

Ale w jakiś czas potem, wracając wieczorem ze szkoły szoferów, spotkał Motylską.

— Wyszłam na pana spotkanie, bo się bałam, że pan do domu — nie wróci, a tam nowina — powitała go.

— Jaki wuj z Ameryki, z milionem dla pani.

— Przyszła Francuska, ta, co to czasem bywa, z wesołą wieścią, że pana matka i siostra przyjechały i bardzo pana wyglądają.

— I pani to nazywa wesołą wieścią i leci pani z tem na ten psi czas. A cóż mnie to u licha może obchodzić. Przyjechały — to niech sobie jadą i siedzą. Było Francuzicę miotłą wygonić z jej nowiną!

— Ona czeka na pana.

— Psia krew. Muszę kogo zarznąć — to mnie wsadzą na Pawiak — i tam mnie straż obroni od najścia familii. Żeby nie głód, tobym wcale do domu nie wstąpił — ano i przebrać się muszę.

Był bo w bluzie roboczej i usmolony.

Motylska skonfundowana pokornie i w milczeniu

słuchała łajania, a wreszcie pozostała o dziesięć kroków za nim — i tak doszli do domu.

Deniska czekała i na widok Tomka wydała z siebie okrzyk przerażenia.

— Mon Dien. Comme vous êtes fait monsieur Thomas!

— Panna Deniska nie zna się na tych strojach — i niech nie krzyczy, bo dziecko przestraszy. Co to — baby drapnęły od tego bogatego wujaszka?

— Pani przyjechała na poradę do lekarzy, a Terka też chora na anemię.

— Przyszłam do pana z dobrą wieścią. Pani chciałaby pana widzieć. Serce matki...

— No, no — daruję resztę tej patetycznej tyrady z Racine'a. Co im trzeba?

— Ależ nic! Ulokowały się niedrogo, wuj dał na tę wycieczkę — zabawią parę tygodni.

— Aha — do końca karnawału. Gdzie mieszkają?

— Państwo Skorupscy odnajęli pokój, bo ciotka, co z nimi mieszkała, wyjechała do Krakowa. Ja to wszystko ułożyłam.

— Aha — rozumiem. Remisz, Szur — i małżeństwo. Panna Deniska u żydów byłaby swatką z profesyi. Ale mnie w to nie mieszajcie. Może tam wstąpię — jak czas znajdę, ale wstyd mi za was wszystkie, i Szurowi prawdę odwałę!

— A pan wie, że pan Władzio ma syna?

— No, proszę! Co za szczęście, że ród Gozdawów nie zginie. Przepraszam — ale jeść mi się chce, więc jeśli panna Deniska pozwoli, siadam do obiadu.

— Kiedyż pan matkę odwiedzi? Ona bardzo tego

pragnie. Ze łzami mówi o panu!

— Przyjdę, przyjdę! Starczy jej łez na każdą potrzebę.

— Może jutro?

— No, dobrze — byle nie często!

— Ach, monsieur Thomas — ona się ucieszy. — A wie pan — jakem je zobaczyła, tom tak była szczęśliwa, tak szczęśliwa!

Ruszył ramionami, i byle się jej pozbyć, obiecał stanowczo, że przyjdzie.

I poszedł, ale rano i ostentacyjnie — w wyłożonej bluzie i zmiętoszonej czapce, jak szedł do swej szoferskiej praktyki.

Pani Feliksowa na ten widok dostała ataku łez rozczulenia, i naturalnie przyjęła go, jak w Ewangelii przyjęto marnotrawnego syna.

I jemu ścisnęło się serce, gdy ją ujrzał osiwiałą, złamaną, zbiedzoną — i może po raz pierwszy w życiu nie zjeżył się, gdy go objęła za głowę i przytuliła do serca. Terki nie było — wyszła z Deniską, więc Tomek, oczekując na nią — dał się matce wyzalić, wypłakać — i, o dziwo, nie bryzgał po swojemu, a nawet raczył spokojnie o sobie jej opowiedzieć.

— Za mały czas egzamin na szofera złożę — i jestem pewny bardzo dobrej posady. Mama się dziwi, żem ten fach obrał — ano — ja nie zniosę biurowej roboty — a nęci mnie to kierowanie samochodem, pożeranie przestrzeni, nawet to żonglowanie ze śmiercią. A przytem, jeśli mi się powiedzie — to zarobię i dla mamy.

— Moje dziecko, mnie nic nie potrzeba! — szepnęła. — Mnie na świecie trzyma tylko Terka. Gdy jej los

zabezpieczę — chciałabym pójść — do ojca!

— Niechże mama poczeka. Jeszcze do Zagajów mamę kiedy zawiozę z powrotem!

— Żebyś choć ty tam wrócił — już o mnie się nie turbuj — ale wtedy Władka poraduj. Jemu ciężko!

Nawet i na to Tomek nie bryznął, i zaczął rozpytywać o zdrowie i sprawy potoczne — i cierpliwie słuchał przenudnych opowieści o przypadłościach i kuracyach.

Wreszcie, nie doczekawszy się Terki, pożegnał, obiecując, że przyjdzie nazajutrz, bo pani Feliksowa rozstać się z nim nie chciała. No — i stało się, że zaczął bywać codzień, z rano — potem popołudniu — i że tak się składało — iż po drodze spotykał pannę Irenę, wracającą z biura, i że u Skorupskich okazał się Szur, i że pani Feliksowa dała się wciągnąć herbatkę do gospodarzy — i że pobyt i kuracya coraz się przeciągała.

Tomek jakby nie widział całej intrygi i pomimo trwogi Deniski — nie czynił Szurowi żadnych wstrętów. Żałoba nie pozwalała Terce brać udziału w tańcach, więc u Skorupskich urządzano wieczorami »gry towarzyskie« i stało się, że w takiej zabawie Tomek po długiej gonitwie z przeszkodami dopadł pannę Irenę w półciemnej jadalni — drapieżnie ją wpół objął, poderwał z ziemi i szamocząc się bezradnie zdławił w uścisku.

Twarz przy twarzy, pierś przy piersi — spojrzeli sobie w oczy, on z błyskiem żądzzy zwierzęcej — ona przez mgłę upojenia.

Warknął coś głucho i zmiażdżył jej piękne usta pocałunkiem — w jej gardle zamarł krzyk rozkoszy — i już

odskoczyli od siebie, bo rozbawione grono wpadło za nimi.

Trwało to sekundę — ale pożar krwi ich opanował, pozbawił przytomności, a gdy Tomek się z nią zegnał tego wieczora — wiedzieli, że muszą się zejść i należeć do siebie. A obok nich Szur szeptał coś Terce — a Remisz wniebowziętemi oczyma modlił się do narzeczonej, i pani Feliksowa z zachwytem patrzyła na syna, szepcząc w myśli:

— Jaki on piękny, jaki elegancki. Żywy obraz Felunia!

Nazajutrz panna Irena wstała bardzo rano — mówiąc, że chce być u spowiedzi.

W powietrzu wisiała ciężka mgła zimowego ranka, złożona w wilgoci i dymu — i na ulicach ledwie się rozpoczynał roboczy dzień.

U bramy czekał już Tomek, i poszli tą brudną mgłą otuleni w puste Aleje, bezpieczni, że nikt ich nie spotka.

*

*

*

— Bardzo się lękam pana urazić! — mówił Remisz nieśmiało, siedząc na brzegu krzesła w Tomka pokoju — ale jeśliby pan chciał posady szofera, to się trafia bardzo korzystna.

Tomek leżał na łóżku zapatrzony w sufit i niechętnym głosem odburknął:

— Wcale mi nie pilno do posady. Czy to u was, we młynie?

— Broń Boże. Jak pan wie, jestem rządcą domu — mój gospodarz, Teszner — przemysłowiec, właśnie się ożenił — i wybiera się z żoną w podróż, samochodem. Pan posiada języki — i wogóle — pan jest taki — jakby to rzec — arystokrata — że...

— Że mi w sam raz wozić fabrykantów.

— To milioner — zapłaciłby — coby pan zażądał — i podróż taka — to przecie rozkosz. Jak mi dziś o tem wspomniał — pomyślałem, że panu to może się spodoba.

Tomek chwilę milczał — nagle wstał, wzdrygnął się — i nie patrząc na Remisza — rzekł.

— Kiedy on chce jechać? Na długo?

— W niedzielę — na cztery miesiące.

— To dobrze — daj mi pan jego adres. Zgodzę się.

— Pan się wahał — ze względu na ślub panny Teresy?

— Mniejsza — już się nie waham! Jadę. A teraz, muszę iść grać — już ósma.

Wziął skrzypce i wyszli razem. Było to pod wiosnę, w poście, czuć było w powietrzu budzące się nowe życie.

— Dawno już pan nie był u państwa Skorupskich — rzekł Remisz.

— Będę, żeby się pożegnać.

Remisz powiedział mu adres Tesznera i rozstali się.

Tomek przeszedł parę ulic i wstąpił do niepozornej mleczarni. Tam nań czekała panna Irena. Usiadł naprzeciw niej i rzekł:

— W niedzielę jadę w świat daleki.

— Co się stało! — szepnęła przerażona.

— Dławi mnie to położenie. Nie mogę dalej łąć i

udawać.

— A ja?! — wybuchnęła.

— Ty może to potrafisz.

— Ja kocham. Nic nie wiem pozatem.

— Mnie się zdaje, że Remisz się domyśla!

— Cóż znowu! Nie. Przecie ja się dla niego nie zmieniłam. Przeciwnie. Jestem dla niego lepsza teraz. Mnie go żal!

— Ale mu nie powiesz prawdy?

— Jeśli chcesz — powiem.

— Nie — nie chcę. — Muszę wyjechać.

— Ale wrócisz?

— Po co?

Panna Irena ukryła twarz w dłonie, z głuchym jękiem. Tomek się zachnął.

— Jak zaczniesz chryję czynić — odejdę natychmiast. O co możesz mieć do mnie żal.

— Mój Boże — tyś mnie wcale nie kochał! — szepnęła.

— Nie wiem, co nazywasz miłością. Pożądaliśmy siebie — i posiedli. Dalej co? Przecież nie możesz chcieć, żebyśmy dlatego sprzęgli się na dożywotnie ciężkie roboty — to jest zawarli sakrament małżeński. Rozstaniemy się, jak ludzie po uczcie — jeśli się jeszcze w życiu spotkamy, powtórzmy biesiadę i zachowamy o sobie dobre wspomnienie wiosennego upojenia. Słuchaj — mam tę noc wolną — wezmę samochód kolegi — i pojedziemy za miasto. Chcesz?

— A jutro?

Wstał zniecierpliwiony — tedy chwyciła go za rękę.

— Nie gniewaj się! Cierpię! — szepnęła.

— Wstąpię do domu — czemś się wytłómaczę i wrócę tu za godzinę. Tylko się nie gniewaj.

— Dobrze. Będę tu czekać z samochodem.

Gdy wyszła, chwilę jeszcze pozostał ze złą zmarszczką na czole, wreszcie się ruszył.

— Psiakrew. Podlec jestem! — zamruczał.

Było ciemno w Alejach, gdy przemknęli samochodem — za miasto. Nikt ich nie mógł dostrzedz ani rozpoznać w szalonym pędzie maszyny. Wyminęli podmiejskie knajpy — nie zatrzymali się wśród osad ludzkich. W jakimś lesie przydrożnym spędzili parę godzin owego »pożegnania« — i jeszcze nie szarzał dzień, gdy Tomek odwiózł ją pod bramę kamienicy. Miasto jeszcze spało.

Odprowadził samochód do garażu — i ruszył do swego mieszkania. Miał jeszcze we krwi gorączkę rozkoszy i jakby odurzenie po upojeniu.

Motylską zastał już przy robocie.

— Był tu posłaniec z listem do pana! — rzekła. — Mówił, że odpowiedzi nie będzie. Położyłam na stole. Czy panu podać herbatę?

— Nie — prześpię się przedewszystkiem.

Wszedł do siebie i list mu zaraz wpadł w oczy. Poznał piękne, kancelaryjne pismo Remisza.

Pewnie z posady dym — pomyślał, rozrywając kopertę. I czytał zrazu obojętnie, potem bez tchu.

»Nie czynię panu wyrzutów, że pan kocha pannę Irenę — i jestem pewny, że będzie z panem szczęśliwsza, niż ze mną. Jesteście siebie godni, i usuwam się z jej drogi, żeby

przezemnie nie miała przykrości. Moja rodzina będzie pewnie miała do mnie żal, ale każdy człowiek może raz w życiu uczynić coś osobiście dla siebie, a ja dotąd im tylko służyłem. Polecam pannę Irenę pana opiece — spokojny — że wspomni mnie zato życzliwie. Łączę Was oboje w ostatniej myśli i pożegnaniu.

Antoni Remisz«.

Tomkowi poczęły zęby klekotać i cały się trząsał, gdy ogarnięty grozą i strachem — wypadł na schody i na ulicę. Popędził prosto do młyna — i zbudził Augusta Szura. Z przyszłym szwagrem był zdaleka i od wyjazdu Terki i matki prawie się nie widzieli, więc Szur odrazu się zerwał, przewidując jakąś złą wieść...

— Co się stało. Może panna Teresa chora!

— Gdzie Remisz?

— Toć ledwie siódma — pewnie u siebie.

— Był wczoraj?

— Nie — bo przecie wczoraj było święto.

— Chodźmy do niego!

— Po co?

Tu się Tomek zawahał — nie mógł powiedzieć prawdy.

— Wczoraj wieczorem wydał mi się jakiś dziwny.

— Remisz! — zdziwił się Szur, ubierając się prędko — i wyszli.

Spytali stróżki, czy Remisz był w domu, i na twierdzącą odpowiedź zapukali do drzwi. Nie było odpowiedzi. Tedy zawołali stróża i gdy gwałtowne dobijanie pozostało bez

skutku — stróż otworzył drzwi zapaśnym kluczem. W pierwszej chwili nie ujrzeli nic, taki w izbie panował kopeć od naftowej lampy — jeszcze się dopalała na stoliku — wszystkie sprzęty były pokryte sadzą i zaduch panował nieznośny.

— Kumedia — trza spać — i nie czuć! — rzekł stróż, wchodząc — a wtem się cofnął, dodając:

— Hale — co pan tam wyrabia.

Remisz stał przy ścianie — między szafą i drzwiami. Stał z rękami obwisłymi i dziwnie sztywną głową — twarzy prawie widać nie było w sadzy. A wtem Szur się obejrzał — na łoskot za sobą — to Tomek zwałił się zemdlony — jednocześnie stróż wrzasnął.

— O Jezusie! — rety! — toć on wisi! Trup!

Na schodach uczynił się popłoch — zaroilo się od kucharek, lokatorów — zawrzało krzykiem. Szur przytomny — poderwał Tomka, prawie na rękach sprowadził na dół — wsadził do dorożki i uwiózł — w chwili, gdy w bramę wkraczała policya. W mieszkaniu Szura Tomek wrócił do przytomności — i leżał blady, z kroplami potu na czole i bez mowy. Patrzył przed siebie pustymi oczami — i po chwili począł się trząść, jak w febrze. Szur go pytał — nie otrzymał słowa odpowiedzi — więc wreszcie wyszedł do biura i po wieści.

Tomek tak leżał do południa — wreszcie wstał, rozejrzył się, otarł twarz z potu — wziął z biurka rewolwer — schował do kieszeni, odnalazł swój kapelusz — i zeszedł na ulicę.

Usta miał spieczone i w oczach wyraz twardy i dziki — i

szedł przed siebie — jakby bez celu. Po godzinie takiej wędrówki zadzwonił do mieszkania Skorupskich.

Gdy otworzono poznał, że już wiedzą o wypadku.

Przyjęła go rozełkana Skorupska.

— Ach panie, co ten człowiek zrobił! Taka dla Irenki kompromitacja — taki skandal. Dziewczyna od zmysłów odchodzi — do biura boi się pokazać. To waryat — on mi zawsze wyglądał podejrzanie — tacy ułomni zawsze nienormalni. Świat jej zawiązał — tyle lat dla niego poświęciła — i ot co! Jeszcze, broń Boże, po sądach mogą włączyć — do gazet się dostać — przez takiego szaleńca!

— Czy mogę się widzieć z panną Ireną? — spytał.

— Ach — i owszem. Niech jej pan doda otuchy.

Panna Irena w pół leżała na otomanie, zaszlochana, spazmująca. Na jego widok wyciągnęła doń obie ręce ze łkaniem. Ale on stał sztywny — i rzekł obcym głosem.

— Wczoraj pytała pani, co będzie jutro. I przyszło to jutro. Zabiliśmy człowieka.

— Cóżem winna! O Boże! Cóżem winna!

— Gdy pani o to pyta — może pani wytrzyma. — Ja — nie. Zabiłem — winienem! Otrzymałem od Remisza ten list jako pożegnanie. Zostawiam go pani — nie szkalujcie jego pamięci.

Zerwała się — rzuciła ku niemu, ale gdy dopadła do przedpokoju, już się drzwi za nim zamknęły, a Skorupska przerażona odprowadziła ją słaniającą się do pokoju.

A Tomek znowu szedł jakby bez celu, aż wstąpił do jakiejś cukierni — kazał sobie podać papieru — i to napisał:

»Za godzinę palę sobie w łeb — i koniec! Jedno mnie trapi, że naciągnąłem panią — nie na gotówkę — bom krótko żył na pani koszt — ale na wiarę. Stało się — co się stać musiało — zrobiłem podłość — której ani poprawić, ani odrobić nie można. Ogłaszam tedy bankructwo — i wycofuję się z tego świństwa, zwanego życiem.

Nie dostanie pani owych tajemniczych skarbów stryja — ale gdybym i żył — nie uznałaby mnie owa Barabara Tryźnianka za człowieka — bo czuję sam na sobie piętno wstydu — i wykluczonym z konkursu.

Odchodząc, czuję się obowiązany do tego wytłómaczenia pani — zawodu — który czynię, i szczerego wyznania, że się nawet nie starałem wcale o jakąkolwiek cnotę.

Ale w tej chwili mam w myśli trzy istoty tu zostające — i polecam je Pani pamięci i opiece — a mianowicie: Niech pani sprzeda owe portrety przodków — których nie mogę ze sobą zabrać do piekła, gdzie jakoby dostają lokal bezpłatny samobójcy — i za ich cenę — dajcie wikt Kretowi — zapomogę wdowie Motylskiej — mieszkającej obecnie na Tamce 8, oraz jaki grosz dla jej syna, a mego chrześniaka, jeśli wytrzyma selekcję głodu i nędzy.

A Zuzi, gdyby mnie jeszcze pamiętała — dziękuję za skrzypce — i niech mnie dobrze wspomina. Zresztą nikomu do mnie nic, i bardzo mi rad, że się wszystko prędko skończy«.

Podpisał się Tomek — list zaadresował do Maleckiej — wrzucił w skrzynkę i prędko ruszył Alejami Jerozolimskimi ku Wiśle.

Było jeszcze za jasno — i ludzie się snuli — więc zaczął szukać ustronnego kąta — wreszcie za węglem jakiegoś parkanu stanął — obejrzał się, a widząc tylko pusty zaułek i ślepa ścianę — rewolwer wydobyl — surdut rozpiął — lufę do boku przytknął — i zmrużywszy oczy z zębami zaciętymi na spieczonej wardze palnął raz — chciał drugi raz — ale palec mu się ośliznął, ból wstrząsnął — i osunął się na ziemię. Jeszcze posłyszał jakiś łoskot przy parkanie — a potem ogarnęła go nicość.

*
* *

Rodzinę pozostałą po Antonim Remiszu stanowiło głów pięcioro: matka napół kaleka, bo ją reumatyzm prawie obezwładnił — siostra wdowa, siostrzyczka niedorośla i dwóch chłopaków — braci — przepychających się mozolnie przez gimnazyum. Jako fundusz, był folwarczek Żerań, ogołocony z lasu, zalany wodami po byle deszczu, złożony w części z łąk topielistych, w części z sapowatych pól bez żadnej kultury. Od dziesiątków lat trwał stan nędzy — i życie obracało się w błędnem kole: braku gotówki na niezbędne wkłady oraz braku dochodu z powodu braku obrotowego kapitału.

Stary Remisz zamęczył się, zagryzł i wreszcie zmarł po pożarze gumna, zamęczała się w dalszym ciągu wdowa, zamęczał się Antek — zabiedzone były umysłowo dzieci —

żyjące wśród bezustannej troski i niedostatku.

Jedna, Hanka, na krótki czas wyzwoliła się z domu, gdy wyszła za męża — za młodego doktora — do sąsiedniego miasteczka — ale nad rodziną tą fatum złe zawisło — po roku doktor zmarł — i wróciła Hanka do ciężkiej doli rodzinnego domu.

Zda się, z roku na rok warunki były coraz cięższe, lata mniej pomyślne. Grunta, wodą przesycone, zarastały i niechciały rodzić — inwentarz roboczy malał — budynki się rujnowały, przechodziły grady, zarazy na bydło, brak pieniędzy na robotnika trwał stale, opóźniając każdą robotę, a że folwarczek stykał się prawie z miasteczkiem — był oddany na pastwę szkód mieszczań i żydów — którzy czując słabość kobiet — kradli i wypasali bezkarnie na polach i łąkach.

Jeszcze stary Remisz założył cegielnię, która mogła stanowić jaki-taki dochód — ale po jego śmierci i ten interes ledwie wegetował — i strycharz rozwielmóżniony — kradł i oszukiwał na potęgę.

Antek zarabiał dobrze — ale tonęło to wszystko bez śladu i tylko starczyło, by utrzymać na skraju ruiny ten szmacik ziemi i zapewnić dach i czarny chleb tej gromadce nędzarzy.

Szare, ciężkie, beznadziejne było to życie.

Pracowały jednak bezustannie te trzy kobiety, obywały się bez wszystkiego, co stanowi jakąkolwiek rozrywkę — nawet wypoczynek; nie narzekały nawet, tak były do biedy wciągnięte — tylko miały i stara i dwie młode oczy zgaszone — i rysy ostre — jakby stężałe. Na wakacje

trochę życia przywozili chłopcy, ale i to krótko trwało, bo miewali zwykle » poprawki« — i »kuli« zamiast odpoczywać. Tyle że się trochę odjedli — po skąnym wikcie taniej stancyi miejskiej.

I oto na takie to głowy spadł grom tragicznej śmierci tego jedyne go karmiciela i opiekuna.

Wieść przysłała krótka, brutalna, urzędowa. Nie umieli chłopcy w rozpaczy zachować ostrożności — napisali: Antoni nie żyje.

Matka jechać nie mogła, przykuta do fotela — w domu nie było grosza. Sprzedali za bezcen krowę — i pojechała Hanka. Długi był ten tydzień jej nieobecności — dla matki — ale gdy wróciła i opowiedziała szczegóły nieszczęścia — ten tydzień niepewności wydał się jeszcze znośniejszym — niż rzeczywistość — niż fakt samobójstwa.

I nie było czasu i możności — nawet w rozpaczy, w żalu, w tej strasznej niedoli — skamienieć, skupić się — nie było czasu i możności pocierpieć.

Robota ńędza, robota troska, walka o byt — o życie i istnienie — jak brutalny regulamin katorgi — zmuszały je — dalej, dalej, dalej — myśleć, mówić, czynić — wbrew duszy — wbrew czuciu. Stara tylko osiwiiała zupełnie, Hanka jeszcze bardziej zczerniała, schudła — miała w oczach martwą grozę — w głosie jakby dygotanie — nawet mała Walerka przestała jeść i po nocach płakała zcicha, a w dzień snuła się osowiała, wylękła.

Na świecie tymczasem rozkwitał, jak na szyderstwo, maj, z całym swem pięknem i gorączką życia i pracy. A w folwarczku czekały pola na obsiew — i brakło nasienia — i

leżały szmaty roli niezoranej, bo brakło sprzężaju — i zalegały podatki — i nie było co spieniężyć — i już w oczy zaglądał — ciężki coroczny przednówek — pustką w spichrzu i śpiżami. Dawno już nie miały osobistej służby, koni wyjazdowych, dawno ograniczyły do minimum swe potrzeby i utrzymanie — przyszła kolej na sprzedanie ubogich resztek dawnych rodzinnych pamiątek — trochę sreber stołowych — jakieś kamuszki w kolczykach i pierścionkach — relikwie ślubne, wyprawne, zaręczynowe — takie rzeczy — co się po domowych ołtarzykach składa ze łzami lub w szczęściu.

Poszło wszystko za bezcen — byle opędzić najgwałtowniejsze wypłaty — byle nie ruszono ziemi i domu, byle trwać, byle tydzień, dzień mieć bez wyroku lub awantury — byle noc mieć bez widma ranka — i w tę noc módz o swym serdecznym bólu pomyśleć — i zapłakać. Nie mówiły ze sobą o tej dusznej niedoli — jakby z milczącego postanowienia, by noża w ranie nie obracać — unikały się mimowoli oczy, by się nie zdradzić — i w nocy nie słyszały swych łkań — tały się z bezsennością.

Ale w robocie czuć się dawał rozstrój i zupełny zanik myśli, planu, czasem nawet przytomności. Połowa pól została odłogiem — rosła bezsilność w obronie granic od drapieżnych sąsiadów — czeladź pracowała apatycznie — waliły się płoty — bujał chwast, deszcze padały do wnętrza budynków — w domu brakujące szyby zalepiano papierem — nie sprzątano nawet większości pokoiów — w sadzie wielmożniły się liszki — a gawrony oblepiały swemi gniazdami dzikie drzewa wysady.

Stosunków towarzyskich kobiety prawie wcale nie miały. Sąsiednie wielkie dwory ignorowały folwarczek — w miasteczku oprócz żydów i łyków napół zdziczałych — mieszkał tylko doktor i aptekarz — a ci się często zmieniali — proboszcz był odludek — nikt tedy nie odwiedzał Żerania — i kobiety nikomu się nie narzucały.

Dworek stał niedaleko gościńca — ale grobla do bramy trawą była zarosła, mosty popsute i stare wierzby nad rowami — powaliły się dziwacznie — ku rozgrzonym łąkom. Nikt tamtędy nie jeździł — tylko szlak wyboisty wiódł od miasteczka ku cegielni — rozłożonej, jak grzyb, wśród rozkopanych bezładnie glinianek.

Na świecie nastał czerwiec, na podziw pogodny i pomyślny dla gospodarzy. Wyroiły się kłosa i zakwitły żyta siwe — zaczerniały bujną zielenią kartofle, koniczyny dostały barwy — łąki falowały, jak woda. Bywały ciepłe dni — rośne ranki i wieczory — wonne noce — ziemia była, jak w godach, strojna.

Pewnego popołudnia do Żerańskiej cegielni przyszedł od miasteczka pieszo człowiek obcy — z ubrania miastowy robotnik — bo miał surdut na bluzie — kamasze na nogach — a na głowie czapkę siwą — samochodową.

Nie miał ani rękawiczek — ani krawatu i koszulę kolorową bez białego kołnierza.

Przyszedł, rozejrzał się po robotnikach — i wypatrzył strycharza, który komenderował wybieraniem cegły z pieca.

Ten i ów spojrzął na przybysza, ale że robota nagliła, nikt nie zaczepił i on też nikogo nie witał, i z rękami w kieszeniach i czapką na głowie — stał — jak ktoś, co ma

dużo czasu.

Był dobrze wyrośnięty — młody — na twarzy przystojny — z suchym profilem — i oczami dziwnie bystre. Siwe były — i patrzyły zuchwale z pod kanciastego czoła i mocnych brwi. Usta, szczęki były samowolne i silne. W całości chłop, którego w zwiadzie czy okazji niebezpiecznie by było mieć za przeciwnika.

Nareszcie strycharz go spostrzegł, zauważył, i z daleka zainteresował:

— A czego tam? Wędrowny?

Tamten nie raczył odpowiedzieć. Obszedł szopy, zapasy gliny, gotowe szychty cegieł — dom — i zabudowania strycharza, chałupę robotników — sęgi drzewa — piec — i znowu wrócił na środek podwórza.

Tedy strycharz zniecierpliwiony podszedł wprost do niego.

— Co się tu włączycie? Jaka sprawa?

— Roboty szukam.

— A skąd?

— Papiery mam w porządku — a robotę zobaczycie.

— Ja ta — ze świata ludzi nie biorę — burknął, odchodząc.

Robotnicy spojrzeli wyzywająco, niechętnie — rozległy się śmiechy i uwagi. Obcy wbił oczy w najbliższego — i wyzywał, zda się, do zaczepki. Zapanowało milczenie, karki się pochylły nad robotą.

Tedy obcy zwrócił się do strycharza.

— Odmawiacie moim rękom roboty. Jak tu wrócę, to będziecie mojej głowie słuchać.

I nie wyjmując rąk z kieszeni — przeskoczył rów — i poszedł na przełaj — wygonem ku stadu pasącego się bydła.

Pilnowały stada dwie istoty: pies rudy z obciętym ogonem — i stary pastuch. Pies się rzucił ku obcemu zajadłe, dopadł — i uciął łajanie. Jeszcze ze zjeżoną sierścią go obwąchał — potem poruszył przyjaźnie kikutem ogona i począł się o nogi obcierać.

Pastuch patrzył na to — i chwiał wielką łysą głową.

— Cie — witerunek jakiś macie — że was Kaktus nie ruszył. Na tu, psia mać, odmieńcze! —

— Czyje to bydło? Wasze?

— Pasałbym — żebym tyle ogonów miał! Dworowe jest — z Żerania. A wy kto?

— Roboty szukam. Byłem w cegielni.

— Za białe macie ręce. Miastowy pewno?

— Różniem bywał. Teraz ze dworu idę.

— Roboty w tę letnią porę nie brakuje.

— We dworze, u was znajdę?

— Oneby rękóm rade — ale wedle pensyi to ciężko. Latoś do cna zbiedniały przez to że syna, co im poratowanie dawał, straciły.

— Przecie i wy za »Bóg zapłać« nie robicie.

— Ja już tu jestem roków trzydzieści. Taj starej graniatej babkę już starą pamiętam.

Wskazał batem krowę widocznie bardzo wiekową.

— Na ordynaryi jesteście?

— Zaśby. Wnuki już mam żeniate po świecie. Sam se żyję — na kuchni jadam.

— Czeladzi sporo we dworze?

— Bywało sporo. Tera przy kuniach ino dwóch chłopaków i dziewczka. Dawniej ogrodnik był i karbowy i parobków pięciu i stajenny osobny i kucharka starsza. Tak się to rozpełzło. Pasalem krów trzydzieści — chowało się cieląt ośmioro — tera ino te czternaście ostało — i dwie jałówki wyprosiłem na chów.

— Państwo dobre?

— Dziedziczka starsza robotna była i przychylna — ano teraz »romatys« jej nogi odjął. Młodsza za dwie nie zdoli — a reszta dzieci!

Obcy spojrział po polach — wskazał w oddali pasące się bydło:

— A tamto wasze?

— Gdzie zaś. Miasteczkowe uporem pasą.

— Nie bronicie?

— Ktoby bronił. Z pałkami pilnują. Trocha się tam straszy — ale siły niema.

Podreptał zawrócić graniatą od łąki — a obcy ruszył przez pola i łąki — rzucił szerokie koło — obszedł granice, i gdy o zachodzie pastuch spędzał krowy do folwarczku, znalazł go przy drodze — siedzącego pod ścianą żyta. Głowę miał zwieszoną — jakby drzemał.

Zerwał się i rzekł do starego:

— Spytajcie swej dziedziczki — czyby nie potrzeba dozorczy. Za małą cenę się ugodzę — miesięcznie — na próbę. Poczekam tu — u bramy.

Minęły go krowy, potem spojrzeli nań ciekawie parobcy, wracający z pługami — aż wreszcie ukazał się pastuch z

odpowiedzią.

— Dziedziczka powiada, żebyście wstąpili do kuchni — że sie z wami rozmówi.

Było pusto w kuchni — ludzie wszyscy byli u wieczornego »obrządku« — Hanka sama pilnowała gotującej się wieczerzy.

Wszedł — spojrzła nań badawczo, ukłonił się bez słowa.

— Służby szukacie? — spytała.

— Tak — to mój paszport.

Gdy czytała — patrzył na nią jakby ze strachem, z niepokojem — śledził na twarzy wrazenie.

Ale kobieta oddała mu papier obojętnie.

— Nie macie żadnego świadectwa?

— Mam — od pani Maleckiej — rzekł z większą pewnością.

— Od pani Anny Maleckiej? Gdzie teraz mieszka? Co porabia?

— Majątek ma pod Warszawą.

Hanka wzięła wielki arkusz, zapisany dość niewprawnem pismem — i poszła z tem do matki.

— Ten człowiek ma świadectwo od pani Maleckiej, mammo.

— To go przyjmij. Malecka fałszu nie napisze. To on ją zna! Rozpytaj, jak się miewa. Ugość go i zatrzymaj. Ona się zna na ludziach. Przeczytaj.

I Hanka przeczytała:

»Zaświadczam, że wszelką służbę, której się podejmie okaziciel niniejszego, Tomasz Gozdawa, spełni sumiennie,

gdyż jest człowiekiem zdolnym i honorowym».

— Pytałaś go o warunki? Może za drogi dla nas będzie? Jak wygląda? — zaniepokoiła się Remiszowa.

— Poproszę go tutaj. Mama się rozmówi.

Ubrany skromnie, ale ma pozór nie chłopski.

W pokoju było już mroczno, więc Hanka zapaliła lampę i wprowadziła kandydata.

Staruszka obejrzała go i zaczęła niepewnym głosem:

— Proszę pana, ja się boję, że tu u nas za skromne dla pana warunki — może za małe pole do roboty.

— Przedewszystkiem — nie godzę się »panować« — odparł. Widziałem grabież sąsiedzka na pani ziemi — i tę ukróć — widziałem złą robotę w roli — dopilnuję parobków. Narazie nie obiecuję sam ciężko pracować — bo chorowałem niedawno — i jeszcze dość sił nie czuję. Na początek mogę zostać — na warunkach fornala — tytułem próby — na miesiąc.

— Chętnie, owszem. Na takie świadectwo pani Maleckiej! Czy pan u niej dawno był?

— Niedawno. Zdrowa jest, gospodarzy.

Walerka zaczęła nakrywać stół do wieczerzy.

— Zostanie pan już u nas! — rzekła staruszka.

— Pójdę do miasteczka po rzeczy. Ale do roboty jutro rano stanę. Wyznaczy mi pani jaki kąt na mieszkanie — a wikt będę miał w kuchni.

— Jest pokoik pusty — postaramy się, by panu było wygodnie.

Skłonił się i wyszedł. Gdy już był za bramą, stanął, odetchnął głęboko — otarł pot z czoła, obejrzał się na

dworek i cicho rzekł:

— Teraz — pókim żyw — przez te wrota — do was sieroty — troski nie puszczę. Teraz ja wam stróż, sługa i opiekun!

A w kuchni czeladź zebrana przy wieczerzy szeptała między sobą:

— »Rzuńcę« dziedziczki ugodziły! — mruknął starszy parobek. Patrzy, jak wilk, na nas.

— Z tego błota i on złota nie nakopie. A będzie za bystry — to niech sam robi! — warknął drugi.

Tylko stary Kacper pastuch trzęsąc głową dodał:

— A dziw największy — że go Kaktus nasamprzód ugodził. Psisko się ukorzyło — jak przed panem. Widzi mi się, że mieszczan ściśnie. Poczują.

Jeszcze się na brzask nie miało, gdy nowy dozorca stawił się w Żeraniu. Mały, ręczny kuferek postawił pod drzwiami kuchni i obudził parobków. Zajrzał potem w każdy kąt, dopilnował czyszczenia i karmienia koni, nagonił dziewczkę do doju, obejrzał każdą sztukę inwentarza. Do śniadania zasiadł na ławce pod domem — i gdy słońce weszło — poszedł za pługami w pole.

O godzinie dziesiątej mała Walerka przybiegła z ogrodu do siostry z wieścią, że na granicy słychać jakiś zgiełk — i widać gromadę ludzi.

Kacper, przypędziwszy krowy do popołudniowego odoju, miał minę rozpromienioną i wnet rozpoczął opowieść:

— Dostali mieszczanie. Skończyła się wygoda. Wleźli swoim zwyczajem — aż w koniczynę, a tu

»rzuńca« zaszedł ich od miasteczka i zajął bydło — i sam pędzi do folwarku. Rzucili się do bitki, pięciu było — to jak przyskoczyli, on pierwszemu pałkę odebrał i najbliższego przez plecy jak złoił — to aż przysiadł. A tu z za krzaka strażniki wyłęzli i na nich — bo widzieli, jak to było. Zaraz tam ich wzięli do protokołu, a bydło do gminy. Powiadają, że do kryminału pójda, a stratę rzuńca podał na sto rubli — co osobno sprawa będzie. Pono on naprzód sobie tych strażników zamówił. Oj to to to! poskrobią się mieszczany w kudły.

Przyjechali parobcy na obiad — i za nimi Tomek. Gdy zażądał od Hanki wydania obroku, przyniosła mu pęk kluczy i poszła za nim do spichrza. Była zawstydzona i rzekła zcicha:

— Ale owsa starczy ledwie na tydzień.

Spojrzał na małą kupkę ziarna i rzekł:

— To już nie pani kłopot, a mój.

— Kiedy bo — i kupić nie ma za co? — szepnęła.

— Znajdzie się rada. Niech pani się nie turbuje. Tylko, jeśliby mieszczanie przyszli w sprawie pastwiska, niech ja to załatwię.

— To bardzo niebezpieczni ludzie. Tam jest Wacalek, straszny zbój — na ich czele — i ich jest kilkudziesięciu.

— Im więcej, tem lepiej. Lżej im będzie kanały kopać. To pastwisko jest im koniecznie potrzebne — a Żerań ginie wskutek zatopienia. Na jesieni główny kanał musi być zrobiony. Poproszę też pani — o podanie mi warunków — na których jest zgodzony strycharz — bo zdaje mi się, że cegielnia jest dla niego — nie dla pań.

— On kupuje opał i opłaca robotnika, więc nam mało co się zostaje.

— Czy umowa długoletnia?

— Właściwie niema umowy. Dał kaucyę...

Umilkła.

— Ile? — spytał.

— Trzysta rubli. Dwa lata temu.

— I grozi paniom zwrotem tej kaucyi. To ja też się z nim rozmówię — i jeśli zażąda, znajdę dla niego te trzysta rubli.

— Ale ten Marczewski, strycharz — to także zuchwały i zły człowiek. Mówią, że gotów spalić cegielnię przez zemstę.

— Już jak mówią, to dowód, że w ten sposób panie teroryzują — i wyzyskują. Cegielnię i dwór trzeba dobrze ubezpieczyć, a strachy niech na nich przejdą. Jeśli Marczewski przyjdzie do pań ze skargą na moją kontrolę — to panie moje postępowanie usankcyonują swą wolą — i zostawią mi swobodę działania.

— Cegielnia musi dać dobry, stały dochód — a na przyszły rok my damy swój opał.

— Kiedy las wyrąbany.

— Gorzej — bo spustoszony. Trzeba go zamknąć, nie paść w zaroślach, halizny zasiać jesienią.

— Do cegielni znajdziemy torf.

Hanka słuchała — przerażona, oszołomiona. Zbiedzone oczy utkwiała w zuchwałej twarzy mówiącego — i już nie protestowała.

Aż do domu przybiegła Walerka.

— Mama prosi pana na obiad i pyta, czy panu będzie

dobrze w pokoiku.

Zwrócił się do Hanki.

— Jeśli to paniom nie robi różnicy — chciałbym jadać u siebie. Codzień wieczorem przyjdę z raportem i po dyspozycy.

— Co my panu możemy dysponować — odparła żałośnie. Może pan swe mieszkanie obejrzy?

Znalazł pokój schludnie umeblowany i wnet Walerka przyniosła mu obiad.

Dziewczyna patrzyła mu w oczy z podziwem i ogromnym respektem, nie śmiejąc się odezwać.

W kuchni sąsiadującej, czeladź rozmawiała szeptem, bez zwykłych pretensyi o strawę, i zabrała się bez ociągania do roboty.

Tomek poszedł z nimi — a potem dalej, na samą granicę folwarczku — na wzgórze, po lesie, z którego zostały rozczochrane zarośla i kilkanaście starych, rosochatych dębów.

Stamtąd było widać, jak na dłoni, cały Żerań — nizinę — zabagnioną przez wody, nie mające odpływu. Łąki porastały łązy i sitowie, pola w części były zapuszczone — dworek stanowił nieco wyższą wysepkę.

Nawet oczy niefachowe widziały wyraźnie linię naturalnego kanału, który biegłby przez te moczary naturalnym spadem do zabagnionej strugi — i dalej do wysokości grobli, kędy się wił gościniec w głąb kraju.

Widać tam było ciemną linię pięknych lasów, które jak sierpem obejmowały horyzont i graniczyły z zaroślami żerańskimi.

Za gościńcem leżały szeroko łany pięknie uprawne, snąc dworskie, bo jednolite. Teraz na nich było jedno morze płowiejącego żyta.

Zapatrzył się Tomek — cały zajęty projektem osuszenia — a wokoło niego zarośla kipiały ptasiami pieśniami i cała ziemia dyszała słońcem i rozkwitem.

Z lasu wyszedł człowiek w ubraniu dworskiego strzelca, z flintą na ramieniu, zdziwił się na widok obcego i podszedł. Spojrzeli na siebie — strzelec uchylił czapki z galonem, Tomek podniósł rękę do swojej.

— Pan podróżny? — spytał gajowy.

— Albo co? Wy z policyi?

— Nie. Tak sobie pytam. Ja mam tu rewir, graniczny z Żeraniem.

— A czyje to lasy?

— Hrabiego Ossoryi — ze Stradynia.

— To się będziemy często spotykać — bo ja służę w Żeraniu.

— Taak — przeciągnął gajowy lekceważąco. — To wy od niedawna chyba.

Przestał mówić »pan«.

— Od niedawna, bo jeszcze nie miał czasu oszacować szkody w tym zagajniku, alem rano tu już widział jakieś krowy i jutro sołtysa sprowadzę.

— I i i — szkoda waszej fatygi. Po somszedzku żyjemy oddawna. Ja też nie bronię — jak z Żerania po grzyby i jagody do nas chodzą. A i wy, jak do mnie wstąpicie, to się poczęstunek znajdzie.

— Więc to wasze krowy tu się pasą?

— A może i czasem przejdą granicę. Szkody tu nijakiej nie zrobią.

— Tak wam się zdaje — a mnie inaczej. Zagajnik się zamknie od jutra — więc po »somsiedzku« wam radzę — żeby krowy granicy nie przechodziły — bo za pasanie w zapustach wysoka taksa.

— Ho, ho — tak sobie poczynacie ostro — byście prędko nie ustali. Obejdzie się łatwiej hrabstwo — bez Żerania, jak Żerań bez nas.

I odszedł bez pożegnania.

A Tomek ujrzawszy zdaleka Walerkę, biegnącą od dworu do orzących fornali, zrozumiał, że go szuka, więc ruszył ku niej.

Dopadła go zdyszana dziewczynka.

— Proszę pana, przyszedł Wacalek i drugi mieszczanin i tak krzyczą w kuchni, tak się odgrażają Hance!

Przyspieszył kroku. Już zdala słychać było grube, zuchwałe głosy — aż za bramą. W kuchni dwóch drabów — w czapkach na głowie i z prętami w ręku — rozpierało się z całą bezczelnością brutalnej siły.

— A niechta sobie pani z nas drwin nie stroi. My się ta sądu nie bojamy. My ta też świadków mamy, że jakiś tam włóczykij nasze bydło na miastowem zastąpił i Kuleńca pobił — co i doktor poświadczy. My też ze sprawą wystąpimy.

Hanka stała przed drzwiami do jadalni, zasłaniając je sobą, by nie wtargnęli do matki.

Nagle za plecami mieszczan rozległ się głos ostry:

— Ciszej — i czapki ze łbów — bo tu nie żydowska

szoła ani szynk!

Obejrzeni się, stropili na sekundę, ale widocznie wypili na rezon, bo Wacek warknął:

— My do dziedziczki — nie do ciebie.

W tej chwili — jednym zamachem pręta Tomek strącił czapki na ziemię.

— Ty — psia mać — jak śmiesz! — krzyknął mieszczanin — porywając się z pięściami.

Hanka przerażona chwyciła polano drew — rozumiejąc — że od śmierci trzeba bronić.

Ale Tomek z błyskawiczną szybkością chwycił draba za kark — przegiął, wykręcił i z całym rozmachem cisnął za drzwi, na podwórze. Potem zwrócił się do drugiego.

Ale ten nie czekał podobnego losu, pozbierał czapki i sam milczkiem się wyniósł. Tomek wyszedł za nimi.

Wacalek upadł plackiem na bruk, dźwignął się oszołomiony.

A Tomek oparty o słup ganku rzekł twardo:

— To sobie zapamiętajcie na naukę. A jakbyście raz jeszcze naszli cudzy dom i robili awantury po pijanemu — to oprzecie się dalej — w kryminale. Marsz — za bramę.

Draby wynieśli się bez słowa.

Wtedy posłyszał za sobą szept Hanki:

— Panie — oni nas spalą i pana zabiją.

Obejrzał się na nią, oczy mu się jarzyły.

— Oni mi w zębach przyniosą kontrakt na pastwisko — i zapłacą, ile zechcę — bo potrzebują. Teraz wezmę się do Marczewskiego.

Jakoż wieczorem zjawił się w kuchni Marczewski, ale

ten nie stawiał się hardo, tylko poprosił o posłuchanie u samej dziedziczki i spytał, czy to prawda, że odtąd będzie służył u tego nowego rządu.

— Nie, mój Marczewski — tłumaczyła się pokornie Remiszowa. — Tylko pan Gozdawa będzie z wami załatwiał rachunki, bo ja bez nóg, a córka nie może dać rady.

— Bo w takim razie, to ja za służbę dziękuję i jutro mogę zdać cegielnię. Pracowałem ile sił i grosza cudzego nie mam na sumieniu i mój hambit nie pozwala, bym podlegał jakiemuś włóczędze. On za rok — z torbami panie puści, a sam się w majątku rozeprze. Mieszczanie poprzysięgli, że nikt od nich do roboty nie pójdzie, a żniwa zapasem. Pani dziedziczka — wilka sobie ugodziła. Ja na to patrzeć nie mogę, przez życzliwość i pamięć na nieboszczyka pana Antosia.

Rozpłakała się Remiszowa i Marczewski hałaśliwie nos otarł i dodał:

— A ja właśnie utargowałem pięćdziesiąt rubli i przyniosłem, że to na przednówku się zdadzą, i co jaki grosz uciulam, to będę szczenił. Nawet i pieca w tym roku nie będę przemurowywać — może do wiosny wytayma — i na drwach odtargowałem rubla na sągu. Jak o własne dbam — ale żeby pod władzę tego urwipołcia miał iść — to niech mi pani dziedziczka takiego despektu nie czyni.

— To już dobrze, dobrze, mój Marczewski. Powiem panu Gozdawie, że ze mną będziecie konferować. Toście mnie pocieszyli — tym piecem i drwami! Niech wam Bóg szczęści.

— Moja kobieta i dziewczęta będą do żniwa pilnie przychodzić — jako zawsze. Tylko jeśli ten rządca będzie tak z sąsiadami się obchodzić — jak zaczął — to może być nieszczęście. Ryczałek strasznie się odgraża, a on taki człowiek, co się nie lęka ni Boga, ni dyabła.

W ten sposób długo jeszcze zabawiał chorą. Gdy wreszcie odszedł — zawołała Hanke i poczęły trwożnie szeptać. Chciały rozmówić się z Gozdawą, ale się lękały, i bezradne postanowiły zdać się na los, przygotowane na najgorsze.

A Tomek po wieczerzy — poszedł znowu w pole, bo go dławilo w izdebce, i nie mógł się przemódz — by zasnąć pod dachem Remisza.

Noc była cicha, wonna, bez księżyca, ale jasna na zachodzie i wschodzie — najkrótsza noc letnia.

W dzień wypatrzył na łąkach miejsce do kąpieli i ochłodzony po dziennym skwarze wyciągnął się na skraju rowu.

W dworku ucichło życie i zgasły światła. Derkacze odzywały się w trawach — gdzieś daleko konie parskaly na paszy — pies zaszczekał w miasteczku — żaby rechotały w błotach. Tomka ogarnęło zmęczenie pracowitego dnia, wpośsenność — odrętwienie, poprzedzające nieświadomość.

Wtem zdało mu się, że usłyszał pluśnięcie wody — opodał, gdzie przez grzązki rów szła ścieżka, okrążająca dworskie budynki.

Była tam pierwotna kładka — pod wierzbą.

Uniósł głowę — nagle rozbudzony — czujny —

przecuciem i nie podnosząc się, patrzył, słuchał. Chwilę — wszelki szelest ustał — aż znowu zaszemrały gałęzie wierzby i na ścieżce ukazał się szary kształt ludzki. Stał — jakby czatował, śledził, oczekiwał.

— Podpalacz! — odczuł Tomek przeświadczenie i żądę obrony.

Machinalnie poszukał broni w kieszeni, ale namacał tylko wielki klucz od spichrza, ścisnął go w garści i nie tracąc z oczu człowieka, baczny na każdy jego ruch, jął się czołgać w trawach i dotarłszy do krzewów przy płocie, dopiero się wyprostował.

Złoczyńca już był poza stodołą, gdzie leżała zesłoroczna słoma, resztki sterty. Tam przypadł do ziemi i znieruchomiał. Kaktus musiał coś posłyszeć, bo szczeknął razy parę i umilkł.

Nagle błysnęła przy ziemi zapałka i w tejże chwili Tomek przyskoczył, rzucił się na skuloną postać i raz po raz uderzył z całym rozmachem żelaznym kluczem. Czuł swąd nafty i dławiąc do ziemi szamocącą się postać, śledził płomienie. Ale w porę przybył — ogień nie buchnął. Napastnik oprzytomniał — zrywał się — począł się bronić, kopać nogami — wreszcie utworzyli kłęb i zmagali się w głuchem, złowieszczem milczeniu.

Zęby wroga poczuł Tomek na ramieniu, otrzymał cios w bok i w trwodze, że może uleść — zadał cios jeszcze jeden w głowę — i wtedy tamten osłabł — stracił przytomność.

Wszystko trwało ledwie parę minut i odbyło się tak cicho, że nawet Kaktus się nie przebudził. Tomek dopiero teraz się przeraził, że może zabił, i zimny pot wystąpił mu

na czoło. Zapalił zapałkę — spojrzął. Tak — był to Wacalek — ale tylko oszołomiony uderzeniem, bo już zaczynał się poruszać, próbował powstać. Tomek żywo odpiął mu rzemień pasa i mocno związał ręce — potem przyniósł w czapce wody z rowu i chlusnął mu na głowę — a następnie pozbierał z ziemi: butelkę nafty, posiarkowany sznurek, pudełko zapałek, kapciuch z tytoniem i czapkę. Wszystko to zaniósł za stodołę i ukrył.

Potem wrócił i usiadł obok leżącego.

— Nie udało się, panie Wacalek — rzekł szeptem — ostrzegałem przed kryminałem — nie posłuchałeś mnie — szkoda.

— Puść mnie pan — jęknął drab. — Ja panu się wykupię! Ile pan chce — tysiąc, dwa — nie gubcie mnie.

— Mnie też tylko o okup chodzi i jeśli się zgodzimy — ani was do kryminału wsadzę — ani żywa dusza o tej dzisiejszej nocy wiedzieć nie będzie.

— Ile pan chce. Mówcie prędzej i puście mnie — za mały czas świtać zacznie.

— Jak świtać zacznie, pójdziemy razem do miasteczka.

— Po co?

— Do gminy, spisać urzędową umowę wykupu.

— Jakto?

— Napiszemy umowę, że wy bierzecie od Żerania w dzierżawę — ową łąkę, graniczącą z miasteczkiem — po cenie piętnastu rubli od morgi rocznie — z wypłatą na św. Jan — i na lat trzy. Z tą umową przywieziemy pisarza tutaj, by pani Remiszowa podpisała, a jutro geometra łąkę zmierzy — i wtedy pieniądze wypłacicie.

— No — i co więcej?

— A nic więcej.

— A wasz wykup?

— Wacalek, wykup mi dacie — jeśli szczerze staniecie po stronie tych kobiet. Tedy będziecie odemnie bezpieczni. Jeśli zachowacie mściwość i złość, będziecie mi dłużni. I to sobie zapamiętajcie: ja się niczego i nikogo nie lękam — i od Żerania wara!

— A pan kto taki? Zaco im pan służy?

— Ja — Gozdawa się nazywam. Służę — bo mi się tak podoba. No — świta — chodźmy.

Rozwiązał rzemień. Wacalek się zerwał — i zaraz zaczął wkoło siebie szukać.

— Co wam zginęło?

— Czapka — i — i — kapciuch.

— Czapkę wam pewnie wiatr zerwał — a kapciucha możecie z domu nie wzięli. Chodźcie — dam wam papierosa — wypalicie w drodze — a trza się spieszyć — bo mi do roboty pilno wrócić.

Drab stał chwilę przerażony, wahający — przeszła mu po grubych rysach zgroza pojmanego w żelazo wilka, potem spojrzął na Tomka, starli się oczami i zbój swoje spuścił.

— Trza na pańskiej łasce być! — zamruczał.

— Trza ze mną w zgodzie być tylko!

I poszedł naprzód — poczęstowawszy go papierosem. Na wschodzie wstawał dzień.

*
* *

Pewnego dnia zjawili się chłopcy z Warszawy i przynieśli ze sobą nową dla kobiet troskę. Starszy Staś przepadł ostatecznie przy egzaminach z czwartej klasy — młodszy, Michaś — wcale do egzaminu z trzeciej nie został dopuszczony. Za stancję zostali dłużni — na drogę pożyczyci od kolegów — byli wymizerowani, osowiali, apatyczni.

Kobiety spłakały się bezradne, bo była to klęska ostateczna, ruina sześćioletnich starań i ofiar nad możność. Wszystko na marne. Winowajcy biernie znosili swój los; Michaś pochlipywał, a Stasiak powtarzał żałośnie:

— Ja nie winien, mamó. Uczyłem się dzień i noc, ale nie mogę — zdaje mi się, że umiem, ale jak mnie wyrwą — złęknę się i w głowie huczy, huczy.

Zmogły się kobiety w swej żalości — nakarmiono chłopców — i legli spać.

Hanka położyła matkę i wymknęła się do sadu. Pod ścianą Tomek siedział i jakby na nią czekał.

— Pani pewnie frasuje się o chłopców — rzekł — a mnie się zdaje, że ten wasz frasunek na dobre się obróci. Wiadomo już napewno, że trzeba dla nich co innego szukać.

— Ale gdzie, jaką szkołę dla nich wynaleźć?

— Robotę i fach im trzeba dać. Przygotować i wykształcić do pracy tu w Żeraniu. Niech odpoczną — odżyją — a wtedy wspólnie z nimi obmyśleć, do czego

najwięcej chęci czują. Gliny tu przepyszne — niechby jeden do fabryk w tym zakresie wstąpił na naukę. Wielkie dobra Ossoryów są o miedzę z dystylarnią, mleczarstwem, leśnictwem — drugi by tam znalazł praktykę i naukę. Więc niechże panie nie desperują: — żeby nawet skończyli gimnazyum — dalekoby jeszcze im było do karyery — i takich maturzystów legion głodem mrze po świecie, a tu pod ręką chleb i pracę mieć można. Wyrosną z nich ludzie dzielni i użyteczni, tylko niech panie i ich i siebie nie gnębia.

— Mnie się zdaje, że Pan Bóg pana nam zesłał — szepnęła, połykając łzy.

— Kiedy pani tak myśli — to należy nabrać otuchy — odzwyczaić się od ciągłej rozpacz i przygnębienia.

— Bo pan nie może nawet sobie przedstawić — jakie to nasze życie całe — ciężkie.

— Nie całe — bo teraz przyjdzie lżejsze. Chłopcy przez wakacje w żniwach nam dopomogą — jesienią rozpocznie się kopanie kanałów, Marczewski musi dochód z cegielni dać — zimą zarobimy końmi przy wywózce drzewa do tartaku — kartofle zapowiadają się niezgorzej — więc trzody można będzie wypaść sztuk kilka — z mleka też trzeba lepszy dochód mieć.

— Pan wszystko zrobi! — szepnęła, składając jak do modlitwy ręce.

— Co się da, zrobię — ale panie niech otuchy nabiorą — pomoc dadzą. Jutro chcę do Stradynia pójść — obejrzeć, co się tam robi — kto rządzi i jak. Panie tam nikogo nie znają?

— Nie. Hrabia przeważnie podobno jest za granicą.

Rządzi pan Rupejko. Wielki dwór, pałac, park — prawie miasto.

Czasami bywałyśmy tam w kościele. Ale my nikogo nie odwiedzamy — i nas nikt. I nikomuśmy nie potrzebni — i przed nami niema już życia.

Wyrwało jej się to z przebranej miary goryczy i radaby cofnęła słowa, bo on się zachnął niechętnie.

— W ten sposób myśląc, zatruwa pani nawet powietrze wkoło siebie i ślepnie pani na to, co otacza i głuchnie pani na każdy głos ze świata. Nie widzi pani, że wokoło inni cierpią — może ciężiej — ani słyszy pani, że cała ziemia drży od bólu. Prawda: — jesteście w materyalnym niedostatku — prawda: — macie w sercu żalobę po drogich i blizkich — prawda: że patrzycie na chorobę matki, ale to wszystko jeszcze nie najcięższa niedola — nie!

Wstał i odchodząc, dodał:

— Zasklepić się w swoich tylko sprawach, myśleć tylko o swojej biedzie, litować się tylko nad sobą, to znaczy nic nie rozumieć — i nie być człowiekiem. I można w takim stanie zostać zbrodniarzem bezwiednym i wziąć na siebie największy ciężar: — krzywdę ludzką, i życie, i ocucić się po niewczasie — z piętnem najgorszej hańby — bo wstydem! Wszystko inne to fraszka — wobec tego!

Odszedł, a Hanka została jakby otrzeźwiona, wstrząśnięta tą mową, z myślami wytraconemi z błędnego koła wciąż tych samych trosk i żalu i zaczęła się zastanawiać.

Nazajutrz Tomek, żeby koni od roli nie odrywać, ruszył pieszo do Stradynia.

Dzień był upalny, ale gościniec zawiódł go w las, i szedł rażno ścieżką, w cieniu przepysznego starodrzewiu. Minął go zaraz u brzegu samochód — w tempie tak szalonym, że ledwie oczami go objął, już znikł w obłokach kurzu.

— Tęga maszyna — pomyślał — pewnie hrabski — i w tejże chwili las zabrzmiał odgłosem strzału, a Tomek w myśli dodał: — ale guma nietęga, bo trzasła — i dalej szedł, niefrasobliwie.

Na zakręcie ujrzał nieruchomy powóz. Pani siedziała w nim, pan stał obok i klnąc, ściągał rękawiczki.

Typowa para międzynarodowych turystów: ona otulona szarym wuałem, on w pończochach i stylowej czapce — szofer nie było.

Na widok Tomka, pan począł wołać:

— Chodźcie-no tu. Zarobicie na piwo. Trzeba zmienić obręcz. Przekłęte korzenie czy kamienie.

Tomek podszedł, obejrzał maszynę i bez słowa wziął się do roboty.

— Tiens, tiens, umiecie się z tem obchodzić — zauważył pan. — Może jesteście, wypadkiem, szoferem?

— Wypadkiem mogę być.

— A to traf. Wypędziłem właśnie mojego, bo już zanadto kradł. Może jesteście bez miejsca. Macie świadectwa?

Mówił urywano, z akcentem — widocznie nerwowy, niecierpliwy i udawał, że pomaga, unikając jednak dotknięcia do brudnych części.

Tomek obręcz zmienił, obejrzał starannie maszynę i rzekł:

— Można jechać.

Pan sięgnął do kieszonki od kamizelki i dobył rubla.

— Macie tu na piwo, a jeśli macie dobre świadectwa, to się zgłóście do Stradynia.

— Dziękuję panu za rubla, ale jeśli panu do Stradynia droga, to usłużę za szofera, bo właśnie tam idę.

— I owszem, i owszem. Pokażcie, co umiecie.

Wsiadł do powozu. Tomek z uczuciem przyjemnem ujął za kierownik i pomknęli.

Za lasem dwór się wyłonił okazały — nad rzeką — uwieńczony wieżą kościoła, rozpełzły szeroko — w osadę — prawie miasteczko.

Przemknęli groblę, minęli murowany młyn — sygnał samochodu wzbudził dziki popłoch wśród ludzi i koni, i zatoczywszy ostre półkole — Tomek przecuciem skierował w bramę parku i po żwirowanych ulicach ku pałacowi.

I tam się widocznie państwa nie spodziewano, bo minęło parę minut, aż zziajany kamerdyner na ganku się zjawił.

Państwo tymczasem wysiedli i zaczęli po francusku rozmawiać.

— Mówiłem ci, że damy sobie radę. Żeby nie ten wypadek, przyjechalibyśmy w pięć godzin. No, i trzeba mego szczęścia, żeby tego spotkać. Dobrze wygląda — można go umówić.

— Jak chcesz! — odparła apatycznym głosem dama, zdejmując wual z kapelusza.

Tomek spojrział na nią obojętnie i aż zdumiał, tak była piękna.

Tylko życia nie było w tej twarzy — i była jakby osnuta chłodem i znudzeniem.

Nie spojrzała ani na otoczenie, ani na dom, ani na ludzi, którzy teraz wyszli na spotkanie — nie powitała — przeszła — i zniknęła w pałacu.

A pan zwrócił się do Tomka:

— Dziękuję wam i powtarzam moją ofertę. Jeśli świadectwa dobre — możecie objąć posiadłość. Płacę tysiąc rubli i utrzymanie. Tylko bez miary okradać się nie dam.

— Dziękuję, ale tymczasem odprowadzę tylko maszynę do garażu, bo zajęty jestem gdzieindziej. W każdym razie, jeśli by była potrzeba, zanim szofera pan hrabia dostanie — mogę służyć. Jestem niedaleko — w Żeraniu dozorczą i na zawołanie się stawię. Świadectw nie mam innych, tylko atestat ze szkoły.

— Ach, tak, — a co to jest Żerań, czyje to? Nie słyszałem.

— Mały folwarczek pod miasteczkiem.

Hrabia wy dobył notatnik, wraził monokl w oko, grezmo lił i mówił urywano.

— Folwarczek — co tam płacą — mizerę — jak się nazywacie? Rzucić tamtą robotę.

— Gozdawa się nazywam. Teraz przyjąć propozycji nie mogę.

— Zabawię tu kilka tygodni. Trzeba przyjść chociaż na dniówkę — samochód opatrzyć. — Potem się namyślicie — sądzę. Pawle, pokaż, gdzie garaż, i potraktuj winem Gozdawę!

Tak się odbyło zapoznanie Tomka ze Stradyniem.

Odmówił poczęstunku w kredensie, ale rozmówił się z lokajem i zwiedził dwór. Wstąpił do gorzelni, do mleczarni, na folwark, obejrzał młyn i wrócił wieczorem do Żerania, gdzie przy wieczerzy nastąpiło poznanie bliższe z chłopcami.

— Pójdziemy jutro wszyscy do koniczyny! — rzekł.

— Ale czy my potrafimy kosić — zaniepokoił się, choć oczy im się śmiały do ruchu i roboty.

— Trzeba się uczyć. Ja też niewiele sobie ufam, ale najemnika nie można dostać, a pora piękna i czas kosić.

— To my będziemy z Walerką kuczkować — rzekła Hanka.

— A mnie zaprowadźcie do kuchni, to z Maryanną ugotuję obiad i dopatrzę domowej roboty — dodała Remiszowa.

Ogarnął ich jakiś lepszy duch — ochota. Rozlegało się klepanie kos i dzieci gwarem ożywiły dworek, — zagadała nawet zahukana, wiecznie wystraszona i płacząca Walerka, a o świcie chłopcy się zerwali, tak im pilno było do pracy.

Nie tędzy to byli robotnicy — małe siły, żadna wprawa i umiejętność. Mdlały rychło ramiona i pot osłabiał, ale szeroki łąn rozszerzał myśli i dusze, ciepły powiew zwiewał pleśń smętku i budziła się gorączka czynu, i wieczorem patrzeli z dumą na szmatek źle skoszonej koniczyny, jakby na arcydzieło — i tej nocy wszyscy trudem ramion i skwarem zmożeni zasnęli twardo, zdrowo, bez trosk o jutro i mar wspomnień.

Chłopcy przyłgnęli do Tomka, wygadali się przed nim ze swych niepowodzeń w naukach, wyznali, że pomimo

wstydu, czują się szczęśliwi, iż nie wrócą więcej na szkolną ławę. Rozpytał ich o chęci — i po namyśle Staś się przyznał, że ma gust do mechaniki — Michaś, że najchętniejby został strzelcem i leśnikiem.

— Trzeba się tedy postarać, żeby amator mechaniki dostał się na praktykanta do gorzelni a drugi do leśnej administracji w Stradyniu — pocieszył.

— Mówią, że tam bardzo trudno się dostać — szepnęła Hanka.

— Sprobujemy sami. *Mówią* zawsze coś nieprzyjemnego. Byle kandydaci wytrwali.

— Wytrwamy — zobaczy pan!

Pogoda służyła, jak obstalowana, i wzięto się do zwózki koniczyny, gdy pewnego popołudnia przyleciał konny ze Stradynia, poszukując Gozdawy — w pilnej sprawie do hrabiego.

Tomek kazał posłańcowi wracać piechotą, a sam konia dosiadł — zdając robotę na Stasia, który tem był wysoce uhonorowany.

— Zabawię może dni parę — więc niech starszy dziedzic rządzi na polu, a młodszy na gumnie — polecił odjeżdżając.

Hrabia przyjął go w swej kancelaryi.

— Proszę was — hrabinie wypadł terminowy interes do Warszawy — czy możecie obsłużyć samcohód? To zajmie najwyżej trzy dni.

— Służę. Za godzinę podaję maszynę.

Jakoż w oznaczonej chwili samochód do lotu gotów dyszał u podjazdu.

— Od miasteczka szosą — aż na miejsce — rzekł hrabia

— wyprowadzając żonę.

— Wiem — mam zresztą mapę.

Ruszyli — zrazu umiarkowanie — na szosie z zawrotną szybkością. Hrabina nie rzekła słowa, nie okazała wrażenia; dopiero przy rogatkach, gdy spytał, gdzie każe zajeżdżać, odpowiedziała:

— Do Europejskiego hotelu. Znacie miasto?

— Znam — i garaż mam znajomy. Czy mam podać samochód jutro rano?

— Nie. Tylko proszę przyjść wieczorem. Może pojutrze rano ruszymy z powrotem.

Gdy stanęli przed hotelem — podała mu dziesięć rubli.

— Na utrzymanie i inne wydatki! — rzuciła obojętnie.

Ulokował samochód w garażu i wyszedł na miasto, choć naprawdę nie miał gdzie i po co iść. Zapalił papierosa i stał zamyślony, gdy podszedł doń drab barczysty i rzekł łamaną polszczyzną:

— Wy — może — nowy szofer — graf Ossorya.

Tomek zmierzył go wzrokiem.

— Albo co? — odparł niechętnie po tym egzaminie.

Drab był rudy, z byczym karkiem i bezczelną szwabską gębą.

— Pięć lat jeździłem na tej maszynie. Poznałem just! Moja nazwiska Pinc! Z grafem my byli, jak para butów; baba mnie wygryzła, ale ja mam na nią sposób — zrobię na niej pieniądze.

— A ona kto?

— To długa historia, gardło od gadania wysycha. W knajpie byłoby wygodniej!

— Możemy wstąpić — i możecie mówić po niemiecku — rozumiem.

— Famos. Możemy być w zgodzie — i dla was i dla maszyny to lepiej.

— Na groźby mnie nie bierzcie. Nie będę wam fundować na zgodę — ale że mam czas wolny — mogę historii wysłuchać.

Weszli do podrzędnej restauracyi i zasiedli na uboczu. Niemiec zażądał wódki, a potem zaczął zajadać, jakby ze trzy dni był naczczo. Dopiero zaspokoiwszy głód — przy piwie odzyskał mowę.

— Graf niedługo wysiedział na wsi. Dokąd jadą?

— Nie wiem! — odparł Tomek obojętnie.

— Teraz latem babę ciągnie do Wiednia, do mamusi, bo kochanek z pułkiem — na trawie. Od początku wam powiem. Przed trzema laty poznaliśmy lalę, w Szwajcaryi. Była taką niby towarzyszką — starszą służącą — u jakiejś hrabiny. Mój hrabia zaraz się do niej zabrał, ale uderzyła w cnotę — w honor — wyjechała z matką — z rodziną — cała gruba artylerya. Więc mój hrabia zrejterował i pojechaliśmy do Nicei, i myślałem, że się na tem skończy. Ale połknął haczyk — bo małośmy zabawili w Nicei — porznęliśmy do Wiednia.

Tam mieszkała ta niby matka. Baba kuta na ostro, bo nie upłynęło i dwóch miesięcy — lalę sprowadzili i doprowadzili do sakramentu. Wtedy się pokazał i gach. Oficerek, taki sobie goły porucznik. Hrabiemu go nie przedstawili, ale ja od służącej się dowiedziałem. Baby go chowały dobrze.

Po wierzchu wyglądało wszystko święto. Stara nibyto zajmowała się jakimiś przytułkami, — oddana dobrym uczynkom, życie skromne, mieszkanie na przedmieściu, panna nibyto pracowała na chleb — hrabia we wszystko uwierzył — haczyk połknął — no, i pobrali się. Ale zaraz, jakeśmy po tym ślubie pojechali do Paryża, przewąchałem, że jest źle. Nie kłócili się, bo takie państwo nigdy nic po sobie nie pokaże, ale hrabia był zły, a pani, jak nie ziewała, to płakała. Odrazu też zaczęła wysyłać i odbierać listy pokryjomu, a gdyśmy z Paryża pojechali na Rivierę — zjawił się oficerek. Spotykali się bez wiedzy hrabiego, nawet mnie unikali. Ale ja co wiem, to dobrze wiem. Oficerek grubo hrabiego kosztuje — więcej, jak esencya do samochodu, o którą między nami poszło. Ja wiem, że to lala zbuntowała grafa, bom jej raz coś burknął na spacerze. Raptem po pięciu latach zaczęła się kontrola, rachunki, przyczepki, pretensye. Żółć mi się wylała, upomniałem się o swój honor i podziękowałem za służbę! Ale to nie koniec.

Napisałem do hrabiny list — postawiłem swoje warunki za milczenie. Pewnie mi przywiozła pieniądze. Jutro ja wam funduję. — Roześmiał się beczelnie.

Tomek wstał, zapłacił rachunek i zapalając papierosa — rzekł dobitnie:

— Słuchajcie-no. Może wasz honor nakazuje wymuszać od kobiet pieniądze i chcecie urządzić szrubę na tę hrabinę. Otóż mój honor mnie nakazuje sprać wam pysk, jeśli się zbliżycie do niej na odległość mojej pięści, a to dlatego, że gdy komu służę — od wszelkiej napaści bronić będę. Zrozumiane?

Pinc otworzył gębę i łypał oczami przez dobrą minutę. Gdy nareszcie oprzytomniał — był sam u stolika.

Nazajutrz około jedenastej hrabina wychodząc z hotelu zdziwiła się na widok swego samochodu przed bramą.

— Mówiłam wam, żebyście przyszli dopiero wieczorem — rzekła swym matowym, znużonym głosem, podchodząc do Tomka.

Uklonił się i otworzył drzwiczki.

— Wczoraj wieczorem poznałem mego odprawionego poprzednika i po rozmowie z nim nie chciałem zostawiać maszyny w garażu i pani hrabiny narażonej na możliwą napaść pijaka i gałgana. Pani hrabina wybaczy nieposłuszeństwo, ale będę się trzymał w pobliżu — na wszelki wypadek.

Zachnęła się niechętnie, ale trwało to chwilę, i wsiadła, kazała się wieźć na główną pocztę.

— Płaci mu, nieszczęsna! — pomyślał, ale co mnie do tego — niech płaci — a może odbierze listy od tego kochanka zarazem!

Ręce mu się zaciskały na kierowniku, jak szpony, i czuł w sobie jakąś elementarną wściekłość, a oczami szukał Pinca z żądzą drapieżną gwałtownego czynu.

Ale szwaba nie było przed pocztą. Hrabina wysiadła i wróciła prędko, z kilku listami. Zaczęła je czytać gorączkowo, a Tomek bez rozkazu skierował samochód w Aleje.

Gdy skończyła, siedziała chwilę zamyślona; wreszcie jakby oprzytomniała, rzuciła adres modniarki, stamtąd pojechali do jubilera, jeszcze do kilku magazynów i wróciła

do hotelu.

Wysiadając, rzekła:

— Za godzinę pojedziemy z powrotem.

Czekał tedy, obojętnie patrząc na tłum uliczny. I oto spostrzegł, z pełną kieszenią gazet i nieodłącznym cygarem w ustach doktora Sabińskiego, we własnej osobie.

Mimowoli oczy odwrócił, ale doktor go poznał i podszedł, grymasząc swój uśmiech szpetnego Fauna.

— Moje uszanowanie. Cóż to, już własny masz samochód. Znalazła się Tryźnianka?

— Tak, właśnie się z nią ożeniłem i jedziemy w podróż poślubną — odparł.

— Winszuję, winszuję — najlepsze życzenia, a przede wszystkim lepszej przyodziewy.

— Pozwalam doktorowi zafundować mi takową.

— Nie pytasz o rodzinę: o synowca, o szwagra?

— Mogę wytrzymać bez wiadomości. Matki doktor nie widział?

— Owszem. Zdrowa i już kuruje wnuczka. Bo wiesz, że Pułaska umarła.

— Władkowi się powodzi.

— A Terka bawi się za granicą, jak królowa. Żeby się nie nazywała Szurową — matka byłaby zupełnie szczęśliwą. I kto wie, czy Szur, żeby zmazać plamę swego nazwiska, nie kupi od Maleckiej Zagajów.

— Wszystko jest najlepiej — na tym najlepszym ze światów — zaśmiał się Tomek.

— Ano, pewnie. Za parę lat Władek będzie luminarzem okolicy — Szur skupi jeszcze parę majątków — dzieci już

będą Szur-Szurowscy na Zagajach i innych — małych Gozdawów się nahoduje w Żernikach i śladu nie będzie po waszej katastrofie.

Strażyc podobno ożeni się z aktorką, którą sobie tej zimy przywiózł z Pesztu.

— Więc już tam o mnie i słuch zginął? Psów na mnie nie wieszają?

— Obraziłeś raz ostatni, żeś nie był na weselu. Powinieneś być družbować siostrze. Matka na to konto łez wylała, ale zresztą, odsapnęli po tobie. Może masz do nich jakie polecenie?

— Ja! — ruszył ramionami pogardliwie i w tej chwili, widząc, że szwajcar hotelowy wynosi torbeczkę hrabiny, zajął się maszyną i dodał szybko:

— Może doktor powiedziec matce, że żyję — jeśli jej to zrobi przyjemność, ale że Szur w Zagajach nie będzie, chociaż to może jej zrobi przykrość.

Hrabina wsiadła do samochodu, doktor stał na chodniku, zapatrzony, i głową szyderczo chwiał.

— Oj! — złamiesz ty kark na tym samochodzie — zamruczał, gdy powóz pomknął.

*

*

*

Pokończywszy jesienne siewy i wykopawszy kartofle — Malecka wybrała się w podróż i pewnego słotnego

popołudnia zjawiała się w Żeraniu.

Hanka przywitała ją radośnie, stara Remiszowa ze łzami rozczulenia, i zaczęły się długie opowiadania o przeżytych ciężkich latach.

Bystre oczy Maleckiej zlustrowały po drodze już stan pól, płotów, budynków — teraz badały sprzęty, twarze kobiet — i coraz to biegły do drzwi, jakby kogoś wyglądając.

Ale kręciła się tylko Walerka, szykując herbatę — więc wreszcie zapytała:

— Chłopcy wasi nie w domu?

— Pracują już. Młodszy w leśnej administracyi, starszy przy rektyfikacyi — u hrabiego. Na niedzielę czasami tylko wpadną. Same my, jak zawsze! — rzekła Hanka.

— A to nie zgłaszał się tu do was latem mój znajomy — młody człowiek?

— Pan Gozdawa! — podchwyciła stara — a jakże — był — poratował nas — trzy miesiące tu z nami spędził — odżyliśmy.

— A teraz go już niema?

— Jeszcze czasami zagląda — owszem — interesuje się — pod jego dyrekcyą kanały się kopią, ale gdzież mu było na takiej posiadzie długo zostawać. Zresztą nudno mu tu było — nie dla niego nasze ubóstwo i smutek. Dostał posadę u hrabiego — przez jego protekcyę i chłopcy się wkęcili tam na służbę. Ale wszystko się skończy, gdy on zupełnie stąd wyjedzie — lada dzień podobno.

— Dokąd wyjedzie?

— Z hrabiostwem za granicę.

— Jakąż on tam ma służbę?

— Szoferem jest. Tysiąc rubli bierze rocznie.

Malecka dalej nie pytała. Potrząsała tylko głową — i zwróciła rozmowę na temat urodzajów, paszy, inwentarza.

Potem wyszła z Hanką na gumno i podwórze, a wieczorem zasiadła z kobietami do łuszczenia fasoli — i gwarzyły dalej o sprawach gospodarskich.

Ale gdy się przespała — o świcie pchnęła chłopaka do Stradynia z ustną prośbą do Tomka, by się do niej pofatygował.

Przyjechał w parę godzin, konno — i witając ją, miał niepokój w oczach, ale widząc ją spokojną — rzekł:

— Pani pewnie ciekawa obejrzeć szczegółowo moje tu gospodarstwo. Do obiadu obejdziemy wszystko, a właśnie deszcz ustał.

Gdy wyszli za bramę — zwrócił się do niej i rzekł po dawnemu, zuchwale:

— Za tydzień ciskam to wszystko — i jadę w świat.

— Mówiły mi! — odparła.

— Byłem niepoczytalny, gdym tu chciał życie zagrzebać. Toć na tej kolonii niema co robić. Wystarczy, gdy dwa tygodnie tu od czasu do czasu spędzę — żeby śruby przykręcić. Zresztą, finansowo im dopomogę.

— Miał pan im być — bratem.

— Ano, tak. Zdawało mi się — mało co krwi wtedy we mnie zostało. Ale to głupie. Rozumiemy się ze sobą, jak gęś z prosięciem.

— Ale w Żeraniu jadłby pan chleb synowski i braterski, a u takich hrabiów...

— Lokajski — niech pani skończy — nie żenuje się. Ja to sobie już sam powiedziałem...

— A tysiąc rubli — ma pan z Zagajów rocznie.

— Zwalniam panią z wypłaty. Moje szaleństwo ostatnie dość drogo kosztowało panią — a że od rehabilitacyi się cofam — kwita między nami. Motylską ma zresztą pani, jako mój serwitut na Zagajach.

— A czy pan nie popełnia znowu szaleństwa — spytała, patrząc nań bystro.

Oczy mu zapłonęły i krew zabarwiła skronie.

— Może być — tylko już teraz — jak przegram, dam krew całą — i będę wiedział, za co. Ale przedtem żyć będę, jak mi się chce, jak muszę. Po tamtem wstyd mi został.

— I to pana z Żerania wypędza?

— Nie wiem... może. — Opamiętał się, zgasił błysk oczu i jakby chciał zbyć indagacyi, stanął przy zaroślach, na granicy, i zaczął jej tłumaczyć plan osuszenia.

Kobieta słuchała uważnie, pytała, kombinowała, wreszcie rzekła:

— Ja tu do nich wstąpię czasami, a pan przecie tu wróci latem. Zupełnie ich pan nie opuści?

— Do lata daleko, a świat wielki i dużo ludzi kark kręci w moim nowym fachu. Ale mam dla Żerania najlepszą opiekę — opowiem pani, kto jest Wacalek, i zostawię w pani ręku niezawodne na jego staranie i wierność czary. Zresztą za lat parę i chłopcy dorosną.

Szli chwilę milcząc. Malecka zaturbowana, chmurna, on podrażniony.

— Mam tu do pana list od Zuzi! — rzekła.

— A Kret żyje? — spytał, chowając do kieszeni kopertę. Te dwie istoty szły zawsze w parze w jego pamięci.

— Żyje — chciałam go panu przywieźć, ale dobrze, że się rozmyśliła.

— Pewnie — nie mnie posiadać coś własnego przy sobie.

— I choć to pana pewnie urazi — i tej własności nie byłoby bardzo pewnie przy panu.

— No, jak dotychczas, mam lokatę u pani — zaśmiał się.

— Ja sobie to porachuję potem.

— Ejże — pani jeszcze wierzy w stryjowskie miliony! Bezpieczniej będzie liczyć, że na Zagajach wartość ziemi rośnie.

— Ja też się nie lękam straty, ale od przybytku głowa nie zaboli.

Wracali do dworku; obejrzała jeszcze cegielnię, krowy — słuchała jego wyjaśnień i planów.

— Jakiby z pana mógł być gospodarz i administrator. Toć pan każdą rzecz obejmuje, jak uczony fachowiec! — rzekła, głową trzęsąc.

— Majster klepka! — ruszył ramionami.

Na podwórzu ją pożegnał. Coś go już rwało, niosło, że aż mu się twarz mieniła, aż kurczyły się rysy.

Zatrzymała jego rękę — i spojrzała w oczy.

— Ale jakby coś pana złego spotkało — to pan się do mnie zwróci. Ot — jak wtedy. — Niech pan się nie zżyma — przecie pan rad życiu?

— Nie wiem, czy to radość — ale chcę żyć. Dobrze, dziękuję pani — napiszę.

Koń stał osiodłany — wskoczył, zgarnął cugle i pomknął.

Malecka chwiała głową, patrząc za nim.

— Szkoda chłopaka, szkoda. Wicher go niesie — pewnie zły!

A Tomek gnał, jakby mu uciechą był przenikliwy deszcz, chmurne niebo — i błoto. Ledwie się z lasu wydostał, objął gorejącymi oczami biały pałac — i opuściwszy drogę, naprzetaj ruszył łąkami. Przy kanale stanowiącym granicę parku zerwał konia do skoku, wodę przesadził — bocznymi ulicami skierował się do stajen.

Grdy konia oddawał — rzekł doń masztalerz:

— Przybiegał lokajczyk z pałacu — po pana.

Tomek zajmował już od miesiąca pokój w służbowej oficynie — poszedł więc tam, by się z błota oczyścić — i ruszył do pałacu. Zameldował się i został wprowadzony do biura, gdzie hrabia zajęty był porządkowaniem mnogich sztucerów i flint.

— Ach, to wy, Gozdawa. Posyłam i posyłam po was — powiadają, że uciekł. No, dobrze!

Nie przestając oglądania broni — dalej mówił:

— Wytlukłem już wszystkie zające. Mam zaproszenie do Dolingena — do Stant — wiecie, w Styryi. Kozły! Chcę jutro jechać. Deszcz — w karku rwie. Przekłęty klimat.

Tomek milczał — zastanowiło to hrabiego.

— Jakże? Maszyna gotowa?

— Gotowa. Tylko chciałbym uprzedzić pana hrabiego...

— Pewnie jesteście bez grosza.

— Nie. Jestem bez stosownego ubrania, ale to w

Warszawie naprędcie załatwię. Mam tu urzędowe papiery. Jestem szlachcic, i nie szofer od dziecka. Umiem po francusku, po niemiecku — i trochę po angielsku.

— Doskonale. Więc tego — żądajcie wyższej zapłaty.

— Nie — tylko nie chcę być niedyskretnym i słuchaczem niepowołanym.

— Aha — dobrze, dobrze — bardzo correct.

— I chciałbym — nie być wołanym po nazwisku, a po imieniu — Tomasz.

— Tiens — to dziwne — tak, z honoru? Dlaczego?

— Imię jest moje — nazwisko wspólne.

— Aha — compris. Szofery wszyscy złodzieje, hołota; nie chce Gozdawa być w tej kompanii. Dobrze! Podoba mi się! No i chce być traktowanym...

— Wcale nie chcę być inaczej traktowanym, jak na to zasłużę...

— Tak właśnie myślałem. A kontrakt?

— Nie wymagam żadnego kontraktu. W Europie szoferów nie brakuje. Okażę się niestosownym, wolno hrabiemu służbę mi z dnia na dzień wymówić.

— To dobrze, bardzo dobrze. Przepisy znam. Zmieniać nie lubię — po co mam zmieniać. No to ruszemy jutro. Będę nazywał Tom.

— Pan hrabia sam jedzie?

— Nie — hrabina też. Kufarów trzy, i szpic. Te dwa sztucery wezmę. W Wiedniu hrabina zostanie — nie lubi polowań.

— O której jutro wyjazd?

— Rano, o dziesiątej. W Warszawie dzień!

Tomek uklonił się — i chciał wyjść, gdy hrabia dodał:

— A już do kochanki nie latać po nocy.

— Ja? Do kochanki? Ostatnią pozegnałem pół roku blisko temu.

— No, no. Ja nie bronię — tylko przed jutrzejszą ostrą jazdą — wyspać się. Hrabinie opowiadała panna służąca — jakaś jest — w tym folwarczku. Pewnie panna zazdrości!

— Nie wiem, czy zazdrości — ale kłamie.

Hrabia się zaśmiał skrzecząco — jego zmięta, wygolona twarz miała wyraz cynizmu.

Nie miał czterdziestu lat — a wyglądał na starca, gdy tak szczyrzył żółte zęby wśród maski pobrużdzonej i bezbarwnej.

Tomek się wzdrygnął — oczy spuścił i wyszedł. Poszedł do swego pokoju w suterenie pałacu, gdzie mu lokajczyk przyniósł kolację. Ale potrawy stygły na stole, a on wyciągnięty na łóżku patrzył w sufit i z twarzą skurczoną, sumował.

Z dala, ledwie szmerem, dochodziła od salonów melodia. To hrabina grała.

I nagle Tomek się zerwał, otrząsnął się, jakby zrzucił z siebie chandrę, siadł do jedzenia, a potem niewiele swych rzeczy złożył w kuferek i znalazłszy w nim na spodzie okarinę — włożył ją do kieszeni — zapalił latarnię i poszedł do garażu.

Tam przez parę godzin zawzięcie czyścił i cackał samochód, lubował się doskonałą precyzją maszyneryi, i zdawał się tem tylko zajęty — aż ukończywszy, wyprostował się, przeciągnął — spojrzął w jedyne

oświetlone pałacowe okno i rzekł zcicha.

— No, a przecie znajdę — co trzeba — by się zaśmiała, boć pomimo wszystkie warunki — ta kobieta jest nieszczęśliwa, jak kamień. Znajdę, choćbym miał łeb dać za to. Zadanie jak każde inne.

Roześmiał się, zamknął garaż — i wracając do pałacu, deklamował:

Ein frommer Knecht war Fridolin
Ergeben der Gebieterin
Der Gräfin von Savern!

Nazajutrz o dziesiątej punkt samochód dyszał przed gankiem. Lokaje wynieśli kufry, hrabia lokował najstaranniej swe sztucery, radował się hałaśliwie szpic Wowo, kręciła się garderobiana, zerkając na szofera, ostatnie sprawy podawał jeszcze rządcą, rozpromieniony wyjazdem chlebodawcy — wogóle wszyscy byli ożywieni i zadowoleni.

Dzień się przecierał z mgieł, szykował się na pogodę. Park miał jeszcze trochę purpurowych liści — i Tomek szkarłatną gałąź sumaku wcisnął w róg swego siedzenia, a sam miał w oczach uciechę i ochotę. Pilnując pakowania, uważał na drzwi domu i gdy ukazała się hrabina, spostrzegł, że raz pierwszy spojrzała na niego — że go wogóle zobaczyła, i zdziwił się.

Ale za hrabiną lokaj wyniósł wino, i nalewając mu kieliszek, rzekł:

— Na pomyślną jazdę pan hrabia przysyła.

— Świat objedziemy bez jednej chyby! — zaśmiał się

zdrowymi, białymi zębami, z ukłonem w stronę hrabiny.

Wypił, motor puścił, zasiadł u kierownika. Wowo, który go znał, zajął obok niego miejsce. Hrabia spojrzął na zegarek — ulokował się obok żony — ruszyli.

Słońce wybiło się nad mgły — zapłonęły tęczowe krople rosy po gałęziach, pęd powietrza wilgotnego, pachnącego rolą i liśćmi, objął płuca — samochód sunął, jak łódź po wodzie. Tomek się skupił we wzroku — i miał wrażenie, że jest przodownikiem-zórawiem — i tak pomknęli w daleki świat — ku słonecznemu południu — on na szaloną imprezę — pewny, że to on wybrał — i sobą rządzi — nieświadomy, że to los go ze mną zagarnął — aby się spełniło przeznaczenie.

Gdy w szalonym tempie mijał Żerań — mignął mu wózek — i owinięta w chusty postać Maleckiej — odjeżdżającej do kolei.

Na sygnał samochodu, wózek się zatrzymał na skraju drogi — i zdało mu się, że stara przeżegnała go krzyżem — schylił głowę — ale oczu nie odwrócił od linii drogi — upojony przestrzenią, pędem, szalem życia.

Gdy stanęli w Warszawie, hrabia ręce zatarł, sięgnął do kamizelki — i podał mu złotą dziesięciorubłówkę.

— Lubię taką jazdę. Czuję, że żyję. Macie nerw.

— I ja to lubię, więc zapłaconym extra uciechą — odparł, jeszcze cały przejęty wrażeniem, ale już zjeżony obrazą, i dodał:

— Przepraszam pana hrabiego — mam ochotę służyć, ale bez gościńców.

Hrabia dłoń cofnął, i miał tyle taktu, że się nie

rozniewał.

— Compris, zapomniałem. Do jutra swoboda, wyekwipować się, zabawić, pożegnać kraj — maszynę podać o dwunastej.

— Wowo niech przy samochodzie zostanie — rzekła hrabina — i ta gałąź sumaku niech dalej z nami jedzie.

Tomek się uśmiechnął z tryumfem. Znalazł odrazu coś, co jej widocznie sprawiło przyjemność.

I dojechała purpurowa gałąź w całości do Wiednia, i gdy hrabiostwo rozgościli się w hotelu przeniósł ją Tomek do numeru, a ulokowawszy samochód — przyszedł po dyspozycje.

Nazajutrz ruszyli z hrabią do Styryi na polowania. Wowo zaskomlał żałościwie, gdy został z hrabiną, a Tomek spojrzał na niego i rzekł mu w myśli.

— Skamlij, skamlij — ja też skamle, że nie mogę się z tobą zmienić, durniu jeden!

*

*

*

Samochód był o sto kroków od hotelu, gdy go hrabia kazał zatrzymać i z uśmiechem złośliwego tryumfu zajął miejsce szofera. Tomek, który był kierunek drogi starannie przestudyował, zobaczył, że mkną zupełnie gdzieindziej.

Wydostali się z ciżby śródmieścia i na przedmieściu hrabia zatrzymał się przed elegancką willą.

— Tony! Endlich! — zadzwonił głos kobiety, zgrabna postać zbiegła z ganku, rzucając się na szyję hrabiego — wśród śmiechu i potoku słów w wiedeńskim dyalekcie.

— Ano — wyrwałem się ledwie. Myślisz, że się bawił! Teraz w drogę — aby najdalej i najdłużej od jarzma. Gotowaś?

— Ależ nie. Miałam się jutro otruć — kufry nie spakowane. — Miły wróci dopiero wieczorem. Chodź, chodź — mam nowego rattlera — arcydzieło. Ruszymy jutro rano. Co to? Masz nowego szofera? Gdzie Pinc? A legitima?

— Mniejsza o to wszystko! Gdzie ogrodnik? Niech otworzy garaż. Tom, jedziemy jutro rano, ani krokiem się stąd nie ruszyć!

Hrabia — o dziesięć lat młodszy — wprowadził kobietę do willi — a Tomka wziął w opiekę ów ogrodnik.

Gdy ulokowali samochód — poszli do służbowych apartamentów — i tam po rozmowie dowiedział się od ogrodnika i żony jego kucharki, że służą u panny Mizzi Perle z teatru — a raczej u hrabiego, który willę, pannę i ich suto opłaca i utrzymuje już od lat pięciu.

— I to się nazywa polowanie w Styryi — pomyślał Tomek — niejasno zdając sobie sprawę, czy mu to odkrycie robi przyjemność, czy przykrość.

Wieczorem zjawiała się Milly, szykowna subretka, sprytna, ładna, wygadana, zalotna. Wytrawnem okiem obejrzała i oceniła szofera i wnet zaczęła go kokietować.

Nie broniąc się, ani awansując, Tomek wyciągał z niej wszelkie informacje sobie potrzebne, a że hrabia nie miał tajemnic przed Mizzi, a ta przed swą pokojówką — więc po paru godzinach zwierzeń — wiedział wszystko.

Stosunek hrabiego ze śpiewaczką trwał już od kilku lat — i był wiadomy ogólnie — ale przed dwoma laty omal nie został zerwany z powodu małżeństwa hrabiego.

Mizzi była wściekła — chciała walczyć anonimami i witriolejem — ale gdy się dowiedziała bliższych szczegółów — sama się pierwsza śmiała do rozpuku.

Hrabina była prostą nauczycielką, a małżeństwo zawarte dla wygrania zakładu. Podobała się dwom paniczom, a że odmówiła jednemu, drugi o zakład poszedł, że ją dostanie. I postawił na swoim — bo trzeba wiedzieć, że panna miała oficera brata — namiętnego gracza. Hrabia się z nim poznał — zaczęli grać — i przegrał tamten wielką sumę — do wypłaty w ciągu doby.

Hrabia myślał dostać pannę bez sakramentu — powiedział — że za nią zapłaci kwitem brata — ale panna ma ciotkę i ta dopilnowała, żeby ślub był.

Hrabia dowodzi, że ten ślub, to był taki z operetki — ale najlepszy kawał, że te pieniądze, które stracił na bracie, odebrał od barona, z którym zakład wygrał — i to go najbardziej w tem raduje, bo hrabia ma największy sport to urządzać ludziom kawały — i opowiadać je swojej Mizzi.

Tu Milly zaczęła chichotać — jakby miała jeszcze wiele do opowiadania, ale Tomek nie badał dalej, bo kłębiło mu się w głowie od myśli chaotycznych, a upozorowawszy zmęczenie — poszedł do przeznaczonego sobie pokoju, by

ochłonać i zastanowić się.

I tej nocy przewinął się u niego iście bajeczny korowód istot. Były drapieżne zmysłowe postacie i judziły go obrazami, opowieściami o szale rozkoszy i posiadania, były inne, co mu radziły gadzinowe czołganie i trujące kąsanie, i takie, co tłumaczyły sofizmatami, że on jest wielki i godny, a ukrzywdzony przez los, który mu wolno deptać — i szaleńcy z krwią, zemstą, i pozogą w oczach, i jacyś inni obłudni, którzy stwarzali mu fatamorgany pomyślności, potęgi, chwały, bogactw — i zgryźliwe, żółcią, jadem i plwociną obryzgujące ideał i marzenie — poczwary — i zimni, logiczni, trzeźwi rachmistrze życia, i drwiarze bezlitośni, układający dwuznaczniki i koncepty z najświętszych rzeczy — a wszystko to wpełzało, wciskało się, wskakiwało z każdej szpary, opadało go, chichotało, wyło, syczało, szeptało, piszczało — prawilo swoje, kłóciło się z przeciwnikiem, starało się przegadać, przekonać go, opanować.

Byli mu niektórzy dobrze znani, jak koledzy, inni ciekawi, zrazu interesujący — ale z każdym kończyło się na dyspucie, sporze, — wymysłach — szamotaniu — bo zuchwali byli, czelni, natarczywi.

A wśród orgii najścia tej czeredy — miał wyraźne uczucie, że w kącie pokoju na fotelu pod jakimś sztychem — siedzi jeden gość — i milczy — że tam siedzi od początku — słucha i czeka.

Nie mógł wśród gąb zuchwałych i natrętnych, wśród miotania się zgrai dopatrzeć jego twarzy — ale chwilami chciał ich wszystkich kopać i bić, i wyrzucić za karki —

byle się z tamtym rozmówić.

Zziajany był, ochrypły, a korowód nie ustawał — aż gdy światło ranne zajrzało — ujrzał, że był sam — i zrozumiał — że noc spędził tylko ze sobą.

Oczy paliły ogniem, usta miał suche i spieczone, ból w głowie i piersi, twarz bez barwy — w członkach drzenie znużenia. Bezwiednym odruchem podniósł roletę i spojrzął na fotel w kącie. Nie było milczącego gościa.

Podszedł tedy i spojrzął na sztych. Przedstawiał Świętego Jerzego ze smokiem. Półgłosem Tomek gotycki podpis przeczytał: Equitum Patronum: i zamyślił się — jakby mozolnie rozwiązywał jakąś zagadkę.

A wtem wszedł ogrodnik — wzywając go do hrabiego.

Zastał go Tomek nad kartą geograficzną — i otrzymał szczegółową marszrutę.

Znowu był w domu zamęt — tylko wrzaskliwszy, weselszy — znowu zładowano kufry — tylko miejsce Wowa zajęła Milly — i sztucery zostawiono w willi.

Panna Mizzy poufale uderzyła szofera bukietem po twarzy, dała mu cygaro — powiedziała, że jest ein fescher Bursche i że winszuje Milly towarzystwa i samochód ruszył, już tym razem nie na żadne polowania do Styryi — ale do Lugano.

Po drodze dowiedział się Tomek od subretki, że »państwo« spędzają tak kilka tygodni nad jeziorami — a potem na sezon zjeżdżają na Rivierę — gdzie zwykle około nowego roku przybywa i hrabina — ale zamieszkuje z ciotką w Mentonie, a hrabia zajmuje apartament w Nicei — w hotelu, prawie razem z panną Mizzi — która przecie z tej

guwernantki teraz nic sobie nie robi.

— Może i hrabina z panny Mizzy nic sobie nie robi! — dodał.

— A pewnie ma też kochanka! — zaśmiała się pokojówka.

— To nie — rzekł ostro.

— A dlaczego. Podobno bardzo piękna, tylko bez szyku?

— Jak ją panna Mizzy zobaczy, to zrozumie, dlaczego.

— E — taka kobieta, co się nikomu nie podoba — to zajmuje niepotrzebnie miejsce na świecie i zawadza. Po co żyć — mruknęła opryskliwie.

Wogóle panna Milly miała zawód co do szofera, i zaczynała żałować Pinca.

Tamten był wprawdzie często grubijanin, a jak podpił — musiała paznogciami się bronić od napaści — przytem wiecznie ją obierał z pieniędzy.

Ten był jakiś taki nieoswojony, nieugłaskany, sztywny — i jednakowo grzeczny — jakby jej łaskę robił swą rozmową i towarzystwem. Czasem miała na języku powiedzieć mu, że jej ojciec był urzędnikiem a matka »von« — ale gdy raz nadmieniła, że u niej »w rodzinii« nie jest »przyjęte« spędzanie lata w mieście, jak to czynią »gemeine Leute« — popatrzał na nią tak dziwnie zmrużonymi oczami, że zrobiło się jej bardzo nieswojo.

Ostatecznie, z czego był taki pyszny? — Dopytała się, że był Polak, że rodzice mieli kawałek ziemi, ale on nic nie miał. Brał pensję, jak każdy — jak ona — i zapewne był chłopskim synem. Tylko ładny był, zgrabny, młody, zdrów, że czasem Milly aż »rozbiegało«, gdy spojrzała na jego

cienki profil i rozdęte nozdrza, kiedy upojony pędem — pożerał przestrzeń.

Miał inny rozmach i sprawność, jak Pinc, i uciechę z lotu, jak orzeł.

Nie bywało też prawie wypadków z maszyną i raz posłyszała Milly, jak hrabia opowiadał panie Mizzy, że rachunki essencyi wykazują dopiero teraz, na ile Pinc okradał. Z pewnym docinkiem powtórzyła to szoferowi nazajutrz, dodając:

— Pan taki oszczędny, jak hrabiowskie pieniądze.

Śmiały się szyderczo jego oczy, gdy odparł:

— Nie oszczędzam hrabiowskich pieniędzy — ale »u nas, w rodzinii« kradnie się droższe rzeczy — benzynę zostawiamy »für gemeine Leute«. Nie zrozumiała sensu, ale mimowoli odczuła coś nieprzyjemnego — i nadąsała się na resztę dnia.

Wreszcie stanęli u celu podróży, w Pallanzy. Nastaly dla Tomka dni próżniacze, bo »państwo« używali statków i łodzi, a on się wałęsał, gapił, palił cygara, a w duszy dręczył go nieznośny niepokój i tęsknota. Było to uczucie nowe, jak wiele innych, które go opanowały tego lata, na nice obracając duchowe wnętrza. Czuł, że już siebie dawnego zgubił gdzieś, zostawił, że *ten nowy* jest kompan niewygodny, niespokojny — smutny — i pół waryat.

Ale tak był przezeń owładnięty, zaabsorbowany — że w dyskusye i bunty się nie bawił. Cierpiał — ale nie cierpieć, nie chciał — tęsknił — i poddawał się — niepokoił się — ale spokoju nie pragnął. Myślenie jego, dotąd trzeźwe lub cyniczne, stało się tworzeniem baśni — i budowaniem

pałaców w obłokach. Czasami bardziej dojmująca tęsknota, skręcała mu serce prawie fizycznym bólem — czasem przebłysk trzeźwości przesłaniał mu oczy szarą mgłą rozpacz i beznadziejności, ale ten *nowy* — nową baśń wysnuwał, w kraj złudy napowrót go wciągał.

Pewnego dnia Tomek odwiózł »państwa« do jednej z dalszych stacy — na dłuższą wodną wycieczkę — i wracał z samochodem. Zatrzymał się po drodze w jakiejś osteryi, a że mu się nie spieszyło, zaś widok był cudny — wyciągnął się na słońcu, kupił wina i do wtóru swych myśli zaczął grać na okarinie.

Baśń mu się roiła bardzo daleka od włoskich jezior. Wstały w pamięci — Zagaje czy nie Zagaje — jakiś dwór — w sadach utopiony dom, z łamanym, saskim dachem, pękate kolumny u podjazdu, dziedziniec — wieńcem róż objęty — grabowe szpalery po bokach, w głębi brama wjazdowa, którą zawałił tłum żniwiarzy — okrężne.

Piszczwały skrzypce, bełkotał bęben, i darły się ile mocy dziewczyny z obrzędową nutą. Na ganku było ich dwoje, szczęśliwych — kochających — okarina wtórowała dziewczynskiej pieśni.

Nagle tuż nad głową Tomka rozległ się chrypliwy głos z tekstem:

— Plon niesiemy, plon, w jegomości dom!

Chłopak porwał się — spojrział w górę. Na skale nad nim siedział człowiek z roztarganą brodą, ogorzały, chudy — brudny, spocony — i śmiał się, uszczęśliwiony z wrażenia, które wywołał.

— Polak? Co? — zagadnął.

— Tak.

— I ja też. Samochód wasz?

— Nie. Szofer jestem.

— Rzadki ptak! Z Mazowsza?

— Z Kujaw.

— A ja z Podlasia. Z nad Narwi, z nad Bugu, co to śpiewają:

Szumi bór, szumi las,
Sosna rośnie smolna,
Zboża nic piasku w pas,
Ale dusza wolna.

— Uf — zgrzałem się, zmachałem — słyszę — uszom nie wierzę, kto pod Pallaną gra okrężne? Dajno fiasconę, chłopcze, — niechno gardło przepłuczę. Opowiedz, skąd się tu wziąłeś? — Tomek podał mu wino, a ten go uchwycił za ramię, wykręcił do światła, przyjrzał się, zachnął.

— Do kogoś ty podohny? Widziałem już tę maskę. W każdym razie matka Polska naznaczyła cię swoim typem dokumentnie. Więc szofer jesteś — u kogo?

— U hrabiego Ossoryi.

— Co? już tu jest z tą swoją rudą małpą!

— Jest, w Pallanzy — ale z czarną.

— Przestała się na rudo malować. Paskudna, zmięta, koścista. Znam — spotykamy się co jesieni. Spóźniłem się w tym roku. Onegdaj ulokowałem się w Isola Bella. Hrabinę też znam — z Nicei. Bogowie — co to za cudo natury! Mam cały szkicownik jej pełen.

— Pan malarz?

— Czy wyglądam na bankiera? Tak, chłopcze, jestem rysownik-ilustrator. Pracuję stale w Paryżu — ale mam już kolonię na Podlasiu. Kupiłem, i myślę tyle zebrać — żeby chociaż tam umrzeć — kiedy żyć nie można. A ty co? Z Kutna? Z Włocławka.

— Ja — ze wsi, z ziemi. — No — i co dalej. Ja — Plichta.

Zawahał się sekundę Tomek.

— Ja — Gozdawa.

— Jak? Gozdawa? Herbowy, dworowy! Co znowu? — a możeś krewny — doktora Gozdawy — co umarł parę lat temu?

— To był mój stryj!

— To jest hik! Rozumie się, żeś mi się wydał znajomy. Ten stryj mógł być twoim ojcem — takiś do niego podobny. No — ale co ty robisz — na hrabiowskim samochodzie?

— Ano — kieruję, smaruję i reparuję za pieniądze. Ojciec stracił, ziemia poszła w cudze ręce — ja nie raczyłem się uczyć — a że na żebraka jestem za młody, a na bandytę brakło mi odwagi, umrzeć zaś z głodu za długo trwa — więc trzeba było wziąć się do pracy.

— Przecie twój stryj był bogaty. Podobno dużo dał na tę fundację dla dzieci — ale w każdym razie nie wszystko.

— Pan go dobrze znał?

— Jak każdy student Polak, który pomocy, czy ratunku potrzebował. To był porządny typ. A tyś go nie znał?

— Nie. Zerwał zupełnie z rodziną.

— Mam jego parę wizerunków w szkicowaniu. Czy ty czekasz na hrabiego?

— Nie — wracam sam do Palanzy.

— Ano, to, mnie zabierz — a jak będziesz mieć czas — to mnie odwiedź na wyspie. Pokażę ci stryja — i ciebie odrysuję. Okarinę ze sobą zabierz — musisz mi na niej zagrać nasze pieśni.

Tak się rozpoczęła ta niespodziewana znajomość — i Tomek w pierwszej wolnej chwili ruszył w odwiedziny do malarza.

Mieszkał u rybaków — w chałupie — z nimi jadł i obcował, gadając dyalektem, cmokając i gestykulując — jakby się wśród nich urodził.

Poszli do osteryi — na młode wino i cygara. Plichta wynalazł zeszyt paryski, i pokazał mu sylwetkę stryja doktora. Tomek się wpatrzył — potem na siebie w potłuczonym lustrze, i ramionami ruszył.

— Gdzie to pan dojrzał między nami podobieństwo! To głowa pustelnika, czy Diogenesa, a ja jestem szykowny kawaler.

— To też nie z włosów jesteście podobni, ale z formy czaszki — osady oczu i linii ust. Naucz się patrzeć na głowę ludzką — nie jak fryzyer. Jesteście podobni — tylko ten już żył — i dojrzały — a ty ledwie się dostał pod rylec rzeźbiarza. Ledwie cię z grubszego ociosano. Uśmiechasz się z pobłażliwością: — baje, Plichta! Miałem tyle kochanek — żyłem, użyłem — jestem zblazowany i cynik — nietylkom dojrzały, ale już nawet robaczywy. Co? Tak myślisz? No — a teraz, smaczną masz kochankę! Co?

— Niech mi pan co o stryju opowie!

— Najwięcej mogłaby ci opowiedzieć sama

Treiznerówna.

— Kto?

— Ano, ciotka twojej hrabiny — przełożona »sztyftu« jego fundacyi. Złe języki dowodzą, że był między nimi romans — ale równie dobrze można oszkalować stół ze szafą o zmysłowe przestępstwa. Widziałeś »das gnädige Fräulein?«

— Nie wiem o jej istnieniu.

— Jest. Uroczyście lodowato, jak fatum, ukazuje się czasami na Rivierze — wygląda, jak śmierć z chorągwi — a Beispiel Freda też nie znasz?

— Nie.

— To brat hrabiny. Nazywa się: bei-Spiel, nałogowy karciarz, hulaka — zupełnie marna figura.

— To Niemcy.

— Jakieś mieszańce — z Galicyi. Von Treyzner.

— Pan ich dobrze zna?

— Ja znam cały świat — jak wędrowny cygan. Rozumiesz, że ta twoja hrabina bije w oczy. Jak-em ją pierwszy raz spotkał w Nicei — nogi mi odebrało — siadłem z wrażenia. Musiałem ją mieć w szkicowniku — więc poznałem się z Beispiel-Fredem, który wtedy jeszcze był tolerowany przez hrabiego, a którego ona kocha — jak to zwykle w rodzinie kochają wszystkich gałganów.

Teraz — już hrabia go nie zna — podobno go kiedyś za drzwi wyrzucił — za jakieś grube świństwa, i dom mu wymówił. Kobiety w cichości go widują — no i ratują. Ale to skończona kanalia.

Wszystko to opowiadając, Plichta rysował Tomka — i

nagle — nie przerywając pracy — rzekł:

— A ty, chłopcze, rozkochany jesteś w tej swojej pani.

Tomek rzucił się, zachnął — zwrócił ku niemu twarz zmienioną obrazą.

— Pan przypuszcza, że ona może być zestawiona ze swoim szoferem? — wybuchnął.

— Przypuszczam. — Plichta z uśmiechem zadowolenia chwycił ołówkiem jego wyraz i gest. — Przypuszczam — powtórzył powoli, byle przedłużyć napięcie szkicowanych rysów, i kreśląc gorączkowo — aż się zaśmiał — i ołówek odłożył.

— No — możesz się uspokoić. Mam cię, jak chciałem. Nie, chłopcze — nic nie przypuszczam ze strony hrabiny — ale z twojej mam pewność. Winszuję ci — nie kochasz banalnie — jesteś na ścieżce Bergeraca. A wiesz — jak ją nazywają w towarzystwie: la banquise! Zawsze lepszy masz gust, niż twój hrabia.

Tomek starał się uśmiechać, w żart sprawę obrócić i zaczął się rychło żegnać. Wstyd mu było, że się wybuchem zdradził, i odchodząc, rzekł:

— Zabawiłem długo — a Milly czeka. To subretka nasza domowa. Zupełnie »feszna« Wiedenka i w sam raz para do szofera. Może pan zechce i ją szkicować?

— Nie — mam takich setki. Aleś mi winien koncert na okarinie. Siadajmy razem w łódź i rznij mi po naszymu.

Gdy Tomek wrócił wieczorem do willi — został wezwany co rychlej do hrabiego.

— Jutro pojedziecie do Wiednia — do dyspozycji hrabiny.

Skłonił się w milczeniu, niezdolny dobyć głosu, tak go zdławiło wrażenie.

— Jakby kto o mnie pytał — powiecie, żem został na polowaniach. Zresztą, najlepsza odpowiedź: nie wiem. Jeśli hrabiny niema w hotelu — tu jest adres, gdzie o nią trzeba spytać. I list oto — macie — i pieniądze. Bon voyage!

— Mogę jechać zaraz rano?

— Tak. Nie mam więcej rozporządzeń. Wiem, że maszyny nie zepsujecie, nie okradniecie, i nie będziecie samochodu wynajmować na swój dochód. Zobaczymy się w Nicei!

Tomek nie spał tej nocy — i ruszył o świcie. Że samochód wytrzymał tę jazdę — to była największa reklama dla firmy — przez całą drogę Tomek tylko pił bo z podniecenia jeść nie mógł, a gdy zajechał przed hotel, zęby mu szczękały, jak w febrze.

Szczęściem, hrabiny nie było — więc się opamiętał, i szukając podanego adresu, wziął się w cugle, opanował.

Za miastem prawie znalazł gmach w ogrodzie, a obok — niewielki domek — cały opleciony bluszczem. Tam mu kazano dzwonić do bramy.

Otworzył mu stary człek — w półzakonnej liberyi — wskazał garaż — a potem milcząc, jak Trapista — zaprowadził go do domu. Siedział Tomek dość długo w jakiejś poczekalni — gdy wreszcie otworzyły się drzwi i weszła hrabina.

Uklonił się jej nisko, a potem, nie śmiejąc oczu podnieść — czekał rozkazów.

— Gdzieście zostawili pana hrabiego? — spytała.

— Poluje w Styryi.

— Ach, tak. No, to zostanę jeszcze parę tygodni, aż się polowania skończą. Tobiasz wskaże wam mieszkanie. Potrzebujecie czego?

— Nie. Wszystko w porządku.

— Możecie odpocząć i używać swobody.

Wtem z głośnem szczekaniem wpadł Wowo i rzucił się do Tomka, witając, skomląc, skacząc mu do piersi.

Wziął psa na ręce, i uścisnął go.

Na martwą, jakby marmurową twarz hrabiny wybił się blask życia.

— Ten pies do was się garnie, jak do dobrego człowieka i przyjaciela.

— Czuje dobrze.

— No nie. Przecie odpowiedzieliście mi kłamstwem.

— Odpowiedziałem — jak należy w mojej roli.

— Tak. Słusznie. Służycie hrabiemu.

— Może zdarzy się sposobność usłużyć i pani hrabinie.

Spojrzała nań z brwią ściągniętą.

— Tymczasem nie będę używać samochodu.

— Marto, dzwonią na nieszpór!

W drzwiach stanęła owa ciotka. Tomek odrazu ją poznał z malarskiego opisu Plichty, i ciekawymi oczami objął.

Ona spojrzała nań pobieżnie, tym specjalnym wzrokiem damy — na służącego — i nagle zwróciła się po francusku do hrabiny.

— Kto to?

— Szofer — odpowiedziała hrabina, i dodała ciszej: rozumie po francusku.

— Skąd? Polak?

— Tak. W kraju go dostaliśmy.

— Nazwisko?

— Nie wiem.

Tedy się zwróciła od niego wprost.

— Jakie wasze nazwisko?

Tomek się sekundę zawahał, i tknięty jakimś natchnieniem, wyprostował się — bystro, śmiało, jej w oczy spojrzął.

— Tomasz Gozdawa.

Z ust obu kobiet wybiegł, jak tchnienie, okrzyk — prawie bez dźwięku. Patrzyły na niego — a jemu jakby się podniosła zasłona w mózgu, i wszystko zrozumiał.

Milcząc — zaczął się uśmiechać i czekał, co dalej powiedzą.

Ale ciotka zwróciła się do hrabiny:

— Ubieraj się — bo jesteśmy spóźnione na nieszpór.

I wyszły — zostawiając go z Wowem.

Ale on wciąż się uśmiechał — i gotów był śpiewać, tańczyć — świat cały kupować — taki się czuł dumny.

Wyszedł przed willę, i bawił się z psem, jak malec — gdy stróż otworzył furtę przed eleganckim oficerem, który jak domowy ruszył wprost na ganek.

Wtedy zauważył Tomka, stanął i po niemiecku zagadnął.

— Co tu robicie?

— Bawię się z Wowem, jak pan widzi.

— Tak — ale kto jesteście?

— Szofer.

— Co, hrabia wrócił?

— Nie. Przyprowaǳiłem samochód dla hrabiny.

— Famos. Będziemy używać.

— Wedle rozkazu pani hrabiny!

— Rozumie się — jestem jej bratem. Na — zapalcie cygaro — dobre jest. Cóż hrabia — został z tą rudą małpą?

— Nie — żadnej małpy nie ma.

— Wiem, wiem, strzela kozły w Styryi! — Doskonale znacie hasło. Winszuję. Maszyna w porządku? Spróbujemy jutro.

— Jutro nie — po takiej drodze muszę rozebrać i opatrzyć. Potem wedle rozkazu pani hrabiny.

— Bardzo jesteście skrupulatni! — roześmiał się z przymusem oficer — i wszedł do domu.

Po chwili wróciły panie z kościoła. Starsza udała się wprost do szpitala, hrabina znalazła brata w salonie, rozwalonego z cygarem na kanapie.

— Samochód ci przysłał — rzekł, bez innego powitania. Odpowiedziała milczącym skinieniem głowy, usiadła, jakby bardzo znużona i zapatrzyła się — bez wzroku na jakąś ścienną makatę.

— Szofer ten nowy — wygląda zuchwale i bezczelnie. Hrabiego pies widocznie. Powinnaś mu kazać, by mnie słuĸał.

Gdy nie odpowiedziała, zachnął się niecierpliwie.

— Marta — czy ty raczysz mnie słuĸać!

Ruszyła ramionami.

— Wykupiłeś naszyjnik? — spytała zimno.

— Wykupiłem, ale zapomniałem przynieść. Zresztą, po co ci on — nie nakładasz przecie na wieczór z ciotką.

— Kłamiesz. Nie wykupiłeś i nie wykupisz.

— No, a gdyby. Jak zrobi się o to awantura — ciotka wykupi.

— Nie. Wiesz, że pod tym względem ciotka jest nieubłagana. Zresztą...

Urwała, twarz jej się zmieniła nagle, jakby ujrzała w myśli straszny obraz.

— Co, zresztą?

— Zresztą — te pieniądze nie są ciotki własnością — rzekła po namyśle.

— Gadanie. Jak zechce — będą jej.

— Milcz o tem — czego nie rozumiesz.

— Rozumiem lepiej od was. Ale mniejsza o to. Dasz mi swój samochód — na dni kilka?

— Nie.

— Dziękuję. Robisz się coraz uprzejmiej.

— Dziwię się, że wogóle dotąd życie wytrzymuję!

— Ta, ta, ta. Melodramat. Czego ci brak? Chyba cię gryzie ta ruda małpa?

Hrabina wstała niecierpliwie — założyła ręce za głowę — w pięknych jej oczach była otchłań rozpacz:

— Istotnie — czego mi brak?! Mam brata bez charakteru i poczucia honoru, mam męża napół tabetyka, który jawnie żyje z utrzymanką — mam zbytek za cudze pieniądze — niewolę wśród przepychu — mam wstyd, hańbę, fałsz, pustkę jako życie — i mam dwadzieścia dwa lata! Istotnie — niczego mi nie brak!

— Głupiaś — obojętnie mruknął brat. — Kto nie umie żyć — temu zawsze źle. Żebyś chciała; Van Zuilen — i

jego miliony — byłyby u twoich nóg. Co się obruszasz — nie mówię — żeby tak — z lewej ręki. On ci wyrobi rozwód — nawet ciotka znajdzie wszystko w porządku.

— Fred, czy znajdujesz, że nie dosyć jeszcze dla ciebie zrobiła?

— Ty — dla mnie? Znajduję, że dzięki mnie zrobiłaś karierę! — roześmiał się. — Bez tej awantury byłabyś dotychczas lektorką u jakichś starych hrabin.

— A ty, czemuś był?

— Odegrałbym się. Ale jestem dobry brat — wystraszyłem cię — i jesteś hrabiną.

Patrzała na niego z jakąś grozą.

— Możesz do spółki z hrabią urządzić to wszystko! — wyrwało jej się bezwiednie.

— Czegobym dla twego szczęścia nie zrobił — śmiał się cynicznie.

— Fred — zlituj się — nie szydź. Ja nie wytrzymam.

— Ale właściwie — po co ty bezustannie przedstawiasz jakiś dramat. Zaczynam cię posądzać, że się zakochała — i torturują cię skrupuły. Wpędzisz się w chorobę! Bo zresztą nikt rozsądny — nie wynajdzie w twym życiu powodu do desperacji.

— Przestań grać — a będę szczęśliwa.

— Moja droga — zapewnij mi ze czterdzieści tysięcy rocznej renty — to grać nie będę. Ciekawy jestem, z czego będę żyć — bez kart. Chyba nie z porucznikowskiej pensji, ani z tych kilkuset koron, co mi ciotka daje.

— Weź dymisyę — i zabierz się do pracy.

— W Ameryce — dokąd byłybyście rade mnie wysłać.

Ale ja lubię Wiedeń — i za wami bym zanadto tęsknił. Jestem teraz w wenie. Nie uważasz — żeś mi nie dała grosza od wiosny — a patrz!

Wyjął z kieszeni garść złota — i potrząsał w dłoniach.

— Więc wykup naszyjnik, lub zresztą oddaj mi nań kwit. W Nicei — zimą — muszę go mieć.

— Mało masz klejnotów!

— Ja nie mam ani jednego. Wiesz, że te szmaragdy Ossoryów — rodzinne! Jeśli mi nie oddasz — wyznam wszystko hrabiemu.

— Uspokój się. Odniosę ci ten naszyjnik tymi dniami. Słuchaj — a cóż Van Zuilen? On szaleje za tobą — chłop zdrów, jak byk — no, i kupiłby piędziesięciu Ossoryów!

— Ale ja już nie jestem na sprzedaż.

Fred skrzywił się — zniecierpliwienie przeszło mu po twarzy — ruszył ramionami — i wstał.

— Ciotki pewnie nie zobaczą — co i owszem. Wiesz co, przyślij po mnie pojutrze twój samochód. Przywiozę naszyjnik. No, Marto, daj się przebłagać. Fred jest urwisz — ale cię kocha! No — nie gniewaj się!

Umiał być przymilny i serdeczny — objął ją w pól, pocałował, głaskał po włosach.

Zarzuciła mu ręce na szyję.

— Fred! — szepnęła z głębi serca — powiedz — zem ci dobra była, żeś czuł moje serce! Że wierzysz w nie, że ci potrzebne!

— Doprawdy — nie umiałbym bez ciebie się obejść. Wiesz, oprócz ciebie — nie uznaję kobiety. — Słuchaj — a żebyśmy tak machnęli się samochodem — gdzie na

południe — na jaki tydzień. Jestem strasznie zmęczony — czuję, jak mi to dobrze robi.

— Owszem. Gdzieżbyś chciał?

— Do Abbazyi chociażby. Przekonaj ciotkę — żeby cię puściła. Pojutrze się umówimy o termin. — Pożegnał ją i wyszedł. Fiakier nań czekał przed bramą — wsiadł — i spostrzegł Tomka, który już przebrany — szedł też ku miastu.

— Dokąd? — spytał go Fred.

— Pogapić się.

— Siadajcie ze mną. Pogadamy i wypijemy butelkę na nową znajomość. Pasyami lubię wasz fach, a że właśnie targuję samochód, dacie mi zdanie o maszynie.

Nazajutrz Tomek cały dzień był zajęty w garażu, a skończywszy robotę — ledwie się umył i przebrał — zawołano go do hrabiny.

Przyjęła go w gabinecie, spytała, czy nie potrzebuje pieniędzy na reparacye — a wreszcie po chwili milczenia — rzekła, podając mu kartkę.

— Pojedziecie jutro o dwunastej pod tym adresem. Mój brat ma kurs do zrobienia i tu go przywieziecie. Może za dni kilka pojedziemy do Abbazyi. Bratu nie mówiłam waszego nazwiska, myślę, że tak lepiej.

Tomek milczał — rozważając.

— Porucznik von Treuzner dziś w nocy zaprowadził mnie do cyrku, potem do knajpy na kolację. Nie byłem pijany, gdyż mam bardzo mocną głowę — ale dużośmy pili, i zupełnie bez potrzeby — powiedziałem, jak się nazywam. A zresztą — może i lepiej! — dodał, ruszając brwiami —

będzie wiedział, z kim ma do czynienia.

Tak — Fred na dźwięk nazwiska, ledwie pohamował wrażenie, ale gracz to był wytrawny nie tylko na zielonym stole, i niczem się nie zdradził. Tylko Tomek, jakby tknięty natchnieniem — na dalsze pytania odpowiadał niejasno — symulując pijaństwo.

Zostawszy sam Fred długo i dużo myślał o jedynej rzeczy, która dlań była treścią i celem życia: — Posiadaniem nieprzebranej kopalni pieniędzy — i użycie ich na zbytek, i grę hazardową, bez przerwy — bez troski o przegraną.

Środkiem do dopięcia tego celu mogła być siostra, a raczej jej wielkie do niego przywiązanie. Oddawna Fred z niej żył. Zrazu z jej pracy, zarobku i wpływu na zamężną ciotkę — potem wyzyskiwał wielbicieli jej piękności, następnie hrabiego — teraz jej stosunki, wpływy, i materialne środki. Czuł jednak, że to źródło się wyczerpuje, i należało obmyśleć plan dalszy — zupełnie nowy. Plan ten Fred od pewnego czasu miał już w głównych zarysach. Milionowy bankier, żyd holenderski — poznał zimą hrabinę — i wyznał mu — że za jakąkolwiek sumę — tę kobietę chciał dostać.

Fred był u niego na żołdzie, ale dotychczas bez żadnego rezultatu. Hrabina nie chciała rozwodu, a pod grozą hańby i samobójstwa Freda, po jakiejś grubej przegranej w klubie dała mu wprawdzie w zastaw naszyjnik Ossoryów — ale doprowadzona do ostateczności — gotowa była raczej wyznać wszystko mężowi — niż dać się dalej wyzyskiwać.

Wtedy Fred w swej pomysłowej głowie ułożył plan

mistrzowski — i gdy mu powiedziano rano, że samochód czeka — zeszedł — i rzekł do Tomka:

— Możecie tu zostać. Pojadę sam, i wrócę za godzinę.

— Pan wybaczy, ale nie zostanę. Jestem odpowiedzialny za maszynę! — odparł Tomek.

Piękne oczy porucznika zabłyśły złowieszczo, ale się pohamował i siadając, rzekł z przekąsem:

— Zapredaliście się hrabiemu całkiem. No, w każdym razie, sam poprowadzę — bo nie znacie miasta.

Tomek ustąpił mu miejsca.

Stanęli przed pysznym hotelem. Fred zabawił tam godzinę — wyszedł w towarzystwie opasłego, starszego już mężczyzny — pojechali razem do wielkiego sklepu jubilerskiego — i po małym czasie wsiedli obadwa do wnętrza powozu, i Fred wydał rozkaz szoferowi po angielsku.

— Nie rozumiem! — rzekł Tomek.

— Jedźcie na Ringi — a dalej wam wskażę! — powtórzył po niemiecku.

Odtąd rozmawiali spokojnie i bezpiecznie po angielsku, a mieli dużo do mówienia, bo trzy razy okrążyli Ringi — zanim Fred zatrzymał samochód przed restauracją, dokąd się udali na śniadanie.

Dziwnie wyglądał oczekujący szofer. Siedział jak zahypnotyzowany, zapatrzony w próżnię, blady, zmieniony — przeżył przez tę godzinę — lata. Nie były to już marzenia, które snuł, ani bajki roił — stał przed straszną rzeczywistością — szarpany tysiącem szalonych pomysłów — zmagając się — w rozterce i chaosie myśli i uczuć.

Gdy dwaj panowie wyszli syci, podnieceni winem — z cygarami w zębach — uosobienie dobrobytu, wykwintu i światowej elegancyi, prawica szofera sięgnęła do kieszeni — ale nie znalazła rewolweru, szczęściem — i Tomek się opamiętał, aż mu z wrażenia zimny pot wystąpił na czoło.

Tamci się pożegnali energicznym uściskiem dłoni — i stary grubas rzekł:

— A zatem — do miłego widzenia w Abbazyi.

Ani przeczuwali, że musnęła ich prawie śmierć.

— No — teraz — marsz do hrabiny! — zakomenderował Fred — i bardzo zadowolony z czynów tego dnia, gwizdał przez zęby.

Pierwszy raz w życiu Tomek poczuł potrzebę przyjaciela, doradcy, chociażby porządnego człowieka, przed kimby mógł się wygadać i usłyszeć cudze zdanie, inny punkt widzenia. W rozterce swej doszedł do tego, że chciał iść — i wszystko wyznać panie von Treizner, chciał jechać do hrabiego, i — chciał pisać do — Maleckiej — wreszcie błysnęła mu myśl genialna — i wysłał do malarza Plichty następujący list:

»Szanowny Panie. Poznałem już pannę von Treizner — i porucznika Freda — a co ważniejsze, znam jego zamiary.

Człowiek ten ma sprzedać siostrę bankierowi von Zuilen — za określoną sumę — na conto której teraz tu używa i gra. Nie mogąc pozyskać hrabiny — ułożyli na spółkę następującą pułapkę: Hrabina zeszłego lata dała bratu naszyjnik rodowy Ossoryów, aby uratować tak zwany jego honor w chwili grubej przegranej. Naszyjnik ten przeszedł dziś w posiadanie bankiera.

W tym tygodniu hrabina z bratem jedzie do Abbazyi, gdzie spotkają von Zuilen'a. Czy mam ukraść u bankiera naszyjnik, czy zamordować tego brata — czy samemu sobie w łeb palnąć? Jestem sam na świecie, i dotychczas umiałem tylko być pasożytem, i egoistą — więc nie dziw, że nie mogę się połapać, jak postąpić — w zupełnie nieznanem mi położeniu, a czuję, że pan zrozumie mnie i doradzi. Przeto odpowiedzi z niecierpliwością oczekuję!«

Odpowiedź przyszła nadzwyczaj prędko. Na czwarty dzień, gdy nazajutrz miał zadysponowany wyjazd do Abbazyi — dostał na posterestante list i cały dygocący czytał:

— Nie zabijaj, nie kradnij — ale daj świadectwo prawdzie. Wyznać musisz, ale komu?

To już sam wybierz. Obydwie te kobiety cię znienawidzą — żeś odkrył wstyd i hańbę ich rodu, ale hrabina stokroć bardziej cię znienawidzi — boś odkrył jej słabość. Możeby ci łacniej wybaczyła — żebyś jej wyznał — ale nie potrafi się uratować. Nie daruje ci nigdy — jeśli wyznasz starej — ale ta ją z tego błota wyciągnie.

W każdym razie, Fred albo się dowie, albo się domyśli, kto mu szyki pomieszał, i ten ci też tego nie daruje. Kuli jego się nie lękaj — bo tchórz — ale jak gadzina cię ukąsi śmiertelnie — więc się strzeż.

Przeczytał Tomek, pomedytował — i zameldował się do panny von Treizner.

Gdy wyszła do niego — miała na twarzy zwykły kamienny spokój i chłód, który mroził i krępował. Ale Tomek miał w sobie nie bylejakie zuchwalstwo — i nie

strwożył się, ni zająknął.

Krótko, bez żadnego wstępu ni omówień sprawę zdał — jak raport, bez żadnych własnych uwag na końcu.

Nie patrzył na nią — a skończywszy — nie czekał odpowiedzi — uklonił się — i wyszedł. Dopiero za drzwiami czoło z potu otarł — i odetchnął głęboko.

— Przedewszystkiem stracę posadę — pomyślał — wychodząc na podwórze.

Upłynęła może godzina, gdy go znowu wezwano do gabinetu.

Panna von Treizner siedziała u biurka zajęta pisaniem. Twarz jej niknęła w cieniu abażuru lampy, ale głos był niezmienny — równy, spokojny, zimny.

— Samochód jest w gotowości? — spytała.

— Tak. Jutro o południu, mam zadysponowaną drogę do Abbazyi.

— Jutro o dziesiątej rano macie być przed gankiem. Hrabina jedzie ze mną do Nicei.

Ogarnęła go — jak płomień — szalona radość i spytał — bez namysłu.

— Wowo też?

Nie odpowiedziała, trafił go rzut oka ostry, jak policzek, na ten dziki koncept. Po chwili rzekła powoli.

— Wasze doniesienie pozostawiłam w mojej tylko wiadomości. Nie macie żadnych żądań?

— Ja! — zachnął się. — Jak pani to rozumie?

— Ano — nagrody!

Zaśmiał się.

— Wątpię, czy jest suma na to wystarczająca, więc

ofiaruję gratis. Zaręczam również, że wiadomość zatrzymam tylko dla siebie.

Wyszedł, ale kipiący wściekłością.

— No — spróbowałem jednej nienawiści — zawszeć lepiej — że nie ona! A przecie — pobiłem bardzo sprytną grę. — Beispiel Freda.

*

*

*

Na grobie doktora Tomasza Gozdawy głaz leżał nieociosany — i bezkształtny — jakie się spotyka po naszych miedzach — i rosła brzoza — z takich — co rosną przy naszych drogach polnych — i drewniany krzyż miał w głowach swej trumny.

Tylko słońce nad nim stało pałające, południowe — i zielone jaszczurki wygrzewały się na głazie i nie świergotały w błękicie skowronki.

Nieruchoma, jak posąg, siedziała na kamiennej ławce przy grobie panna von Treizner. Pęk mimozy złożyła na głazie, i już godzinę trwała w zamyśleniu i jakby oczekiwaniu — na coś czy na kogoś.

Jej martwa twarz nabrała jeszcze bardziej twardych linii — ale oczy były jakby trwożne, gorejące niepokojem, grozą.

Cmentarz był pusty — i cichy — więc z daleka dosłyszała szelest kroków — i przeszło ją drzenie.

Na zakręcie ukazał się Tomek. Pomimo upału miał szyję okręconą szalem, i szedł powoli i ciężko, jak człek bardzo osłabiony.

— Stało się? Wzięto go? — spytała szeptem.

— Nie. Odstawiłem go do Genui — i nie znajdzie go nikt. Mogą panie odetchnąć spokojnie.

Potrząsnęła głową.

— Dla nas już oddawna niema spokoju i nie będzie. Opowiedz mi pan naprawdę — jak to było.

— Poco? Hrabina musiała pani mówić.

— Marta dogląda rannego męża.

— Więc jeden strzał był z jego ręki? Myślałem... — zaciął się i poczerwieniał.

— Dokończ pan. Myślałeś, że tylko kradł. Przecie przed tygodniem strzelał do pana.

— No — był wtedy bardzo podrażniony, bo się dowiedział, że to ja podsłuchałem i pani powtórzyłem jego rozmowę z von Zuilen.

— Hrabia ciężko ranny?

— W ramię — ale życiu nie grozi niebezpieczeństwo. Hrabina mi nic nie mówiła. — To była chwila. Stałem z samochodem przed willą — widziałem, jak porucznik wszedł — posłyszałem dwa strzały i nagle on wyskoczył z okna — wpadł na mnie — i bez tchu powiada: hrabia, chciał mnie zabić. Chciał widocznie porwać samochód — i zmykać. Odrzuciłem go — wiem w oknie ujrzałem hrabinę. Dała mi znak — ucieczki — więc go wciągnąłem na siedzenie — i ruszyłem. Tyle wszystkiego. — Wróciłem tu wprost pod bramę cmentarną — jak mi to pani nakazała

onegdaj — spóźniłem się tylko trochę.

— Tak — chciałam z panem tu pomówić. To było po jego zamachu na pana życie. Teraz przybyło to drugie. Musimy sobie wszystko powiedzieć. Jesteśmy panu zawiele dłużne. Należy się panu zupełne wyznanie.

— Ja go nie żądam — a że nie lubię fałszywych pochwał słuchać — odrazu wyjaśnię moje pseudo-poświęcenie. Nie jesteście mi nic dłużne. Co czyniłem, czynię i czynić będę dla was, jest najpospolitszy egoizm. Dogadza mi i sprawia największą przyjemność — służyć hrabinie. Po co mam zresztą szukać omówień: kocham ją do zapamiętania. Zuchwałe to — ale prawda — i pani mogę powiedzieć. Więc niepotrzebne mi pani wyjaśnienia. Kochając — patrzałem, badałem, obserwowałem. Klęską i klątwą jej życia i pani — jest ten nieszczęśliwiec. Rad jestem, że mnie zranił, rad, że się targnął na hrabiego — to go ostatecznie usunie z widowni waszego świata, a nie uczyni rozgłosu, ani się oprze o kryminalny sąd. Wrócić on nie może, jesteście uwolnione od zmory — dobrze się stało.

— A pan?

— Tu o mnie nie chodzi. Ważniejszą jest jeszcze sprawa do załatwienia. Naszyjnik jest dotąd w rękach von Zuilena, i musi być odzyskany. Hrabina w tem występować nie może — pani to musi wziąć na siebie. Napisać list, przyznając naszyjnik jako swoją własność i pytając, w jakiej cenie został przez pana Alfreda zastawiony.

— Zrobiłam już to. Odpisał, że mu się należy sto tysięcy koron.

— Szantaż!

— Zapewne. Jesteśmy bezbronni.

— Więc pani nie zapłaci?

— Skąd. Nie mam na to środków.

Spojrzał na nią bystro.

— Mówmy wszystko, szczerze. Pani jest Barbara Tryźnianka — ja jestem Tomasz Gozdawa.

Nastała chwila milczenia. Oboje patrzyli na głąz nagrobny — i Tomek zaczął twardo:

— Daleko jeszcze do terminu naznaczonego wolą stryja, ale ja już teraz rezygnuję z próby — i sądu pani nad sobą nie potrzebuję, bo rozumiem, co — taki jak on — nazywał człowiekiem. Byłem złym synem, złym bratem, złym przyjacielem. Rządzi mną szal lub fantazyja, gwizdzą na wszelki obowiązek, przymus, zasady i prawa. Niech więc kapitałów stryja dla mnie nie zachowuje. Może je pani śmiało użyć na odebranie naszyjnika od tego plugawego starego rozpustnika. Postanowiłem sobie kiedyś, że hrabina przezemnie będzie miała uciechę. Niech pani jej odda naszyjnik — niech jej smutne oczy się rozjaśnią.

Kobieta oczu nie podnosiła od grobu i milczała. Myślał, że się waha, że zostanie przekonana, więc dalej mówił:

— Stryj pisał o mnie — że jestem zły, a zatem mogę być dobrym, ale tak nie jest. Na zły czyn wystarczy chwili — w dobrem trzeba trwać — a ja tego nie potrafię. Zresztą na moim rachunku jest już gałgaństwa dosyć przez te dwa lata, a dorobię niezawodnie więcej. I żeby być szczerym do końca — i żeby pani resztę skrupułów usunąć — to niech pani wie — zem tę problematyczną sukcesję już sprzedał łatwowiernej, ufnej kobiecie. Więc niech mnie pani —

wykreśli jako spadkobiercę.

Panna von Treyzner podniosła głowę — spojrzała nań.

— Na mnie kolej wyznania. Przedewszystkiem — nie ja decyduję o wypłaceniu tego funduszu. Jest w moim zarządzie przez dziesięć lat, a potem otrzymam instrukcję, co mam z nim uczynić. Powinnam panu me życie opowiedzieć w stosunku do zmarłego. Poznałam go...

— Nie, pani — ani pani mi nie powinna mówić, ani mnie godzi się słuchać. Zamało wart jestem — i nie mam żadnego prawa życia stryja jakby sądzić. To, co do nas napisał, było, niestety — gorzką prawdą — fundusz jest jego — nie naszą własnością. Żeśmy go nie dostali — było to katastrofą — ale myślę, że gdybyśmy go dostali — nie lepiejbym się pokierował — i dotychczas jużby był zmarnowany. A teraz jeśli go użyć nie można dla szczęścia hrabiny — mało on mnie obchodzi.

Ruszył po swojemu urągliwie ramionami i odzyskując swe zuchwałstwo, dodał:

— Znajdę sposób — wydrzeć tę grabież z paszczy tego starego Fauna. Czy pani ma mi co jeszcze do powiedzenia?

— Co pan myśli dalej ze sobą czynić?

— Służyć hrabinie.

— W jaki sposób?

— O — niech mnie pani nie posądza o jakieś marzenia i głupie nadzieje. Należę do ludzi wstydzających się żebrać — i nawet w szaleństwie trzeźwych. Zresztą zupełnie mi wystarcza moja rola szofera — i tem pozostanę. Nawet takie uczucie — niedbałej mej naturze zupełnie dogadza, a jako zupełnie nowe — zajmuje i bawi.

— Nie rozumiem pana.

— Ja siebie też nie — ale to rzeczy nie zmienia — bo tak jest. Tyle razy pożądałem, zdobyłem — i nie miałem setnej części tej uciechy — jak teraz, gdy ani myślę o zdobywaniu, o posiadaniu, a jak w tej chwili bardzo prozaicznie o wymuszeniu naszyjnika, żeby go jej oddać — bez żadnej nagrody.

— A wie pan — że tak czyni ten, którego doktor Tomasz nazywał człowiekiem — i takie uczucie — on przeżył. I wie pan — że kto tak był kochany — nie zrozumiał, nie odczuł, nie ocenił — potępiony jest — nieszczęsny — i biada mu!

— Widzi mi się, że pod tym względem z panią się nie zgodzę — albo też inaczej, niż stryj czuję. Hrabina nie jest przecie obowiązana mnie kochać dlatego, że sobie bożyszczę z niej uczynił — a może nawet, żeby zesłała z piedestału — straciłaby w mych oczach.

Panna von Treyzner spojrzała nań — jakby napół zgorszona, napół zdziwiona.

— Słuchając pana, nie trudno uwierzyć w wielkość tego kultu, i zdaje mi się — że pan w gruncie rzeczy istotnie ma tylko zabawę — rzekła ze smutnym wyrzutem. — I tem lepiej — dodała — wstając.

Ruszyli ku wyjściu.

— Ja się często sam dziwię — jakim cudem pozostała we mnie możność odczuwania ideału. Przecie jestem dzieckiem chwili, które plwa lub drwi na wszystko bez wyjątku. W tem wzrosłem, to słyszałem, czytałem, wśród takich obcowałem i takim byłem. To, co teraz czuję —

kryję — czasami nawet przed sobą samym — przed krytyką mózgu — przed cynizmem myśli — przed swawolą swej fantazyi. Trudno nam się porozumieć z sobą — i pani może mnie nie pojmie, gdy powiem, że żyję tylko dzięki moim wadom. Żebym miał cnoty — nie mógłbym istnieć.

— Paradoks — rzekła.

— A jednak owe wady chronią mnie od rozpacz, beznadziejności, smutku i goryczy.

— Myli się pan — tamten nic nie szanował, plwał i drwił — nie ochroniło go to!

— Tamtego zgubiła słabość siostry, otoczenie i namiętność do zbytku. On nie był zły — tylko nikczemny. Żeby go hrabina nie tak kochała — nie spadłby na zawrotną pochyłość — i nie byłby teraz na dnie.

I stanęli u bramy cmentarza, gdzie czekał kurzem okryty samochód.

Zatrzymała Tomka ruchem ręki — i rzekła, patrząc mu przejmująco w oczy.

— Czy pan myśli, że ja hrabinie powtórzę to, co od pana słyszałam?

— Mam nadzieję, że nie.

— Dlaczego? Może mi to pan w tym celu mówił.

— A może pani mnie o to pyta — na próbę, jak daleko sięga moje zuchwalstwo.

— O bardzo daleko, ale nie w tym kierunku. Tam przy tym grobie byliśmy równi — i załatwiliśmy sprawę, którą trzeba było wyjaśnić. Tu — jestem Tom, szofer hrabiego — i dokąd pani każe się zawieźć?

Otworzył jej drzwiczki — zajął swe miejsce — ruszyli

ku miastu.

Dojeżdżali już do willi, gdy jakiś przechodzień zaczął machać kapeluszem i wołać.

Obejrzał się Tomek i maszynę zatrzymał, bo poznał Plichtę.

Malarz podszedł zadyszany i powitał pannę von Treyzner odrazu szczerem zapytaniem.

— A hrabina?

— Jest. Mieszka z mężem — tu opodal willa Costanza — ale hrabia miał wypadek z bronią i chwilowo nie przyjmują.

— No, to ja tymczasem pogawędzę z waszym szoferem, ho stęskniony jestem za swoją gwarą. Pani się dziwi, że go znam — ano pokumaliśmy się w Lugano. Nieprawda, jak on do doktora podobny?

I nie troszcząc się dalej o zgorszona damę — siadł obok Tomka, i jakby się wczoraj rozstali, zaczął gawędzić.

Gdy przed willą panna von Treyzner wysiadła, spytał konfidencyjnie:

— Zawracanie głowy z tym wypadkiem z bronią. Pewnie jakaś sprawka szwagierka?

— Niema go w Nicei — odparł Tomek wymijająco.

— A wy czemu w bandażach? Mieliście wypadek z samochodem?

Tomek się roześmiał.

— Kiedy pan tak ciekawy — to proszę poczekać, aż maszynę schowam, o rozkazy spytam i jeżeli się uwolnię, pójdziemy do kawiarni.

— Bene — idę naprzód — tam na rogu czekam.

W pół godziny potem siedzieli naprzeciwko siebie i Tomek mówił:

— Przedewszystkiem dziękuję panu za radę, była wyborna. Zamiast do Abbazyi z Fredem przyjechaliśmy tu — z ciotką — i był czas jakiś spokój. Potem zjechał hrabia.

— A ruda jest?

— Zamieszkała w Beaulicu, o nią mniejsza. Ale zjawił się Fred, wściekły. Musiały mu sprawy mocno się popsuć, a do siostry miał dostęp utrudniony, bo bez ciotki lub męża wcale nie wychodziła. Tydzień temu spotkał mnie na spacerze z Wowem. Pies mnie lubi i hrabina kazała mi codzień z nim chodzić nad morze. Było za miastem, pusto, szedłem nad samą wodą. Patrzę, Fred przedemną. Poczuję awanturę w powietrzu, idę z ochotą, a on bez żadnego wstępu podnosi laskę:

— Tyś tę starą na mnie poszczu! — mówi.

— Ja! — odpowiadam.

Zamachnął się na mnie laską, wyrwałem mu ją, rzuciłem precz, a tu Wowo chwycił go za łydkę.

Wrzasnął, wyjął rewolwer z kieszeni, byłby psa zastrzelił, więc skoczyłem do niego, uderzyłem po rękę, i dostałem kulę w szyję — niebardzo — ale krew jak bryznęła, przestraszył się i drapnął. Szczęściem, nie było żywego ducha.

— No, i pies hrabiny został uratowany! — zaśmiał się Plichta.

Zaśmiał się i Tomek.

— A tak! Okręciłem szyję chustką i naturalnie nie pisałem słowa o całej sprawie. Nazajutrz każą podawać

samochód — hrabia pyta, gdzie się okaleczył — powiadam ni to, ni owo — ale wieczorem bierze mnie ciotka na spytki, więc powiedziałem, jak było. Jak pan uważa, wziąłem ją sobie za powiernicę stałą.

— No, pewnie. Wowo waszych ofiar i poświęceń nie powtórzy hrabinie. I Fred się więcej nie pokazał? Bądźcie ostrożni — on was gotów poczęstować trafniej z za węgła.

— Co mu z tego przyjdzie!

— Jakto! Po pierwsze, przeszkadzacie mu, bo znacie jego umowę z tym bankierem. Po drugie, bronicie hrabiny i nie dacie się kupić, a po trzecie, możecie go za ten strzał zaskarżyć do policyi. Zresztą, to człowiek, który widocznie jest na pochyłości zbrodni. W Wiedniu podobno już się pokazać nie może. Co będzie dalej robić? Z czego żyć i używać? Te kobiety są strasznie nieszczęśliwe. Nie zażegnają skandalu!

Tu Plichta począł głową chwiać w zamyśleniu i filozofować.

— Psu na budę się nie zda bogactwo.

— Nieprawda! — zaprzeczył Tomek — żebym teraz miał fundusz...

— Myślisz, że wykupiłbyś hrabinie naszyjnik, i ją za to dostał. A ja ci mówię, że wtedy takbyś jej ciężył, jak tamci, którzy ją kupowali, dla ratowania Freda...

— Wcale bym jej nie myślał dostawać — ale niechby miała spokój!

— Do nowego skandalu z lubym braciszkiem. Wiesz, czem się to skończy? Hrabia się w to wda i Freda, jak psa zastrzeli.

— Co pan mówi. I potem żyć ze sobą będą!

— Ani lepiej, ani gorzej, jak żyją teraz.

Tomek się wzdrygnął. Myśl ta przychodziła mu nieraz, grozą przejmując.

— Albo on zabije hrabiego! — szepnął.

— Może, jak sobie to sprytnie ukartuje. W każdym razie, wy się strzeżcie.

Tomek ramionami ruszył, i powstał.

— Nie osierocę nikogo! — mruknął, żegnając malarza.

Ogarnęła go fala smętku, zniechęcenia, goryczy. Przytem jakaś nieokreślona tęsknota. Minął willę, i ruszył powrotną drogą ku cmentarzowi. I powrotną drogą w minione poszły myśli.

Przypomniał sobie przyjazd z ojcem tu przed dwoma laty, tylko przed dwoma, a to tak daleko, i tyle te lata w sobie zawarły.

Odnalazł willę, w której stryj umarł — i wszystkie w niej przeżycia. Jakże on się zmienił! Przecie teraz ani razu nie był w Monte-Carlo, nie grał, nie włóczył po gabinetach kokot, nie bawił się, ani używał. Zarobione pieniądze miały inną wagę, czy też on nie miał dawnych gustów.

Ojca też wspominał i wszystkich najbliższych. Biedny stary! Tomek odczuł żal i wstyd, nie szukał dla siebie wytłómaczenia. Teraz inaczejby było! A stara gdzie, nad kim płacze i lamentuje teraz. Szura i Terkę widział kiedyś zdaleka i nawet się nie zbliżył. Teraz żałował, że o matkę nie spytał, i postanowił posłać jej kilkaset rubli, własnych, zarobionych.

Wydostał się z gwarnych ulic, i zaleciał go powiew

ciepły i wonny od ogrodów.

Wiosna już i tam nadchodzi — w Zagajach pługi na polu — i runie »ruszyły«. Po co on się wdawał w interesa, możeby stary z Władkiem dotąd kręcili — i trwali.

Winien był, winien, i zło, co zrządził, nieodwołalne, niecofnione.

Przegrał życie, jakby to był blaszany guzik, a on urwisz rynsztokowy.

Potępia Freda, a on co lepszego! Żył, na cudzy koszt, rodzinę skrzywdził, a sam póty łajdaczył, póki go to bawiło. Teraz statkuje, bo nie ma kogo wyzyskiwać i...

Tu Tomek rzucił się na jakiś skłon góry i miał ochotę wyć, taka go porwała rozpacz i żądza, i długo tak leżał w męce! Miał ochotę, żeby go Fred zabił, a potem żeby Freda za to ścięli, najdziksze mu przychodziły pomysły, ale w końcu każdego widział beznadziejne smutne oczy hrabiny — i przekonanie, że to wszystko na próżno!

Zerwał się, i poszedł dalej, do cmentarza. Musiał się ze stryjem rozprawić. Odnalazł grób i zmarłego miał w pamięci z rysunku Plichty.

Usiadł tedy na głazie.

Właściwie, kto pomnik położył, drzewo posadził, ktołożył na staranne utrzymanie?

Jeśli panna von Treyzner była Barbarą Tryźnianką, kto była druga, której tej miała przysłać po ośmiu jeszcze latach swe zdanie i sankcję, co do wypłaty owego funduszu!

A zresztą, po co ta ciekawość. Ośm lat takiego życia nie wytrzyma, ani on, ani hrabina, no i hrabinie nie pieniędzy trzeba, ale najlepiej, rychłego grobu, bo innego wyjścia i

wyzwolenia dla niej niema. A pieniądze stryjowskie niech dalej utrzymują przy życiu pokolenia rachitycznych dzieci, w zakładzie panny von Treyzner.

Ale on po co tu potrzebny? Fred musi zniknąć, a hrabia jak wyzdrowieje, i dowie się, że mordercę jego własnym samochodem uwiózł, conajmniej, ciśnie mu roczną pensję i precz każe iść, a potem co? Iść na szofera i tłuc się po Europie, z cierniem w sercu, i nudą śmiertelną.

Czuł, że jest w nim coś zepsutego, połamanego, coś działającego wadliwie, ale co właściwie szwankowało, tego wyczuć nie umiał. Jednakże takie ludzkie wnętrza stokroć bardziej skomplikowane od samochodu, powinien człowiek je znać, a nic nie rozumie!

Tu Tomka porwała złość do zmarłego. Po co mu głowę zawrócił tem człowieczeństwem, i jakieś nadzieje w nim pokładał.

Niech dyabli wszystko porwą im dalej, tem głupsze ma myśli i wróble mu się lęgną w głowie. Jak go hrabia wygoni, nic więcej robić nie będzie. Głupi był interes z portretami i z Malecką, gałgański z Remiszem, podły z Żeraniem, a koroną idiotyzmu hrabina. Po co ma czekać rozprawy z hrabią, idzie do willi, i sam dziękuje za posadę. Szoferów nie brak, a on ma dosyć tej imprezy.

Zerwał się i zawrócił z powrotem, całą drogę buntował się w tym kierunku i gdy stanął w swym pokoju, zaczął manatki z pasyą wrzucać do kufierka i zameldował się hrabinie.

Wyszła do niego blada, mizerna, jak po ciężkiej chorobie, i bezdźwięcznym głosem spytała, czego

potrzebuje.

— Dokumentów i uwolnienia — chciał powiedzieć, ale powiedział, jękając się:

— Chciałem zapytać, czy — mógłbym — czem usłużyć? Zbliżyła się do niego, wyciągając rękę.

— Dziękuję panu, tak bardzo. Ciotka mi wszystko opowiedziała. I, nie mogę się opamiętać, że ktoś dla mnie dobry!

Nie zaraz odpowiedział — i ręki nie dotknął.

Zahuczało mu w głowie, krew warem zakipiła, zęby się ścięły nerwowo. Żeby uległ — toby ją wziął na ręce i jak zdobycz uniósł — ale się pohamował widokiem jej smutnych oczu i wrodzoną hardością.

Na tyle się zmógł, że nawet zdobył się na uśmiech lekceważący.

— Niech też mnie pani hrabina nie przecenia. Co znowu! Daleko mi do dobrego — i nie przyszedłem po podziękę. Nie było żadnej kwestyi z policją, żadnych podejrzeń?

— Nie! Doktor znajomy — Polak.

— A chory? Lepiej?

— Niestety — raczej gorzej. Na jutro umówione konsylium.

— Możebym mógł w nocy czuwać — wyręczyć?

— Owszem — dziękuję panu.

Więc od wieczora, Tomek zainstalował się obok pokoju rannego, i czekał na rozkazy. O północy panna von Treyzner skinęła nań przez drzwi.

— Proszę — zostań pan. Hrabina musi spocząć — a chory zdaje się spać spokojnie. Gdyby co zaszło

niepokojącego — będę tu w sąsiednim pokoju.

— Dziękuję panu! — szepnęła hrabina — o trzeciej pana zmienię.

I pozostał sam. Półcień panował w pokoju i ledwie widniał kształt ludzki w wielkim łożu — wysuniętem na środek.

Usiadł tedy z boku — i minęła w wielkiej ciszy długa chwila. Nagle drgnął na głos stłumiony.

— Gozdawa, usiądź bliżej — tuż — żeby stara nie usłyszała. Rad jestem, żeś tutaj.

Zbliżył się do chorego — i pochylił się nad nim.

— Siadaj — słuchaj. Ja jestem skończony.

Tomek się zachnął — hrabia położył mu rękę na ramieniu.

— Cyt — co to może ciebie wzruszać, kiedy mnie ani trochę. Nie uwierzysz, od jak dawna już mnie wszystko nudzi i jak mi się niczego nie chce. Zresztą — przedemną był już tylko paraliż postępowy — więc — wolę prędszy skutek. Krew mam tak popsutą — że byle skaleczenie, to — caput. Nie mam ochoty się męczyć, i chcę parę rzeczy uporządkować. Usłuzysz mi, nieprawdaż?

— Co będę mógł — zrobię.

— All right. Ilebyś chciał — żeby się ożenić z Mizzy? Nie — nie mam gorączki — mówię seryo. Chciałbym jej byt zabezpieczyć, ale ma stado łajdaków w rodzinie, którzy ją ograbią.

Nie mam szczęścia do rodziny moich blizkich — zaryhotał zcicha, szyderczo. Tylko tamci nie mieli interesu w mojej śmierci — i byłem od nich bezpieczny — a ci się

okpią.

Testament mam zrobiony zawczasu.

Tomek zacisnął pięści, że mu paznogie wrzynały się w dłonie — ale milczał.

— Cóż, namyśl się. Dam dla Mizzy do stu tysięcy koron. Zrobisz karierę, chłopcze.

— Jakto? Przecie muszę się za to z nią ożenić.

— Rozumie się. Dostaniesz list do mego rejenta w Wiedniu — i on ci po ślubie zapłaci.

— A ona się zgodzi?

— Dlaczegożby nie?

— Ano, chociażby dlatego, że mogę po ślubie tysiące zabrać a jej pokazać figę.

— Mizzy da sobie radę z tobą.

— A fundusz pana hrabiego kto ma dziedziczyć?

— Siedmnaście osób dalekiej rodziny. Będą się procesować i drzeć o to — aż im nic nie zostanie. Żałuję, że tego widzieć nie będę.

— A pani hrabina?

— Pani brabina, jak zechce — może się z tymi siedmnastu też procesować. Ale to mnie nic nie obchodzi. Namyśl się nad moją propozycją — i podaj mi tu z biurka papier, tekę i pióro. Jutro rano zawieszysz list do Mizzy — do Beaulieu.

Tomek spełnił żądanie, i chory pisał dość długo.

Wyglądał bardzo źle — zmieniły go te parę dni straszne.

Gdy list skończył i oddał — upadł na poduszki zupełnie wyczerpany — twarz miał już trupią.

Ale mózg pracował i opanowywał ciało. Znowu zaczął

mówić, jakby do siebie, z jakąś zaciekleścią:

— Dosyć — że nie wołam prokuratora. Dla nazwiska milczę — chociaż nie warto. Chwili mi nie dała dobrej — za taką cenę! Chcę, żeby Mizzy przyszła — chcę ją widzieć. Jeśli im się to nie podoba — muszą milczeć — bo ja milczę o tym gałganie. Słuchaj — Gozdawa, zawieszysz list — i przywieziesz tu Mizzy. Muszę ją zobaczyć — i —
— —

Sięgnął pod poduszkę — dobył kluczyk.

— Otwórz ten kufer — tam pod biurkiem — na lewo znajdziesz kasetkę — podaj.

Tomek spełnił rozkaz. Kasetka była z czerwonej skóry — dość ciężka. Chory wsunął ją pod poduszkę.

— Dziękuję ci. Byłem z ciebie rad, i teraz bardzo mi jesteś na rękę. Masz to odemnie na pamiątkę.

Zdjął z palca pierścionek — i podał mu.

Tomek się o krok cofnął.

— Nie bój się. Prawdziwy szafir. Ja tylko fałszywe dawałem tam, gdzie Fred na nie czatował. Ten dobry! Ich kenne meine Pappenheimer! — śmiał się szyderczo.

— Dziękuję panu hrabiemu! — rzekł jakimś dziwnie radosnym tonem Tomek, biorąc pierścionek.

W sąsiednim pokoju rozległ się cichy krok — na progu stanęła panna von Treyzner. Hrabia oczy zamknął.

Kobieta zajęła miejsce w fotelu — dała znak Tomkowi, że może odejść. Wysunął się cicho. Za drzwiami ujrzał hrabinę.

Spojrzeli na siebie.

— Słyszała pani? — szepnął.

Skinęła tylko głową.

— Zatem i naszyjnik fałszywy — dzięki Bogu.

Wezwała go za sobą, do dalszych apartamentów — i tam padła na fotel, ruchem jakby najwyższego wstydu kryjąc twarz w dłonie.

I wtedy on wybuchnął — raz pierwszy jak równy do równej.

— Nie należy pani ten gest winowajczyni. Słyszała pani w tej chwili myśli i uczucia tego człowieka. Należą do tamtej. A pan Fred był jego spółnikiem. Pani była ofiarą swej siostrzanej miłości. To boli — rozumiem, ale to nie wstyd — człowiek za siebie tylko odpowiada. Jeśli hrabia naprawdę czuje, że umrze — nie pani go zabiła, ani nawet pan Fred — bo nie z rany on umrze, ale, jak sam uznaje, zakażenie całego organizmu. I śmierć jego nie jest dla pani korzyścią materialną — jak pani to słyszała — rad panią zgnębić niedostatkiem.

Czy panią to przygnębia?

Wyprostowała się — i spojrzała nań z błyskiem w oczach.

— Jakiem prawem pan mi to ciska w twarz?

— Tem prawem — żem pani sługa, i żem sobie postanowił — nie dać pani w tem bagnie zmarnieć. Zresztą teraz nie pora na rozprawę — trzeba działać.

Co mam czynić z poleceniem hrabiego?

— Jakiem? Co do małżeństwa z *tą*?

— O to nie pytam, bo to moja sprawa. Ale czy mam przywieźć tu jutro pannę Mizzy?

— O — mnie już wszystko jedno! Trochę mniej lub

więcej upokorzeń!

— W takiej chwili, to nie upokorzenie, to czyn wielkiej godności. Zawiozę tedy list i wezwanie — a panna Mizzy będzie tu o dwunastej.

— No — i ożeni się z nią pan.

— Za wielki ma posag — jak na żonę dla szofera — a ja swego fachu nie porzucę.

Na tę propozycję — nie odpowiedziałem hrabiemu, jakby się należało — bo chory — a pani również nie odpowiadam, bo w tej chwili — pani jest niepoczytalna, a ja już zanadto rozdrażniony.

Skłonił się i wyszedł.

Rano dowiedział się od służby, że hrabiemu się pogorszyło — więc — corychlej ruszył do Beaulieu. Ale tam nie znalazł panny Mizzy — pojechała na jakieś regaty do Cannes. Z tą wieścią wrócił do domu. Od hrabiego wychodziło dwóch doktorów — i posłyszał, gdy go mijali:

— C'est une affaire de trois jours.

— Il est fichu!

A zatem hrabia siebie dobrze znał.

Gdy mu zameldowano Tomka podniósł się — i oczami go pytał. Otrzymawszy wieść upadł napowrót na poduszki — i chwilę milczał.

— Regaty w Cannes! Prawda, zapomniałem! — zamruczał.

— Czy mam jechać tam?

Hrabia się skrzywił. Obojętniało mu wszystko.

— Jeśli ci pilno ją poślubić — to jedź! Mnie dziś wszystko głupstwo. Na regatach może nowego opiekuna

znajdzie.

Qui va à la chasse perd sa place.

Tomek cofnął się do drzwi — wtedy go odwołał.

— Szkoda ci maszyny pewnie? Prawda?

Darowałbym ci samochód, żebyś odnalazł Freda i jak psa zastrzelił. Tylko prędko, bo nie będę długo czekać. Nie myśl, że zły jestem na niego za to ostatnie. Pierwszej sztuki nie mogę mu wybaczyć. Dałem się okpić, jak fryc. Nie wiesz, gdzie się podział?

— Nie!

— No — to możesz sobie iść. Pinc jednakże był lepszy. Już cię nie potrzebuję.

Wyszedł Tomek i wałęsał się przed willą, paląc cygara, żeby zabić czas i myśli.

Wśród służby czuć było zbliżającą się katastrofę — panowało rozprężenie — panie wcale się nie pokazywały.

Wieczorem wezwano na nowo doktorów — wysłano kilka depez — a około północy zawołano Tomka do panny von Treyzner.

Wyszła doń zupełnie spokojna.

— Hrabia w agonii — rzekła zcicha. — Dałam znać krewnym do kraju, przybędą rano. My chcemy stąd wyjechać zaraz po pogrzebie, zupełnie incognito — i na jakiś czas bez śladu. Rozumie pan?

— Rozumiem. Samochód będzie gotów — proszę o adres — żebym drogę wiedział. Chodzi o pana Alfreda. Czy już się zgłasza?

— Był list. Hrabina nie chce go znać i widzieć. Panu ufam zupełnie. Na wieść o śmierci — on tu się zjawi,

będzie śledzić. Musimy się wymknąć niepostrzeżenie. Oto adres, dokąd chcemy jechać. Gdy nas pan tam odwiezie — wróci z samochodem do Wiednia — i będzie pan już wolny.

— Hrabina tam długo zostanie?

— Czas jakiś — niedługo. Potem wróci do pracy.

— Jakto?

— Do pracy na swe utrzymanie. Skończyła konserwatorium muzyczne. Będzie nauczycielką śpiewu i muzyki. Już teraz ta myśl jest jej jedyną pociechą.

Tomek głowę spuścił i ciężko dyszał, ale milczał — co mógł rzec?

Ale po chwili otrząsnął się z wrażenia.

— Niechże panie, co do pana Alfreda teraz będą spokojne. Nie dogoni on nas — ani wysłodzi.

Wyszedł i resztę nocy spędził szykując maszynę i notując punkty drogi. Nad ranem usłyszał w domu ruch niezwykły — i zrozumiał, że weszła doń śmierć.

Stanowisko jego nie dopuszczało do bliższego udziału w życiu chlebobawców — więc nie wiedział, co działo się w salonach.

Ujrzał tylko jakichś obcych dwóch panów, którzy zajmowali się sprawami urzędowymi, dawali rozkazy służbie, rozporządzali się z butą spadkobierców.

Roztropnie tedy usunął im się z oczu — i nie mając co robić — wałęsał się po ulicach. I oto — idąc ku przedmieściom już — nagle stanął jak wryty z podziwu. Naprzeciw niego szła — niemowa gospodyni stryja Tomasza, którą zostawił u Maleckiej w Drobinie.

I ona go poznała, bo rozjaśniła się na twarzy i

pozdrowiła ruchem głowy.

Ale nie zaczepiała, nie zatrzymywała, jakby nie chcąc się narzucać — usunęła się na bok. Podał jej rękę, pociągnął na pusty plac — do ławki, i tam rozpoczęli długą pisaną rozmowę.

Przybyła tu już dawno — bo tęskniła za grobem i nie chciała być ciężarem Maleckiej. Na podróż zebrała za koronki — i szycie, a tutaj — ciepło — życie mało kosztuje — zarabia trochę przy ogrodach kwiatowych.

Bardzo rada, że go widzi — zmienił się — jakby jeszcze urósł — Kret żyje, Zuzia wyjechała z rodzicami do Ameryki, Malecka bardzo pracuje w Zagajach — ma przekonanie, że on je odkupi — a jego matka dwoje wnucząt objeżdża i pielęgnuje, bo i u Szurów jest córeczka.

Potem spytała go, jak mu się powodzi — że myślała tymi czasy o nim dużo, bo spotkała dawnego pacyenta doktora Tomasza — fabrykanta samochodów — i ten poszukuje młodego człowieka, szofera gentlemana, do konkursów maszyn. Zaraz jej stanął w myśli, bo wie od Maleckiej, że pracuje w tym fachu — a to posada dobra — i w jego naturze.

— Stanę do takiej służby! — przeleciało mu błyskawicą przez głowę — a zarazem wielka chęć opowiedzenia tej kobiecie swych przeżyć — i zaczął pisać lakonicznie historię.

— Opuściłem najnikczemniej tych nieszczęsnych Remiszów — bom się zakochał w hrabinie — pastuch w królewnie — takie to głupie, że nawet terazniejsze dzieci, z takich bajek drwią. No — i byłem u hrabiostwa sługą — aż

oto dziś hrabia umarł — i jestem wolny.

— Czy pani zna — pannę von Treyzner?

Skinęła głową i pisała.

— Tak, zna. Doktor Tomasz ją uwielbiał wiele, wiele lat. Była piękna, rozumna, ale serce miała z kamienia, a raczej kochała jakiegoś kuzyna żonatego — gdy umarł nagle na polowaniu — poświęciła się dobrym uczynom i wychowaniu dwojga sierot po nim.

— I stryj jej zostawił swój fundusz?

Nie wie tego — i nie widziała nigdy tej kobiety.

— Hrabina jest właśnie tą jej wychowanką.

Niemowa potrząsnęła głową, zamyśliła się — stęknęła. Chwilę tak dumiała, aż rzuciła drżącą ręką na papier:

— A jeśli jest jak tamta?

Ruszył ramionami zamiast odpowiedzi — i milczał, zapatrzony na platanu ulicy.

Trąciła go lekko w ramię.

— Trzeba z nią mówić — wyznać — teraz — gdy wolna. Wedle odpowiedzi postąpić. Doktor nigdy nie mówił — nie śmiał — czy rozumiał bez rozmowy — że niema nadziei. Trzeba mówić — koniecznie.

— Ja to wiem — i powiem — ale co dalej?

— Jeśli nie odrzuci, trzeba zdobyć byt, dać opiekę...

Przerwał — przekreślił jej zdanie.

— Zna się pani na życiu, jak kura na lokomotywie. Czytała pani wiele romansów w feljetonach —

Nie — ale znała doktora Tomasza, a on tak do niego podobny. Jeśli chce, to zaraz pójdą do pana Luluze, fabrykanta samochodów...

Wstał i poszli.

*

*

*

W willi — spadkobiercy rozpanoszyli się tymczasem — i prędko się dowiedzieli o samochodzie. Posyłano do garażu kilkakrotnie, ale szofer kędyś przepadł — musieli się tedy zadowolić najętymi powozami.

Wieczorem przed pogrzebem — szofer się zjawił, ale się o rozkazy nie zgłaszał, zabrał psa hrabiny — zostawił kartkę do panny von Treyzner i znowu się ulotnił. Nazajutrz, od wrót cmentarza, hrabina z ciotką nie wsiadły do karety, lecz poszły pieszo — i zniknęły wśród willi.

— Fred był! — szepnęła hrabina.

— Tak. Widziałam, że rozmawiał z malarzem Plichtą. Spieszmy. Gozdawa czeka. Patrz, tam — przed tą buvetteą.

W zaułku to było ustronnym i pustym. Wowo zaskomlał na ich widok. Wsiadły szybko do samochodu — i maszyna pomknęła, jak ptak. W mieście ruch uliczny hamował pęd — ale gdy wydostali się na przepyszną szosę — ruszyli z tą szybkością upajającą — w której się Tomek lubował.

Po paru godzinach takiej jazdy — zwolnił — zahamował — i zwrócił się do nich z twarzą iskrzącą się od napięcia energii i podniecenia szalonej nieustraszoneści.

Przy szosie był punkt essencyi i oberża.

— Już nas i wicher nie zgoni. Może panie wysiądą —

zanim zbiornik napełnię.

Hrabina wysiadła — wyprostowała się, przeciągnęła ramiona, ruchem wyzwolenia. I zobaczył w jej oczach pierwszy blask jakby świtu — jeszcze dalekiego dnia, ale już niktącej nocy. I zagrała — zaśpiewała mu dusza wielką uciechą, i zaczął się jak wyrostek bawić z Wowem.

Smutnemi, zgasłemi, zimnemi oczyma parzała na tych dwoje młodych panna von Treyner.

Synowiec doktora Tomasza — i córka tatego. Długie, kręte i dziwne są szlaki losu!

Szli we dwoje górską szosą w pobliżu Lucerny — w piękny majowy dzień, a szli tak lekko i rażno, jakby ich niosły skrzydła, i Tomek po swojemu, zuchwale sprawę bez żadnego wstępu i omówień jej przekładał.

— Spotkał mnie cios i wypadek, który mi się nie śnił nawet. Jestem z pokolenia próżniaków i rozpustników. Życ w dobrobycie bez pracy — i bawić się cynicznie — to ideał. Ruina materyalna rodziny zmusiła mnie do pracy. Byłem grajkem samoukiem, rzępoliłem po knajpach ku uciezce wszelakiej hołoty — i żyłem jak bydlę. Na zakończenie tego okresu palnąłem sobie w bok — ale się wykaraskałem — i postanowiłem winy swe odkupić. Wtedy mnie spotkał równie fatalny wypadek — zobaczyłem panią — i choć mi ciężko wyznać — ale stało się — że poza panią — nie miałem, nie chciałem, nie czułem i nie pragnąłem — niczego!

No — i dalej — zna pani moje życie. — Myślę, że w tem zapamiętaniu dobrnąłbym do jakiegoś punktu zwrotnego, reakcyi, przeciągnięcia struny — poprawił swą opinię

strzelca — i trafił już skutecznie. Ale inaczej się stało.

Teraz oto mogę złożyć wyznanie:

Ja, Tomasz Gozdawa — syn marnotrawny, urwisz, cynik i zuchwalec, wieku lat dwadzieścia pięć, z fachu szofer, z tradycyi kujawski obywatel, funduszu żadnego — świeżo zaangażowany do firmy Laluze z Dijon do wszelkich karkołomnych prób, wyścigów i konkursów samochodowych z pensją wysoką — bo z perspektywą śmierci bardzo częstą — obarczony niemową starą kobietą, którą obrałem z paru tysięcy franków i wskutek tego blizka była głodowej śmierci — oświadczam pani, że postanowiłem sobie za lat trzy — jeśli żyw zostanę — zebrać fundusz dostateczny — żeby stanąć przed panią ponownie — i dać pani byt, spokój, ognisko domowe i siebie na dożywotnie trwanie i obcowanie. I jestem pewny, że to spełnię, że zamiaru dopnę — bo czuję i rozumiem wszystkich szaleńców, wszystkich zuchwalców, i taką moc czuję, że nie bajka mi szklana góra, a rzeczywistość dostępna.

Otom ja — i oto wszystko, co miałem rzec. Niechże mi pani powie szczerze: czy to głupie, czy to niedorzeczne, czy mam się za bary brać z losem — i czy mam panią odnaleźć za trzy lata.

— Dlaczego za trzy lata dopiero? Przecie pan chce odemnie decyzji na życie — muszę znać człowieka — zanim go wybiorę. Za tydzień wyjeżdżam stąd do Lipska, gdzie dostałam posadę w szkole muzycznej. Jeśli droga pana będzie tamtędy prowadzić, czekam odwiedzin. Odpowiedzieć dziś nie mogę — chyba to, że i pan nie wie,

komu tyle składa w ofierze. A zatem — to lekkomyślne. Nie wiemy o sobie nic.

— Ja powiedziałem wszystko.

— A ja — w tej chwili nie mam jeszcze siły życia mojego gorycze i męty słowami wyrazić. W każdym razie — część pan widział — i odczuł.

— Jabym wolał posłyszeć — czego pani żąda od przyszłości — czego pani pragnie — co pani zdobyć — co wypracować — żeby pani tamto zostało, jak zmora senna.

Milczała chwilę — zapatrzona w górskie śniegi.

— Chciałabym mieć ojczyznę! — szepnęła.

— Pan nie rozumie? To pan bardzo bogaty — czy też pan jeszcze nie tęsknił. Ja się urodziłam z rodziców — z ziemi wyrzuconych. Ojciec został z potrzeby urzędnikiem i koczowaliśmy po miasteczkach — w obcych zawsze, kamiennych ścianach — po ciemnych podwórkach w mrowiu ludzkim. Zostałam wcześniej sierotą — na wychowaniu ciotki — znowu po murach szkół — a potem po obcych domach jako nauczycielka. Gdym wreszcie przez małżeństwo zyskała pałace, zbytek, majątki — byłam wśród tego tylko niewolnicą. Ale domu takiego — co w nim człowiek żyje, pracuje, kocha i umiera — ale ziemi takiej, co ją czci i uprawia — na której się zna każde drzewo i skibę, oracza i pastuszka, z którą się cierpi w listopadzie i raduje w maju — takiej ja nigdy nie miałam — ale za taką mi tęskno. I z tego, co mi pan o sobie rzekł, tknęło mnie szczególnie jedno: tradycja kujawskiego obywatela.

— Więc mieliście tam ziemię?

— Był dwór otoczony grabowymi szpalerami, co się łączyły z sadem — a za sadem były stawy i młyn — a dalej — het — wkoło pola, a na płaskim horyzoncie lasy — wsie — sadyby — i dzwonnica kościoła. Taki dwór u nas zwykły. Ino — że go już niema! Mogłem go utrzymać — ale dałem na marne — na złość rodzinie.

— I już go nie można odzyskać?

— Wszystko można — ale niech mi pani tego zadania nie stawia. Żebym mógł panią do Zagajów wprowadzić — trzech lat nie wystarczy.

— Ja panu nie stawiam ani zadań — ani warunków — powiedziałam swe pragnienie — swe marzenie i tęsknotę.

— To mi dość — mruknął — i zamyślił się.

— Czy ciotka pani ma na imię Barbara? — spytał po chwili.

— Nie, Amelia.

Zachnął się.

— Któż zatem jest Barbarą Tryźnianką?

Spojrzała na niego zdziwiona.

— Więc pani nic nie wie? O moim stryju?

— Owszem. Ciotka otrzymała od stryja pana legat bardzo wielki — w kapitałach i zarząd nieograniczony zakładu jego fundacyi dla chorych dzieci. Szczegółów, warunków i cyfry legatu nie znam. Ciotka nie jest osobą, którejby się można pytać o jej sprawy i interesa.

— A my — po śmierci stryja otrzymaliśmy ten papier.

Wydobył z pugilaresu i podał jej list doktora Tomasza.

Przeczytała — i oddała mu.

— Nie — to nie ciotka wyda na pana wyrok.

— Kto zatem?

Ruszyła brwiami.

— Za tyle lat. I pan przecie rachuje tylko na siebie.

— Nie — ja rachuję tylko na panią. Ale gdy ten termin upłynie — za ten spadek odzyszczę Zagaje. Dla pani!

Uśmiechnęła się lekko.

— No nie. Chyba dla nas!

Sięgnął po jej rękę i podniósł do ust.

Dochodzili już do miasta — zwolnił kroku.

— Odjeżdża pan dzisiaj? — spytała.

— Za godzinę — na wyścigi samochodów do Berlina.

— Jeśli pan chce, mogę wybadać ciotkę, czy coś wie o Barbarze Tryźniance.

Ale jego ogarnęła zuchwała fantazyja — odrzucił głowę — rozdeły mu się nozdrza.

— Nie — nie chcę. Jeszcze mnie dotąd piecze wspomnienie — gdyśmy jej szukali po całym świecie — jak żebraki i pasożyty. Nie! — Nie dbam o stryjowskie dobro. Mam fach w rękę — i w sercu przez panią bogactwo. Nie wiem, czy to znaczy być człowiekiem, ale sobie zdobędę stanowisko — ukochanej dam gniazdo i uczciwość — a jeśli owa mistyczna Barbara Tryźnianka uzna, że'm tego wart — niech ona mnie szuka.

KONIEC.

Przypisy



Tekst jest własnością publiczną (**public domain**). Szczegóły licencji na stronie autora: [Maria Rodziewiczówna](#).

O tej publikacji cyfrowej

Ten e-book pochodzi z wolnej biblioteki internetowej [Wikiźródła](#)^[1]. Biblioteka ta, tworzona przez wolontariuszy, ma na celu stworzenie ogólnodostępnego zbioru różnorodnych publikacji: powieści, poezji, artykułów naukowych, itp.

W publikacji została zachowana oryginalna ortografia, oczywiste błędy w druku zostały poprawione przez redaktorów Wikiźródeł.

Wersja źródłowa tego e-booka znajduje się na stronie: [Barbara Tryźnianka - całość](#)

Książki z Wikiźródeł są dostępne bezpłatnie, począwszy od utworów niepodlegających pod prawo autorskie, poprzez takie, do których prawa już wygasły, i kończąc na tych, opublikowanych na wolnej licencji. E-booki z Wikiźródeł mogą być wykorzystywane do dowolnych celów (także komercyjnie), na zasadach licencji [Creative Commons Uznanie autorstwa-Na tych samych warunkach wersja 3.0 Polska](#)^[2].

Wikiźródła wciąż poszukują nowych wolontariuszy. [Przyłącz się do nas!](#)^[3]

Możliwe, że podczas tworzenia tej książki popełnione zostały pewne błędy. Można je zgłaszać na [tej stronie](#)^[4].

W tworzeniu niniejszej książki uczestniczyli następujący wolontariusze:

- Wiola w123
- Anagram16
- Wieralee
- Zdzisław
- Ankry
- Mudbringer
- Draco flavus
- KABALINI
- Bender235
- AzaToth
- Tene~commonswiki
- Bromskloss
- Bonvol
- Boris23
- Rocket000
- Tommy Jantarek
- PMG
- Ynnarski
- PatríciaR

1. [↑ https://pl.wikisource.org](https://pl.wikisource.org)

2. [↑](http://www.creativecommons.org/licenses/by-sa/3.0/pl) <http://www.creativecommons.org/licenses/by-sa/3.0/pl>
3. [↑](https://pl.wikisource.org/wiki/Wikiźródła:Pierwsze_kraki) https://pl.wikisource.org/wiki/Wikiźródła:Pierwsze_kraki
4. [↑](http://pl.wikisource.org/wiki/Wikisource:Skryptorium) <http://pl.wikisource.org/wiki/Wikisource:Skryptorium>